BOLI? NIE MUSI
Co piąty Polak cierpi przewlekle

ŁĄKI MIEJSKIE
Nie kośmy trawników, niech rosną, jak chcą

NASZE TRUPOSZE
Zombie dotarły nad Wisłę

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE NA JUBILEUSZ

Kraków 14 lipca 2019 nr 28 (3653) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

CO ZMIENI MUNDIAL KOBIET

Gra o równe prawa

Z NUMEREM DODATEK

KRAKÓW. ANTROPOLOGIE DZIEDZICTWA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

CONRADFESTIVAL

rzeczywistości

21–27.10.2019 pałac czeczotka
międzynarodowy festiwal literacki

www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

partner strategiczny: 23 międzynarodowe targi książki w krakowie
www.ksiazka.krakow.pl

Organizatorzy: kbf, KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE, FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Partner dla Krakowa: BUKOVINA RESORT, GRUPA autoremo

Wsparcie: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA, INSTYTUT KSIĄŻKI, EUROPEAN PRESIDENCY, EPIC LABEL 2019-2020

KS. ADAM

Boniecki: *Nie uszlachetnia*

Często się słyszy, że chrześcijaństwo jest apoteozą bólu. I chociaż w pierwszych wiekach chrześcijanie się przed tym wzdragali, to ostatecznie symbolem chrześcijan stał się wizerunek Chrystusa – Człowieka umęczonego na krzyżu. Pawłowe „Teraz raduję się, cierpiąc za was, i w moim ciele dopełniam braki cierpień Chrystusa za Jego Ciało, którym jest Kościół" (Kol 1, 24) oraz przekonanie, że krwawa ofiara i cierpienie Syna usatysfakcjonowały obrażonego grzechami ludzi Boga Ojca, zdają się twierdzenie o apoteozie bólu potwierdzać. Potwierdzać też zdają się je święci tacy jak włoska karmelitanka, mistyczka św. Maria Magdalena de Pazzi (1566–1607), której pragnienie „cierpieć, a nie umierać!" może przyprawić o zdumienie. Św. Teresa Benedykta od Krzyża (Edyta Stein) wyjaśniała to w ten sposób, że „każdy człowiek musi cierpieć i umierać, lecz jeśli jest żywą częścią Mistycznego Ciała, jego cierpienie i śmierć nabierają odkupieńczej mocy dzięki Boskości Tego, który jest jego głową. Oto – pisała – istotny powód, dla którego każdy święty tak pragnął cierpienia".

To są wyjaśnienia z wysokiej, mistycznej półki. Dla ich dopełnienia przepiszę z artykułu naszego najlepszego tischnerologa Wojciecha Bonowicza, co o tym myślał nieodżałowany mistrz prostego wykładu rzeczy trudnych ks. Józef Tischner.

„Znana anegdota mówi o tym, że pewnego dnia ciężko chorego ks. Józefa Tischnera odwiedził Jarosław Gowin. Jakiś czas wcześniej rozmawiali dużo o cierpieniu. Podczas kolejnej wizyty Tischner – który już nie mógł mówić – podał Gowinowi karteczkę ze słowami: »Nie uszlachetnia«. (...) [Pytany o to wydarzenie] cytuję na ogół ostatni opublikowany tekst Tischnera, zatytułowany »Miłość«. Jest tam rozwinięcie uwagi przekazanej Gowinowi. »Do prawdy dochodzi się rozmaitymi drogami. Przyznajmy, że są takie prawdy, do których dochodzi się również poprzez męczeństwo. Jedną z takich prawd jest prawda, że cierpiąc, cierpimy z Chrystusem. (...) Niemniej nie cierpienie jest tutaj ważne. Nie ono dźwiga. Wręcz przeciwnie, cierpienie zawsze niszczy. Tym, co dźwiga, podnosi i wznosi ku górze, jest miłość«" (W. Bonowicz, „Mowa o cierpieniu").

Jak można twierdzić, że chrześcijaństwo jest apoteozą bólu? Sam nasz Mistrz Jezus Chrystus wciąż uwalniał ludzi od cierpienia, uzdrawiał chorych nawet w dzień szabatu, uzdrowił odcięte przez św. Piotra ucho członka ekspedycji, która przyszła Go aresztować. Cudownie rozmnożył chleb i ryby, żeby ludzie nie cierpieli głodu. Znoszony przez Jezusa ból nie zabił miłości: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią". Poddany strasznym cierpieniom nie zajmował się sobą, ale z troską myślał o innych: niewiastach na drodze krzyżowej, Janie, Matce, Ojcu Niebieskim.

W rozmowie o bólu, którą publikujemy w tym „Tygodniku", doktor Katarzyna Turzańska mówiąc o tym, że w medycynie ból mierzy się w skali od 0 do 10, przyznaje, że te miary bólu są względne, ponieważ „nie da się powiedzieć, że u dwóch osób takie samo jego natężenie daje identyczne objawy". Kiedyś w szpitalu, w środku nocy, wezwałem dyżurną siostrę, żeby poprosić o coś na złagodzenie bólu, który trudno mi było wytrzymać. Kiedy pielęgniarka się zjawiła, zrobiło mi się wstyd. Przecież obok byli chorzy, którzy cierpieli znacznie bardziej. Na moje przepraszanie spokojnie odpowiedziała – a ja doskonale to po latach pamiętam – „przecież wiem, że MÓJ ból jest największym bólem wszechświata". To nie była ironia, lecz życzliwe słowa, które uświadomiły mi, jak łatwo ból – co jest zrozumiałe – wydobywa ukryte w nas pokłady egocentryzmu, czy wręcz egoizmu.

„Nie uszlachetnia"... Właśnie dlatego składam niski pokłon tym, którzy zmiażdżeni bólem wychodzą poza wyznaczone nim granice, którzy mimo bólu myślą o innych, którzy serdecznie o innych się troszczą, innym współczują. Którzy nadal kochają. ©℗

TP

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

Gdynia, niedziela, 21 lipca, godz. 16.00

Nadmorski Plener Czytelniczy
(Bulwar Nadmorski im. F. Nowowiejskiego).

Wstęp wolny!

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

14 Bez znieczulenia
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Co piąty Polak cierpi na przewlekły ból.

18 Ból wyznacza nam granice ROZMOWA Z KATARZYNĄ TURZAŃSKĄ, LEKARZEM:
Nie chodzi o to, by brać garściami tabletki dla przetrwania czasu, kiedy jesteśmy mniej sprawni, lecz o to, by jakość życia była jak najlepsza.

50 Parasolki kontra Pekin
JAN GÓRSKI
Mieszkańcy Hongkongu mają dość. Ich bunt kładzie się coraz większym cieniem na nadchodzącą 70. rocznicę powstania Chińskiej Republiki Ludowej.

40 Najpierw Ameryka
MASSIMO FAGGIOLI Z FILADELFII
Jeszcze nigdy katolicy w Stanach Zjednoczonych nie byli tak podzieleni. Powstałe w ostatnich latach napięcia promieniują na cały Kościół.

34 Łąki miejskiej łan
ADAM ROBIŃSKI
Nie ma dnia, żeby któryś z samorządów nie ogłosił: kończymy z koszeniem trawy. Niech rośnie.

72 Inwazja porywaczy Polski
ELIZA KĄCKA
Wilkołak powinien być szlachcicem, wampir hrabią, a upiór choćby i królem. Tymczasem zombie to plebs. W sztuce horroru dokonała się rewolucja proletariacka.

86 Mistrzostwa nierówności
MONIKA OCHĘDOWSKA
Nigdy dotąd nie oglądaliśmy tak chętnie kobiecej piłki jak podczas mundialu we Francji.

JOANNA RUSINEK // STR / AFP / EAST NEWS // ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS // MAJA HITIJ / GETTY IMAGES // SANDRO KOPP / SONY PICTURES CLASSICS // REUTERS / FORUM

6 Kontratak starej Europy
OLAF OSICA

7-12 Wiadomości / Komentarze

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

24 Państwo w wersji premium
ROZMOWA Z HANNĄ KUZIŃSKĄ, EKONOMISTKĄ: *Dopóki będziemy traktować podatki jak haracz, dopóty plany budowy nowoczesnego państwa pozostaną w sferze życzeń*

28 Rozplątany sopran IGA DZIECIUCHOWICZ: *Wybitny głos to za mało. Trzeba mieć psychiczną siłę. Annie Zawiszy dał ją rak*

31 Trzeba ożywić tolerancję. Tylko jak? RAFAŁ WOŚ

REPORTAŻ

34 Łąki miejskiej łan
ADAM ROBIŃSKI

38 Tygodnik Czytelników

WIARA

40 Najpierw Ameryka
MASSIMO FAGGIOLI

44 Indeks lekcji zakazanych
ARTUR SPORNIAK: *Czy biskupi mogą bezkarnie ośmieszać Kościół i nas – wierzących katolików?*

45 Owoce chyba są dobre
BEATA SZADY: *Jak przejmowano ewangelickie kościoły*

ŚWIAT

50 Parasolki kontra Pekin
JAN GÓRSKI

DODATEK SPECJALNY

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

- Czym jest *genius loci* Krakowa?
- W jaki sposób miasto przeżywa swoją historię?
- Jak wpływają na nie instytucje i odgórne plany?
- Kiedy krakowianie zaczną pisać na murach: „Turyści do domu"?

Dodatek „Kraków. Antropologie dziedzictwa" to 40 stron opowieści o symbolicznych geografiach, trudnym podziale na sacrum i profanum oraz nowych znaczeniach pojęcia „dziedzictwo".

FELIETONY

49 SZYMON HOŁOWNIA
63 ANDRZEJ STASIUK **84** JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ALEX MORGAN, amerykańska piłkarka, reprezentantka USA. Piłkarka Roku 2012 Amerykańskiej Federacji Piłkarskiej, w tegorocznym mundialu uhonorowana Srebrnym Butem FIFA. Razem z Leo Messim występowała na okładce amerykańskiej wersji gry „FIFA 16".

Fotografia: JOSE BRETON / NURPHOTO / AFP
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

53 Kandydaci, których nie znajdziesz w Google'u
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Drugi raz w tym roku Ukraińcy idą do urn*

56 Nowi Turcy MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Syryjscy uchodźcy, którzy w Turcji znaleźli dom, nazywają Erdoğana zbawcą*

59 Milenialsi toną w długach
MARTA ZDZIEBORSKA: *Dla nich American Dream to pusty slogan*

HISTORIA

64 Wojna nieunikniona TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Sto lat temu zaczął się konflikt polsko-bolszewicki*

NAUKA

68 Myśleński: język mózgu
MARCIN MIŁKOWSKI: *Czy myślimy za pomocą słów, czy obrazów?*

KULTURA

72 Inwazja porywaczy Polski
ELIZA KĄCKA

76 Pralki, komórki i GPS-y
ROZMOWA Z WOJCIECHEM BĄKOWSKIM, ARTYSTĄ WIZUALNYM, POETĄ I MUZYKIEM

79 Teatra naiwne DARIUSZ KOSIŃSKI *o spektaklu „Jezus" w Nowym Teatrze w Warszawie*

82 Rozkoszna amnezja ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Yesterday"*

84 Świat okrutnego Boga
LEKTOR: *Opowiadania zebrane Flannery O'Connor „Ocalisz życie, może swoje własne"*

ZMYSŁY

86 Mistrzostwa nierówności
MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Indie
Po druzgocącej klęsce, jakiej doznał w majowych wyborach dziedzic Rahul Gandhi, zrzekł się przywództwa w rodzinnej partii – **WOJCIECH JAGIELSKI** *opisuje losy najsławniejszej ze współczesnych dynastii politycznych.* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Kryzys klimatyczny – serwis specjalny
Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować – *w* **SERWISIE SPECJALNYM** *poruszamy na bieżąco najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą.*
tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

THE ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

KONTRATAK STAREJ EUROPY

Kto tak naprawdę wygrał batalię o nowe rozdanie najważniejszych stanowisk w Unii? Odpowiedź wydaje się dość przewrotna.

OLAF OSICA

Odchodzący szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker i jego prawdopodobna następczyni Ursula von der Leyen. Bruksela, 4 lipca 2019 r.

Jeśli rozbudzony politycznie Parlament Europejski zaakceptuje wyłonionych przez Radę Europejską kandydatów do głównych funkcji w Unii, na czele z Ursulą von der Leyen jako przewodniczącą Komisji – i następnie zaakceptuje unijnych komisarzy, też wskazanych przez rządy – wtedy prace nowego unijnego rządu ruszą po wakacjach. Inaczej będziemy świadkami nowych nerwowych rokowań. Na razie PE wybrał przewodniczącego wskazanego przez szefów rządów. Czy zaakceptuje też inne kandydatury, zobaczymy wkrótce. Ale już teraz można pokusić się o pewne wnioski.

Większość obserwatorów ubiegłotygodniowych „targów końskich" w Brukseli, podczas których Rada Europejska wykuwała personalny kompromis, była zażenowana brakiem zgody i przedłużającą się procedurą. Taka jest jednak cena za radykalną zmianę krajobrazu politycznego w Europie. Nie ma już chadecko-socjalistycznego tandemu w barwach niemiecko-francuskich, który był w stanie szybko przeprowadzić rozdział stanowisk. Utrata monopolu chadeków i socjalistów w Parlamencie Europejskim, silna pozycja zielonych i liberałów, głębokie podziały w samych państwach i pojawienie się rządów niechętnych w ogóle Unii – wszystko to zmieniło reguły gry. Zakulisowe rokowania musiały uwzględnić większe zróżnicowanie, co *per saldo* sprzyja demokratyzacji działania Unii. Ale ma swoją cenę, także medialną.

Pierwszą ofiarą tego zjawiska padł Manfred Weber – *Spitzenkandidat* Europejskiej Partii

Ludowej na szefa Komisji Europejskiej. Nie chciał go Macron, Merkel nie była go w stanie przeforsować, a nowy Parlament Europejski – do którego kompetencji należy przegłosowanie kandydatury na szefa KE – nie chciał Webera. I dobrze się stało. Do sprawowania tej funkcji potrzeba większości głosów, a nie tylko bycia liderem bloku, który uzyskał ich najwięcej (ale przecież nie większość) w niedawnych wyborach do PE – co idea „kandydata wiodącego" ignorowała, tworząc własną definicję procedury demokratycznej.

Drugą ofiarą – tym razem rywalizacji rządów – stał się Frans Timmermans. Wprawdzie będzie znów wiceprzewodniczącym KE, ale to poniżej jego oczekiwań. Na jego drodze, jako „kandydata wiodącego" socjalistów, stanęła przede wszystkim Europejska Partia Ludowa, która sprytnie wykorzystała w tym celu sojusz krajów Grupy Wyszehradzkiej i Włoch.

W efekcie trzecim przegranym jest ten sojusz. Posłużył on za narzędzie podwójnej rozgrywki: francusko-niemieckiej i wewnątrzniemieckiej (między tworzącą tam rząd chadecją i socjaldemokratami, którzy z niechęcią przyjęli nominację Ursuli von der Leyen). Musimy jeszcze poczekać na rozdział tek w Komisji Europejskiej. Ale gdyby okazał się dla nas mało korzystny, byłaby to duża strata dla Polski. Z racji potencjału, realnych sukcesów gospodarczych i sprawowanych wcześniej funkcji (przez Jerzego Buzka i Donalda Tuska) Warszawa musi zabiegać o stanowiska na poziomie wiceprzewodniczących KE. Silna teka komisarza to minimum, jeśli mamy ambicję bycia państwem wpływowym, a nie tylko podążającym za unijnym głównym nurtem. Zwłaszcza że ten nurt przechylił się na lewo od tego, co w Polsce bierzemy za centrum.

Kto zatem wygrał? „Stara Europa", czyli sojusz „założycielskiej szóstki". Komisja Europejska dla Niemiec, szef Rady Europejskiej dla Belgii (Charles Michel), Europejski Bank Centralny dla Francji (Christine Lagarde) i Parlament Europejski dla Włoch (David-Maria Sassoli). Holandii przypadnie wiceszef Komisji Europejskiej. Plus powrót Hiszpanii na stanowisko szefa unijnej dyplomacji (Josep Borrell). Od strony ideowej mamy więc sojusz chadeków, liberałów i socjalistów, tj. fundament polityczny integracji Europy.

Skutki tego będą duże. Po rozszerzeniu Unii i przesunięciu jej politycznego centrum na wschód, w okolice Berlina, zaczyna się proces powrotu tegoż centrum ku granicy francusko-niemieckiej. Rysuje się nowy podział: na wschód, który jest motorem unijnej gospodarki, i zachód, który decyduje o kierunku rozwoju Europy. Trudno chyba wyobrazić sobie bardziej przewrotną dla nas realizację hasła powrotu Unii do korzeni integracji. ©

MARTA ZDZIEBORSKA

4 lipca w USA: Trump w roli głównej

AMERYKAŃSKI DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI to apolityczne święto pełne pikników, parad i festynów. W tym roku zmienił to prezydent Donald Trump: nawet tego dnia, 4 lipca, nie chciał pozostać w cieniu.

Frank i Ginny Osgood od kilku godzin stoją w pełnym słońcu. Parze 80-latków, obserwującej paradę z okazji Dnia Niepodległości (na zdjęciu), kalifornijski upał zdaje się jednak nie przeszkadzać. Do Coronado, miasta słynącego z bazy marynarki wojennej, przyjechali już o piątej rano. Wszystko po to, by mieć najlepszy widok na uroczysty przejazd weteranów i członków amerykańskich sił zbrojnych.

Determinacji nie zabrakło też tysiącom Amerykanów w Waszyngtonie, którzy w strugach deszczu słuchali przemówienia Donalda Trumpa. Przed pomnikiem Abrahama Lincolna prezydent mówił o sile amerykańskiego narodu, historii USA, równości płci oraz... o planach podboju Marsa. Uroczystości, którą prezydent zorganizował pod hasłem „Salute to America", towarzyszył m.in. przelot myśliwców.

Tegoroczne obchody w Waszyngtonie zostały okrzyknięte przez niektórych krytyków próbą „zawłaszczenia" Dnia Niepodległości. Wygłaszając swe orędzie, Trump zerwał bowiem z praktyką poprzednich prezydentów USA, którzy 4 lipca ograniczali się do obecności podczas spotkań dla weteranów i pokazu fajerwerków. I choć jego orędzie – wbrew przewidywaniom oponentów – miało apolityczny charakter, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że było elementem kampanii wyborczej. Do walki o reelekcję w listopadzie 2020 r. prezydent wykorzystał nawet patriotyczne i ponadpartyjne święto.

© MARTA ZDZIEBORSKA z Kalifornii

Pacyfik: śmieci jednorazowego użytku

VANUATU W OCEANII zostało pierwszym krajem na świecie, który wprowadza całkowity zakaz używania pieluch jednorazowych. W republice położonej na 83 wyspach (z których zamieszkanych jest 65) łącznie żyje niecałe 300 tys. ludzi. Najnowsze badania zlecone przez Wspólnotę Narodów, do której należy Vanuatu, pokazały, że zużyte pieluchy jednorazowe wraz z odpadami organicznymi stanowią trzy czwarte wszystkich śmieci, które produkuje kraj.

Na wyspach takich jak Vanuatu mocno odczuwalne jest zaśmiecenie mórz i podnoszenie się ich poziomów oraz wpływ zanieczyszczenia wód na populacje ryb. „Vanuatu chroni swoją przyszłość. Tworzywa sztuczne trafiają do wody i do łańcucha pokarmowego, a ostatecznie mieszkańcy Vanuatu je konsumują" – mówił Mike Masauvakalo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych podczas spotkania Wspólnoty Narodów.

Walka z odpadami rozpoczęła się na wyspach w lipcu 2018 r. Zakazano wtedy używania foliowych toreb, słomek i pojemników z polistyrenu. W marcu do zakazanej listy dodano m.in. jednorazowe talerze i kubki, mieszadełka do drinków, opakowania na jajka i kwiaty. Pieluchy jednorazowe znajdą się na niej pod koniec roku.

©℗ EWELINA BURDA

REUTERS / FORUM

Konfrontacja na morzu

TRWAJĄCA W UNII DYSKUSJA, jak oceniać – politycznie, prawnie i moralnie – nielegalną migrację przez Morze Śródziemne i jak na nią reagować, nabiera nowej dynamiki. Stało się to za sprawą trzech statków organizacji pozarządowych – niemieckich Sea-Watch 3 i Alan Kurdi oraz włoskiego Alex – które podjęły z morza blisko Libii stu kilkudziesięciu migrantów. Kapitanowie odmówili odstawienia ich do Libii lub Tunezji (uznawanej w Unii za kraj bezpieczny). Władze Włoch i Malty długo nie godziły się, by statki wpłynęły do ich portów. Po dłuższym oczekiwaniu Sea-Watch 3 wpłynął do portu na Lampedusie, łamiąc włoskie prawo i niemal taranując łódź policyjną. Alex uzyskał zgodę na zawinięcie do Lampedusy (statek zarekwirowano). Alan Kurdi zgody nie dostał i popłynął na Maltę, gdzie musiał czekać na pozwolenie na wejście do portu; Malta zgodziła się dopiero po zapewnieniu, że migrantów przejmą inne kraje (większość Niemcy; co do reszty – nie wiadomo kto).

Dowodząca Sea-Watch 3 Carola Rackete została aresztowana (na zdjęciu), a następnie zwolniona przez sąd; wciąż ciąży na niej zarzut współudziału w nielegalnej migracji. Decyzję sądu skrytykował wicepremier i szef MSW Matteo Salvini, który uważa, że fakt, iż statki NGO-sów pływają blisko Libii, zachęca migrantów, by ryzykowali przeprawę nawet na lichych pontonach (sprzedawanych przez przemytników) w nadziei, że zaraz zostaną podjęci z wody. Większość Włochów popiera politykę Salviniego, który zamknął włoskie porty dla statków NGO-sów. Krytykuje to szef niemieckiego MSW Horst Seehofer; w Niemczech odbyły się manifestacje solidarności z Rackete, a tygodnik „Spiegel" poświęcił jej okładkę. Natomiast były kanclerz Austrii Sebastian Kurz poparł Salviniego: powiedział, że postępowanie takich osób jak Rackete, które podjętych z wody ludzi chcą wieźć do Europy, „wzbudza tylko fałszywe nadzieje i wciąga, zapewne nieintencjonalnie, jeszcze więcej ludzi w niebezpieczeństwo".

Nocą z niedzieli na poniedziałek przedstawiciel organizacji Sea Eye napisał, że Alan Kurdi kieruje się znów „na teren misji". Spór o to, jak Unia powinna postępować wobec nielegalnej migracji przez morze, wkrótce stanie się zapewne jeszcze ostrzejszy.

©℗ WP / FAZ, NZZ, DPA, REUTERS

Indus w ogniu

KRYTYKOM SIĘ NIE SPODOBAŁ, lecz „Article 15", który 28 czerwca wszedł do kin w Indiach, wywołał ostrą dyskusję o znaczeniu systemu kastowego w życiu kraju.

Obraz nawiązuje tytułem do artykułu 15. indyjskiej konstytucji, który zakazuje dyskryminacji na gruncie religii, pochodzenia kastowego, rasy, płci i miejsca urodzenia. Fabuła bazuje z kolei na wydarzeniach o podtekście kastowym, które w ostatnich latach wstrząsnęły Indiami: zbiorowego gwałtu na dwóch nastolatkach w miejscowości Kitra w dystrykcie Budaun (ofiary znaleziono potem powieszone na drzewie) oraz ataku na siedmioosobową rodzinę dalitów (tzw. niedotykalnych), których ciężko pobito, a następnie przepędzono rozebranych ulicami miejscowości Una. W obu przypadkach śledztwa utknęły w martwym punkcie.

W kilku miastach film zdjęto z ekranów w obawie przed zamieszkami. Wpływowe postaci Bollywood z coraz większą otwartością mówią o hipokryzji życia publicznego, w którym uprzedzenia kastowe są bardzo silne, a nawet wykorzystywane do celów politycznych. Reżyser filmu Anubhav Sinha przyznał w wywiadzie, że do podjęcia tematu skłoniły go indyjskie gazety, które o zbrodniach na osobach z najniższych kast wspominają na końcowych stronach. ©℗ MR

Rosja: tajemnica Łoszarika

NA MORZU BARENTSA doszło do poważnej awarii na atomowym okręcie podwodnym AS-31 (Łoszarik) należącym do rosyjskiej marynarki wojennej: 1 lipca w wyniku pożaru zginęło 14 członków załogi. Skąpą wiadomość o wypadku rosyjskie ministerstwo obrony podało dzień później. Ujawniono nazwiska ofiar i ich stopnie: okazało się, że śmierć poniosło kilku kapitanów pierwszej rangi – to wysokie szarże, odpowiadające dowódcom wielkich jednostek (np. krążowników); wszyscy oni służyli w tajnej jednostce w Petersburgu.

Obecność na pokładzie tak wielu wysokich oficerów marynarki świadczy, że tajna misja Łoszarika obejmowała szczególnie ważne zadania. Jakie? Tego być może nie dowiemy się nigdy – okoliczności wypadku utajniono. Łoszarik to aparat głębokowodny, który zdaniem amerykańskich wojskowych może służyć do działań dywersyjnych na dnie morskim, takich jak podłożenie ładunków, przecięcie kabli itd.

Oficjalne wyjaśnienia są mętne i bałamutne: w części, gdzie znajdowały się akumulatory, doszło do spięcia, co wywołało pożar, oficerowie znajdujący się w tej grodzi uratowali życie cywilnego specjalisty przebywającego na pokładzie, a potem zabarykadowali się w części objętej pożarem, dzięki czemu uratowali okręt i pozostałych członków załogi (nie wiadomo, ilu ich było; nie wiadomo, czy ponieśli uszczerbek). Zdaniem niezależnych komentatorów wersja ta nie wytrzymuje krytyki.

DMITRI LOVETSKY / AP / EAST NEWS

Zwraca uwagę reakcja władz: prezydent Putin nakazał uhonorowanie ofiar i wypłacenie odszkodowań dla rodzin, ale nie ogłoszono żałoby, a pogrzeby (na zdjęciu) miały charakter zamknięty. Media szybko wyciszyły szum wokół tematu. Tajemnica Łoszarika zapewne pozostanie za siedmioma pieczęciami. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Bez koalicji przeciw PiS

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Platforma chce iść do wyborów z PSL, SLD, Nowoczesną i być może z Biedroniem. PSL nie chce Biedronia i SLD. Za to SLD chce z Platformą, a jeśli nie – to z Biedroniem i być może z Razem. Jeśli Biedroń i SLD pójdą z Platformą, to PSL pójdzie z Kukizem. Ale przewiduje dla niego tylko rolę statysty na swych listach, co nie podoba się części kukizowców, którzy zerkają tęsknie w kierunku PiS.

Niewiarygodne, że do wyborów zostało sto dni, a opozycja jest w stanie organizacyjnej i programowej destrukcji. Jedno można powiedzieć ponad wszelką wątpliwość: nie powstanie mityczna wspólna lista przeciw PiS, której próbką była Koalicja Europejska w eurowyborach.

Nie powstanie głównie dlatego, że nie chce tego PSL. Ludowcy nie są zadowoleni i z wyniku Koalicji Europejskiej (przegrana z PiS o 7 punktów), i ze współpracy z koalicjantami. Chodzi zwłaszcza o lewicę, która krytykowała Kościół, co odstręczyło konserwatywnych wyborców PSL. Dlatego po swej ostatniej Radzie Naczelnej ludowcy postawili ultimatum: albo Platforma pozbywa się lewicy i startuje tylko z nimi, albo PSL idzie do wyborów sejmowych samodzielnie.

Ludowcy wiedzą, że postawili warunek nie do spełnienia. W gruncie rzeczy chcą, aby Schetyna to ultimatum odrzucił, żeby mieli alibi dla samodzielnego startu. Bo – czego głośno nie powiedzą – najbardziej uwiera ich sama Platforma, która od lat przesuwa się na lewo. Wszystko wskazuje więc, że PO i PSL pójdą do wyborów oddzielnie. Planowane są jeszcze rozmowy ostatniej szansy, ale mało kto w obu partiach wierzy w ich sukces.

Dziś widać, że przez ponad trzy lata poza krzyczeniem o końcu demokracji opozycja nie zrobiła zbyt wiele, aby przygotować się organizacyjnie i programowo do wyborów, które – jak sama przecież twierdzi – będą najważniejsze od 30 lat. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Odporny jak maturzysta

NIC NIE WSKAZUJE, aby burzliwe okoliczności egzaminów dojrzałości – najpierw strajk w oświacie, później alarmy bombowe w trakcie matur – wpłynęły na tegoroczne ich wyniki. Maturę oblało 19,5 proc. uczniów, czyli niemal tyle co przed rokiem, ale tylko nieco ponad 6 proc. pozbawiło się szansy na tegoroczną poprawkę (oblewając więcej niż jeden egzamin obowiązkowy). Najwięcej poległo na matematyce: w liceach nie zdał co dziesiąty, w technikach co piąty. Czy matematyka – jak komentowano – okazała się znów „koszmarem maturzystów"? Niekoniecznie: średnik wynik na poziomie podstawowym z matematyki – 58 proc. – zauważalnie przekroczył ten z polskiego (52 proc.). Jeśli szukać powodu do zadowolenia, najłatwiej znaleźć go w rezultatach matur z języka obcego: na poziomie podstawowym średni tegoroczny wynik to 73 proc. Na zdjęciu: odbiór świadectw w I LO w Kielcach. ©℗ PW

PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA GAZETA

Wyższa szkoła molestowania

WIĘKSZOŚĆ POLSKICH UCZELNI PUBLICZNYCH nie wprowadza działań, które mogłyby zapobiec molestowaniu, a jeśli już istnieją procedury, to są nieskuteczne – wynika z badań Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Raport „Molestowanie na polskich uczelniach publicznych" powstał na podstawie analiz z lat 2018 i 2019. Zbadano 94 placówki – tylko w 14 z nich funkcjonują specjalne instytucje, które mają przeciwdziałać dyskryminacji, w tym molestowaniu.

HFPC twierdzi, że w latach 2010-18 złożono co najmniej 50 studenckich skarg dotyczących zachowań dyskryminujących bądź „przybierających formę molestowania lub molestowania seksualnego", co do których prowadzono postępowania wyjaśniające lub dyscyplinarne. Warto przytoczyć tu inne badania na ten sam temat: raport Rzecznika Praw Obywatelskich z końca 2018 r. podaje, że od momentu rozpoczęcia studiów ponad 40 proc. studentów i studentek doświadczyło molestowania.

Zestawienie to ujawnia ogromną dysproporcje między przypadkami zgłaszanymi a doświadczanymi. Retorycznym wydaje się pytanie, dlaczego tak jest: czy molestowanie na uczelniach się nie zdarza, czy może system reagowania jest nieskuteczny. ©℗ EWELINA BURDA

KRAJ W SKRÓCIE

PALENIE SZKODZI. Jarosław Kaczyński zakazał parlamentarzystom swojej partii udziału w spotkaniach „o charakterze lobbystycznym lub co do których można sformułować domniemanie, że mają taki charakter". To pokłosie informacji radia RMF o zorganizowanym przez wicemarszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego spotkaniu kilku kolegów i wiceministra zdrowia z przedstawicielami jednego z koncernów tytoniowych.

DYSKUTOWANIE POMAGA. Ale PiS spotyka się nie tylko z lobbystami. W partyjnej konwencji w Katowicach uczestniczyło 10 tys. osób, a ponad 400 wzięło udział w kilkudziesięciu dyskusjach panelowych, w związku z czym prezes – który przypomniał, że obliczenia, iż Polskę stać na program 500 plus, dokonał kilka lat temu w pamięci – doradził opozycji, by również wzięła się za poważne dyskusje nad przygotowaniem programu.

BYLE NA POZIOMIE. Można oczywiście pytać o poziom dyskusji. „Kurz w tej bitwie jeszcze nie opadł, ale nasza wola jest jeszcze silniejsza, aby doprowadzić do zmiany w sądownictwie" – mówił podczas jednego z paneli Zbigniew Ziobro, zauważając, że rządy sędziów, którzy „uważają się sami za nadzwyczajną kastę, z definicji nie mogą być rządami prawa".

I NIE ZAWSZE. A czasem dyskusji nie ma: żeby odebrać władzom Gdańska kontrolę nad terenem Westerplatte przed obchodami 80. rocznicy wybuchu wojny i rozpocząć tam budowę nowego muzeum, PiS po prostu przeprowadził w Sejmie specjalną ustawę.

I NIE W TELEWIZJI. Ciekawe, czy to członek „nadzwyczajnej kasty" orzekł w poznańskim sądzie, że prezydent tego miasta Jacek Jaśkowiak nie musi przepraszać TVP za sugestię, iż swoimi materiałami przyczyniła się do tragicznej śmierci Pawła Adamowicza.

Antyargument z przemocy

ARTUR SPORNIAK

Pan Tomasz, pracownik krakowskiego sklepu IKEA, został zwolniony, gdyż pod artykułem promującym w wewnętrznej sieci tolerancję względem osób LGBT zacytował fragment z Księgi Kapłańskiej (20, 13), który mówi o karze śmierci dla mężczyzn współżyjących ze sobą. W jego obronie oprócz państwowej prokuratury stanął także bp Ignacy Dec, przewodniczący Rady Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich, który napisał m.in.: „Gratulujemy Panu Tomaszowi odwagi w wyznawaniu i obronie wiary w codziennym życiu. To jest właśnie apostolstwo świeckich postulowane przez Sobór Watykański II (...). Chciałoby się powiedzieć za szafarzem chrztu świętego: »Taka jest nasza wiara«".

Chciałoby się powiedzieć, że w argumentacji nie można używać cytatów nawołujących do przemocy. Ale pan Tomasz ma alibi. W liście Kongregacji Nauki Wiary z 1986 r. o duszpasterstwie osób homoseksualnych czytamy, że zachowania homoseksualne są „wynaturzeniem" spowodowanym upadkiem ludzkości po grzechu pierworodnym. Na potwierdzenie przywołana jest nie tylko Księga Kapłańska, o złu homoseksualizmu ma świadczyć też historia niedoszłego zbiorowego gwałtu mieszkańców Sodomy na boskich posłańcach ugoszczonych przez Lota z Księgi Rodzaju. Pan Tomasz nie wyszedł więc poza autorytatywne sądy, które można usłyszeć w Kościele. W tym sensie bp Dec ma rację, pisząc o wierze Kościoła. Myli się jednak, gdy sądzi, że jest czego gratulować, gdyż tej kościelnej argumentacji w świetle współczesnej wiedzy nie da się obronić. ©℗

Watykan: zmiany wymagają czasu

ZAPOWIADANA OD SZEŚCIU LAT reforma kurii rzymskiej wciąż nie może się dokonać. Do gotowego niemal projektu nowej konstytucji watykańskiej konferencje biskupów zgłosiły wiele uwag, gdyż – jak podała amerykańska agencja CNA – zmiany miały być głębsze, niż wcześniej sugerowano. Wszystkie kongregacje miały zostać przekształcone w dykasterie (nie chodzi tylko o inną nazwę – na czele dykasterii może stać osoba świecka) i zrównane w randze. Ponieważ zgodnie z prawem kościelnym świecki nie może sprawować władzy nad duchownymi, nowe urzędy miały zostać pozbawione możliwości podejmowania decyzji, które pozostałyby wyłącznie w gestii papieża. Nad koordynacją prac czuwałby Sekretariat Stanu, jedyny urząd nadzorujący pracę całej kurii. Szczególnie istotne miałoby być umniejszenie roli Kongregacji Nauki Wiary i przekazanie wielu jej kompetencji konferencjom episkopatów, co – zdaniem krytyków – groziło federalizacją Kościoła i zgodą na odmienne, w zależności od kraju, podejście do najważniejszych kwestii doktryny i moralności.

Ustosunkowanie się do tych uwag wymaga czasu, zatem prace nad nową konstytucją, której ogłoszenie zapowiadano na koniec czerwca, zostały przedłużone do końca roku. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OBROŃCA SUMIENIA. Na 13 października wyznaczył Franciszek datę kanonizacji w Watykanie bł. Johna Henry'ego Newmana (1801-90), konwertyty z anglikanizmu. Był jednym z najwybitniejszych teologów XIX wieku. Jego główna nauka o rozwoju dogmatu była początkowo nieufnie traktowana – Newmana oskarżano o „liberalizm". Dopiero w 1879 r. Leon XIII mianował go kardynałem. Newman zasłynął m.in. sentencją: „Gdybym miał, co zresztą mało prawdopodobne, wznieść toast za religię, piłbym go za papieża, ale najpierw za sumienie".

KRZYSZTOF CHOJNACKI / / EAST NEWS

PROMOTOR OTWARTOŚCI. Papież podpisał dekret o heroiczności cnót ks. Władysława Korniłowicza, współtwórcy i kierownika duchowego Dzieła Niewidomych w Laskach, apostoła inteligencji, ludzi niewierzących, poszukujących i obojętnych względem Boga. Urodził się w 1884 r. w Warszawie w rodzinie ateistycznej. Zmarł w 1946 r. w Laskach w opinii świętości. Był w Polsce prekursorem Kościoła otwartego. Do jego beatyfikacji potrzebne jest już tylko uznanie cudu za jego wstawiennictwem.

PIEWCA ZAMKNIĘCIA. „Wygłaszając swoje tezy ks. prof. Guz udowadnia, że jego znajomość teologii Lutra jest – najdelikatniej mówiąc – bardzo powierzchowna i fragmentaryczna" – napisali w przesłanym KAI komentarzu ks. prof. Przemysław Kantyka i dr Piotr Kopiec z Instytutu Ekumenicznego KUL. Podczas audycji w Radiu Maryja i TV Trwam ks. prof. Tadeusz Guz doszukiwał się źródeł ateizmu Marksa i Engelsa w... protestantyzmie.

Najwyższy wymiar tajemnicy

NIE ISTNIEJE POWÓD, dla którego mogłaby zostać naruszona tajemnica spowiedzi, ponieważ spowiednik dowiaduje się o grzechach „nie jako człowiek, ale w imieniu samego Boga" – podkreśliła w specjalnej nocie Penitencjaria Apostolska (najwyższy trybunał kościelny zajmujący się sprawami sumienia). Dokument przypomina też, że nie wolno uzależniać udzielenia rozgrzeszenia od deklaracji oddania się przez penitenta w ręce organów sprawiedliwości.

Penitencjaria podkreśla, że tajemnicy spowiedzi nie można porównać do lekarskiej czy adwokackiej, od której przestrzegania może zwolnić sąd. Potępia – jako wykroczenie przeciwko wolności Kościoła – podejmowane przez niektóre państwa próby osłabienia tej zasady. Chodzi zapewne np. o władze Australii, które w 2018 r. żądały od duchownych ujawniania informacji nt. przestępstw pedofilskich – także tych uzyskanych podczas sakramentu. (W tym kontekście warto przypomnieć, że zgodnie z prawem kanonicznym kościelni przełożeni z zasady nie spowiadają podwładnych: po to, aby nie pozwolić związać sobie rąk tajemnicą sakramentalną).

Za złamanie tajemnicy spowiedzi grozi kara ekskomuniki. Ksiądz nie może w żaden sposób skorzystać z informacji uzyskanych w konfesjonale; klerycy podczas studiów przerabiają kazusy typu: jeśli penitent powie, że wie, którędy wracasz do domu, i że zamierza cię dzisiaj napaść – nie wolno ci pójść inną drogą.

W Polsce prawo karne wyklucza możliwość przesłuchania „duchownego co do faktów, o których dowiedział się przy spowiedzi". Analogiczne przepisy zawiera prawo cywilne, administracyjne i podatkowe.

©℗ MACIEJ MÜLLER

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARCELINA SZUMER-BRYSZ
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 10 maja, godz. 16.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

TAKUYA MATSUMOTO / AFP / EAST NEWS

Japonia wyrusza na wieloryby

PIERWSZY RAZ OD 1986 ROKU Japończycy przystąpili, z początkiem lipca, do odłowu wielorybów na mięso. „Moje serce przepełnia radość i jestem głęboko poruszony, to nasza tradycja od 400 lat" – mówił Yoshifumi Kai, szef organizacji wielorybników. Z pierwszej wyprawy przywieziono dwa okazy (na zdjęciu); najbardziej wartościowe części mięsa poszły na aukcji za rekordową kwotę – równowartość ponad 500 zł za kilogram.

Entuzjazmu tego nie podziela Międzynarodowa Komisja Wielorybnicza, którą Japonia opuściła w 2018 r., oraz inne organizacje zajmujące się ochroną zwierząt na świecie. „To smutny dzień i początek nowej szokującej ery prywatnego połowu wielorybów" – powiedziała Nicola Beynon z Humane Society International. Argumenty przeciwników wielorybnictwa są znane od lat: zagrożenie gatunku, naruszenie równowagi ekosystemu wód, ból zadawany zwierzęciu przy połowie. W przypadku Japonii dodać trzeba też nieopłacalność tej branży, zdanej na państwowe dotacje. W skali kraju czynnych jest ok. 300 wielorybników, którzy dotąd łowili jedynie w celach naukowych. Japonia broni się: gatunkom wielorybów wytypowanym do odłowu nie grozi wyginięcie, cierpienie zwierząt zaś na dużo większą skalę ma miejsce w rzeźniach całego świata.

Warto zwrócić jednak uwagę, że społeczności wielorybników leżą w okręgach wyborczych wpływowych polityków, w tym konserwatywnego premiera Abe. Dotacje na wielorybnictwo mogą służyć pozyskaniu głosów, ale też faktycznie chęci podtrzymania tradycji. Stąd zapewne wysoka temperatura sporu. Dla organizacji ekologicznych polowanie na majestatyczne ssaki morskie stało się jednym z symboli niszczącej działalności człowieka w środowisku. Dla Japończyków ugięcie się pod zagraniczną presją byłoby nie tylko oznaką słabości kraju, ale i pogwałcenia narodowej tożsamości.

© PIOTR BERNARDYN z Tokio

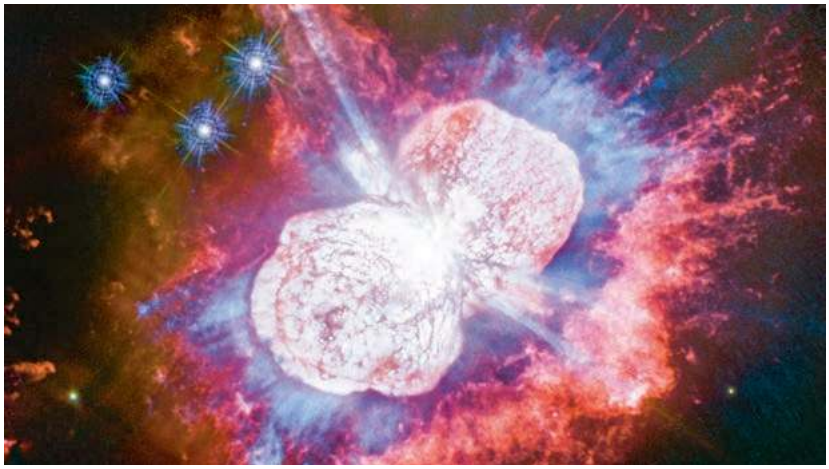

SPACE TELESCOPE SCIENCE INSTITUTE OFFICE OF PUBLIC OUTREACH

ETA CARINAE. W 1677 r. Edmund Halley skatalogował gwiazdę znaną dzisiaj jako Eta Carinae (jest to gwiazda podwójna, czyli układ dwóch gwiazd). Choć wówczas niepozorna i słabo widoczna, półtora wieku później zakłopotała astronomów, stając się na kilkanaście lat drugą co do jasności na nocnym niebie. Dzięki współczesnym teleskopom możemy podziwiać obłoki gazu i pyłu – pozostałości po wybuchach, z których największy był przyczyną silnego pojaśnienia układu. Najnowsze obserwacje, dokonane za pomocą teleskopu Hubble'a, ujawniły nieoczekiwane struktury gazu otaczającego gwiazdę (kolor niebieski). Odkrycie to pomoże zweryfikować hipotezy dotyczące początków największego z wybuchów. Eta Carinae znajduje się 7500 lat świetlnych od nas, a jej bardziej masywny składnik ma masę 150 razy większą od masy Słońca. W każdej chwili może ona zakończyć swoje burzliwe życie w jeszcze bardziej spektakularnym wybuchu zwanym supernową.

© SEBASTIAN J. SZYBKA

ADOBE STOCK

Lasy naszą szansą

URATUJĄ NAS DRZEWA: to, co rok temu wydawało się naiwną tezą z nagrodzonej Pulitzerem powieści Richarda Powersa „The Overstory", za sprawą badań opublikowanych w ubiegłym tygodniu w magazynie „Science" nabrało realnych kształtów. Naukowcy skupieni wokół politechniki zuryskiej, FAO i Międzyrządowego Centrum na rzecz Rolnictwa i Rozwoju wyliczyli, jak duży potencjał w wyłapywaniu dwutlenku węgla z atmosfery tkwi w lasach. Takich, które jeszcze nie rosną, ale mogłyby, przy obecnych uwarunkowaniach klimatycznych. Po przeanalizowaniu 80 tys. zdjęć satelitarnych ustalili, że zalesianie jest nie tyle jednym ze sposobów na walkę z katastrofą klimatyczną, co najważniejszym z nich.

Drzewa mogłyby porastać dwie trzecie powierzchni wszystkich lądów. Do obsadzenia nimi pozostaje więc jeszcze 1,7 mld hektarów, których nie zajmują miasta i tereny rolne (z punktu widzenia gospodarki to nieużytki). Największy potencjał zalesiania tkwi w Rosji, Australii, Kanadzie, Brazylii i Chinach, ale niemal każdy kraj ma tu coś do zaoferowania planecie.

Jednak wyciągając z tych badań wnioski, nie można zapominać, że las lasowi nierówny. Potencjał tkwi nie w monokulturowych uprawach (sosny, świerka czy palmy olejowej), które prędzej czy później są wycinane, lecz w tętniących życiem fauny i flory wielogatunkowych ekosystemach, które za sprawą mnogości również martwej materii organicznej skutecznie magazynują węgiel.

Więc nawet jeśli ostatecznie uratować nas mają drzewa, to i tak wszystko jest w rękach ludzi, którzy muszą pozwolić im rosnąć w spokoju.

© ADAM ROBIŃSKI

Czytaj też tekst „Miasto z oddechem" w dodatku o Krakowie, w tym wydaniu „TP".

KULTURA W SKRÓCIE

STRACHY NA OPEN'ERZE. Słynna, recenzowana także na łamach „TP" wystawa Daniela Rycharskiego „Strachy" (prezentowana do kwietnia w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej) pojechała na najpopularniejszy polski festiwal muzyczny Open'er. „Ta wystawa jest czymś w rodzaju drogi krzyżowej, pokutą nałożoną na Kościół katolicki, który może się zmienić jedynie pod wpływem nacisku z zewnątrz" – mówił artysta w rozmowie z dziennikarzami. Każdego dnia imprezy gdyńskie lotnisko Kosakowo, gdzie rozstawiane są sceny festiwalowe, odwiedzało mniej więcej sto tysięcy ludzi.

MUZEUM MIASTA GDYNI / / MAT. PRASOWE

HOFF PO RAZ PIERWSZY. W Muzeum Miasta Gdyni otwarto wystawę poświęconą twórczości Barbary Hoff. To szósty pokaz z cyklu „Polskie projekty, polscy projektanci" – i pierwszy, którego bohaterką jest kobieta (na zdjęciu: przygotowanie wystawy). Trudno w to uwierzyć, ale twórczość ikony polskiej mody nie była dotąd prezentowana na wystawie monograficznej. W Gdyni zobaczymy liczne, często niepublikowane rysunki, projekty, fotografie oraz filmy z pokazów, a także oryginalne ubrania sygnowane metką „Hoffland", wypożyczone z Muzeum Narodowego w Warszawie, Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi oraz wielu kolekcji prywatnych.

SPÓR W MUZEUM. Tymczasem z Muzeum Narodowego w Warszawie zwolniony został kolejny pracownik: prof. Antoni Ziemba, specjalista w zakresie późnośredniowiecznej i nowożytnej sztuki europejskiej. Przypomnijmy, że za rządów Jerzego Miziołka ze stołecznego MN odeszło już 48 osób, w tym niemal cały Dział Komunikacji i Programów Publicznych. Dyrektor od 9 maja jest w sporze zbiorowym z pracownikami placówki.

STEPHANE DE SAKUTIN / AFP / EAST NEWS

NAWET 130 OSÓB UMIERA DZIENNIE W USA na skutek przedawkowania opioidów (silnych leków przeciwbólowych). Jednym z najczęściej nadużywanych jest Oxycontin, produkowany przez należącą do rodziny Sacklerów firmę Purdue Pharma. Procesy wytoczyły jej już prawie wszystkie stany USA. Podczas gdy koncern wypłaca wielkie odszkodowania na walkę ze skutkami kryzysu opioidowego, przeciw przyjmowaniu pieniędzy Sacklerów przez największe muzea sztuki protestują artyści. W minionym tygodniu zebrali się pod paryskim Luwrem, którego 12 sal nosi imię producentów Oxycontinu (o tym kryzysie w USA pisaliśmy w „TP" nr 26). ©℗ MOC

Rośliny nie mają świadomości

WEGANIE MOGĄ ODETCHNĄĆ Z ULGĄ – o ile rację mają Lincoln Taiz z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Cruz i współpracownicy. W opublikowanym na łamach „Trends in Plant Science" artykule przekonują, że systemy chemicznej sygnalizacji roślin nie przypominają – pod kątem fizjologii oraz stopnia złożoności – komunikacji nerwowej występującej u zwierząt. Trudno więc mówić o istnieniu u roślin świadomości – czy to indywidualnej, czy zbiorowej, powstałej np. dzięki wymianie informacji i koordynacji zachowania większej roślinnej populacji.

Tymczasem od ponad dekady trwa ofensywa zwolenników „neurobiologii roślin", którzy z lubością mówią o podejmowaniu decyzji czy nawet procesach poznawczych, emocjach i uczeniu się roślin – np. „zliczaniu" i „zapamiętywaniu" rozmaitych sygnałów przez muchołówki. Taki język, twierdzą Taiz i współpracownicy, obiecuje jednak zbyt wiele i prowadzi do poszukiwania błędnych, ewolucyjnie nieuzasadnionych analogii. Ale ich krytyka nie wszystkich przekona. Zakłada ona bowiem, że istnieje tylko jedna forma świadomości – ta obecna u zwierząt.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Pożegnania: Warren Niesłuchowski i Wanda Warska

JOHN SCIULLI / / GETTY IMAGES

O NIM MÓWIONO: „ARTYSTA BEZDOMNY". Urodził się zaraz po wojnie w niemieckim obozie pracy w Altstadt, pięć lat później wyruszył z rodziną statkiem do Ameryki. Mówił kilkoma językami, studiował wiele kierunków, nigdzie nie zapuścił korzeni. Był językoznawcą, tłumaczem, niezależnym kuratorem – w ciągłej podróży na festiwale artystyczne, wystawy i biennale. Honorariów nie przyjmował z powodów formalnych (brak konta) i sprzeciwu wobec tego rodzaju międzyludzkiego kontraktu.

ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

ONA TO LEGENDA POLSKIEJ MUZYKI, jeszcze od lat 60. Wokalistka jazzowa, kompozytorka. Wraz z mężem Andrzejem Kurylewiczem założyła warszawską Piwnicę Artystyczną, w której występowali m.in. Tadeusz Łomnicki, Maja Komorowska, Wojciech Młynarski. ©℗ MOC

Niemcy: sztuka energii

GDY 30 LAT TEMU zamykano elektrownię węglową w Luckenwalde, mieszkańcy tego miasteczka w Brandenburgii (blisko granicy z Polską) odetchnęli – dosłownie – z ulgą. Żal im było tylko siedziby: pięknego secesyjnego budynku. Gdy z braku pomysłu na zagospodarowanie ponad 10 tys. metrów kwadratowych postanowiono sprzedać starą elektrownię, w mieście zjawił się Pablo Wendel. Szef niekomercyjnego kolektywu artystycznego Performance Electrics, od lat realizuje nowatorskie pomysły na wykorzystanie odnawialnych źródeł energii. Kiedyś jeden z jego pierwszych projektów polegał na podłączaniu baterii słonecznych do bannerów reklamowych.

Teraz zaprojektowana przez niego E-WERK w Luckenwalde będzie neutralna pod względem emisji CO_2, zamiast węgla brunatnego wykorzysta zrębki świerkowe z sąsiedniej fabryki. Na początek będzie produkować 40 kilowatów na godzinę – starczy, by zasilić 200 domów i galerię sztuki, która dla publiczności zostanie otwarta we wrześniu. ©℗ MOC

STREFA DIALOGU NA SLOT ART FESTIVAL

Dajcie nam się poznać!

Po raz kolejny „Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkania do Strefy Dialogu odbywającej się podczas Slot Art Festival (Lubiąż 9–13 lipca).

	Środa, 10 lipca	Czwartek, 11 lipca	Piątek, 12 lipca	Sobota, 13 lipca
Przebudzenie Ducha 9:00–10:30	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	Redakcja TP **Śniadanie otwarte z Redakcją „TP"**
Wtajemniczacze 11:00–12:30	Justyna Dąbrowska **Starsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Adam Robiński **Mniejsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Anna Goc **Głusi** Prowadzenie: Marcin Żyła	Michał Okoński **Spoceni, czyli rzecz o futbolu** Prowadzenie: Monika Ochędowska
Nowa wspólnota 13:00–14:30	Zuzanna Radzik **Terapia strachów**	Dariusz Rosiak **Rozpad Europy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Piotr Mucharski **Polska po Gdańsku** Prowadzenie: Marcin Żyła	Adam Bodnar **Co może obywatel** Prowadzenie: Marcin Żyła
Światy & przestrzenie 20:00–21:30	Stanisław Łubieński **Ptaki** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Karolina Cicha **Muzyka i świat** Prowadzenie: Marcin Żyła	Bartek Dobroch **Mapy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Ryszard Koziołek **O wyobraźni** Prowadzenie: Monika Ochędowska

Spragnieni dobrej lektury? Zapraszamy na leżaki do letniej czytelni „Tygodnika Powszechnego". Więcej o Strefie Dialogu na powszech.net/slot

Spotkajcie się z nami!

SLOT ART FESTIVAL, Lubiąż k. Wrocławia, pełny program oraz bilety: slot.art.pl

Specjalna oferta prenumeraty „TP" dla uczestników festiwalu – sprawdź!

TYGODNIK POWSZECHNY

SLOT ART FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

BEZ ZNIECZULENIA

Co piąty Polak cierpi na przewlekły ból.
Wielu dlatego, że porzuciła ich służba zdrowia.
A oni sami uwierzyli w nieśmiertelny stereotyp: „boli, bo musi".

TEKST PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

B. (po sześćdziesiątce, z dużego miasta) z chorobą kręgosłupa i bólem żyje od 40 lat. W sierpniu ubiegłego roku wezwała karetkę. – Nie było mowy o czytaniu, myśleniu, rozmawianiu, jedzeniu, spaniu. Wcześniej wiele dni spędziłam na podłodze, wyjąc i poruszając się głównie na kolanach. Wykrzywiło mi twarz, zdrętwiała mi ręka. Bałam się, że to paraliż, więc zadzwoniłam na pogotowie – mówi.

W karetce nie mogła leżeć. W poczekalni stała oparta o ścianę. Jakiś czas po wyjściu ze szpitala poszła do fryzjera. – Okazało się, że jak nie miałam prawie siwych włosów, tak teraz jestem niemal biała – opowiada B.

Szymon Chrostowski, były prezes Fundacji Wygrajmy Zdrowie, przeżył z przewlekłym bólem 11 miesięcy, chorując na nowotwór. – W ciągu dnia było nie najgorzej. Potem opadała adrenalina, a żeby przetrwać noc, leżałem w pozycji embrionalnej, bo tylko taka przynosiła ukojenie – opowiada.

Dr hab. n. med. Anna Przeklasa-Muszyńska (Zakład Badania i Leczenia Bólu Katedry Anestezjologii i Intensywnej Terapii Collegium Medicum UJ) zapamiętała scenę z przyszpitalnej poradni, w której pracuje. Pacjent, który pojawia się na pierwszej wizycie, jeszcze na korytarzu wszczyna awanturę. – Ktoś mógłby powiedzieć: „agresywny" – opowiada lekarka. – Cierpiał, bo w piątek wypuszczono go ze szpitala do domu z informacją, że leczenie przyczynowe jego raka trzustki się zakończyło. Tyle że nikt nie wyposażył go w leki przeciwbólowe. A do nas trafił w poniedziałek...

Papiery się zgadzają

Na ból przewlekły (lekarze mówią o nim, gdy trwa dłużej niż trzy miesiące) cierpi co piąty Polak. Co dwudziesty zmaga się z cierpieniem nie tylko długotrwałym, ale też silnym. Boli nas, gdy chorujemy na nowotwory, zaś w grupie schorzeń nieonkologicznych, którym towarzyszy fizyczne cierpienie, dominują zwyrodnienia stawów (34 proc.), kłopoty z krzyżem (18 proc.), głową (15 proc.) oraz urazy (12 proc.).

Te dane oznaczają, że kilka milionów Polaków zmaga się na co dzień także ze zdrowotnymi, psychologicznymi i społecznymi skutkami bólu. Obniżeniem odporności, zaburzeniami snu, problemami z odżywianiem, uzależnieniem od leków, zaburzeniem życia zawodowego, izolacją od otoczenia, lękiem, a w konsekwencji – bywa – depresją i myślami samobójczymi (lista za stroną Polskiego Towarzystwa Badania Bólu).

Jeśli coś w najbliższych latach w „bólowych" statystykach drgnie, to raczej na niekorzyść.

Po pierwsze: bo ból to coraz częściej dolegliwość cywilizacyjna. – Nazywamy ten jego rodzaj funkcjonalnym – opisuje Anna Przeklasa-Muszyńska. – Dotyczy np. kręgosłupa czy stawu skroniowo-żuchwowego i jest związany z codziennym napięciem.

Po drugie: bo żyjemy coraz dłużej. To pozytywne bez wątpienia następstwo rozwoju medycyny ma też swój efekt uboczny: choroby (np. nowotwory), z powodu których jeszcze kilka dekad temu Polacy umierali szybko, stają się czymś w rodzaju schorzeń przewlekłych. Z przewlekłym bólem – nawet jeśli skutecznie łagodzonym – jako nieodłączną ich częścią.

Gdyby sytuację tej kilkumilionowej armii cierpiących Polaków analizować z punktu widzenia zadekretowanych praw pacjenta, byłoby całkiem nieźle.

Zwłaszcza od marca 2017 r., gdy Sejm zmienił ustawę o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, dając prawo do leczenia bólu już nie tylko osobom chorym terminalnie, ale wszystkim. I nakładając na każdy podmiot leczniczy obowiązek określania stopnia cierpienia oraz monitorowania skuteczności kuracji. – To był sukces symboliczny i moralny – ocenia Szymon Chrostowski, współzałożyciel koalicji Wygrajmy z Bólem, który lobbował na rzecz zmian. – Szybko jednak dotarły do mnie głosy prawników, że realnie ten przepis niewiele da, bo nie ma narzędzi, dzięki którym dałoby się go egzekwować.

Anna Kupiecka, założycielka i prezeska Fundacji OnkoCafe, pomagającej osobom cierpiącym na nowotwory: – Jak zwykle w naszym kraju skupiliśmy się na tym, żeby „w papierach się zgadzało". Z praktyką jest znacznie gorzej.

Dr Jerzy Jarosz, anestezjolog, specjalista medycyny paliatywnej, koordynator medyczny Hospicjum pw. św. Krzysztofa w Warszawie: – Zmieniło się niewiele. Wprowadzono kolejne prawo, które jest bujdą na resorach, bo nie da się go skutecznie egzekwować.

B., pacjentka z chorobą kręgosłupa: – Byłam u dziesiątek lekarzy pierwszego kontaktu, neurologów, profesorów. I jak żyję, nie słyszałam o prawie pacjenta do łagodzenia bólu. Nikt nigdy nie zapytał mnie, jak silne jest moje fizyczne cierpienie.

Lekarz się boi

Polska odporność na ból – a w zasadzie na jego leczenie – zaczyna się na studiach medycznych. – Najważniejszy i najczęstszy objaw w medycynie jest na uczelniach traktowany marginalnie – mówi, prosząc o anonimowość, anestezjolog pracujący w dużym mieście. – Na studiach poświęcamy sto lub więcej godzin na przekazywanie ogromnego ładunku wiedzy teoretycznej, takiej jak biochemia na poziomie komórkowym, a na ból poza kursem medycyny paliatywnej jest tych godzin sześć! Tymczasem z praktycznym zastosowaniem tej teoretycznej wiedzy lekarz zetknie się może raz na dekadę, z bólem zaś będzie się stykał na co dzień.

Dr hab. Przeklasa-Muszyńska: – Te sześć godzin to w zasadzie nic. Na weterynarii poświęca się na tematykę bólu ponad sto godzin.

Dr n. med. Magdalena Kocot-Kępska z CM UJ: – Problem nie jest specyficznie polski. Dotyczy większości krajów europejskich. U nas wynika głównie z tego, że trudno przekonać władze uczelni medycznych, by zmieniły programy kształcenia.

Efekt? Brak wiedzy lekarzy pierwszego kontaktu, którzy zgodnie z logiką działania systemu mogliby „obsługiwać" pacjentów z nawet najostrzejszymi kryzysami. Wielu tego nie robi.

Dr Przeklasa-Muszyńska nie raz zetknęła się z sytuacją, w której pacjent mogący pozostać pod opieką lekarza rodzinnego był odsyłany do poradni. – Gdy pytamy, po co jechał do nas kilkaset kilometrów, słyszymy: bo lekarz powiedział, że nie wolno mu wypisać recepty na silny opioid. To oczywista nieprawda. Choć warto dodać, że jest coraz więcej lekarzy POZ, którzy z bólem przewlekłym radzą sobie dobrze.

Problem nie dotyczy zresztą wyłącznie podstawowej opieki zdrowotnej. Bywa, że podawania najsilniejszych leków boją się lekarze specjaliści. A nawet załogi karetek. Badania przeprowadzone na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym pokazały, że tylko co piąta osoba przewożona ↦

karetkami pogotowia miała łagodzony ból na miejscu wypadku bądź w drodze do szpitala. – Wymówka, że podanie środków zaburza obraz diagnostyczny, jest już dawno nieaktualna – komentuje Szymon Chrostowski. – Nowoczesna medycyna dysponuje lekami działającymi krótkotrwale i karetki są w te specyfiki wyposażone.

Statystycznym wyznacznikiem tego, jak traktuje się w Polsce silny ból, jest niechęć do najsilniejszych środków: opioidów, do których należy m.in. popularna morfina. „W naszym kraju zużycie silnych analgetyków opioidowych, szczególnie skutecznych w leczeniu bólu ostrego (pooperacyjnego, pourazowego), bólu przewlekłego u chorych na nowotwory i bólu przewlekłego pochodzenia nienowotworowego, jest średnio pięciokrotnie mniejsze niż w Europie" – alarmowała dwa lata temu NIK.

W środowisku lekarskim nie ma zgody, co jest tego przyczyną. Jedni mówią o braku wiedzy, inni o „narkofobii", czyli przesadnym lęku przed podawaniem środków mogących powodować efekty uboczne i uzależnienie.

Dr Jarosz radzi, by z piętnowaniem tej ostatniej uważać. Zwłaszcza w momencie, gdy coraz głośniej mówi się o (opisywanej niedawno w „TP" przez Martę Zdzieborską) fali uzależnień i zgonów spowodowanych przedawkowaniem opioidów w USA. – Gdy napisałem niedawno w prasie branżowej, że powinniśmy przestrzegać przed wybuchem podobnego zjawiska w Polsce, podniosło się oburzenie. A ja domagam się tylko rzetelnej dyskusji na ten temat – mówi dr Jarosz.

Ale nawet on przyznaje: dziś większym problemem od prewencyjnego ostrzegania przed opioidami jest lęk przed nimi.

– Zużywamy wielokrotnie mniej opioidów nie tylko od USA, ale też od krajów europejskich, gdzie o żadnym kryzysie nie ma mowy. I nic nie wskazuje na to, by ostatnie zmiany prawne cokolwiek w tej mierze zmieniły – uważa dr Kocot-Kępska.

Krakowska lekarka przywołuje wyniki ankiet przeprowadzonych przez Michała Graczyka, bydgoskiego specjalistę medycyny paliatywnej. – Wyszło z nich, że i studenci, i pracujący już lekarze boją się podawać opioidy z trzech powodów: ryzyka zaburzeń oddechowych, objawów niepożądanych i uzależnienia.

– Swego czasu przeprowadziliśmy ankietę wśród trzystu onkologów – dodaje Szymon Chrostowski. – Gdy pytaliśmy, czy uśmierzają ból, wszyscy odpowiedzieli twierdząco. Ale gdy dowiadywaliśmy się, jakich specyfików używają, na opioidy wskazało 2 procent ankietowanych!

System pęka w szwach

I bez tych lęków polski pacjent miałby pod górkę. B. nie miała nigdy do lekarzy pretensji o to, że nie przepisali jej tego czy innego specyfiku. Jej frustracje wynikające z bycia „klientem" polskiej służby zdrowia są zupełnie inne.

Pierwsza: że lekarze jej ból zbywają lekceważeniem. – Na pogotowiu dali mi magnez, mówiąc, że „to trzeba przeczekać" – opowiada B. – Pewien profesor powiedział: „Ten ból, proszę pani, musi pani pokochać jak mężczyznę". Odpowiedziałam: „To ja już bym wolała mężczyznę".

Frustracja druga: że leczenie nigdy nie było skoordynowane. – W szpitalu myślałam, że skoro tu trafiłam z takim kryzysem, to zostanę na dłużej, a lekarze zrobią mi diagnostykę. Nic z tego, nie spytano mnie nawet o natężenie bólu – opowiada kobieta. – Jeśli chodzi o neurologów, obeszłam już w swoim mieście wszystkich, a w sąsiednim połowę. Gdy jednego z nich poprosiłam o skierowanie na rezonans, napisał w karcie, że pacjentka się zdenerwowała, gdy odmówiono jej badania. Pojechałam do Krakowa, do wybitnego profesora. Położyłam przed nim grubą teczkę z wynikami badań. Nawet nie spojrzał. Na koniec zaproponował leczenie u swojego znajomego lekarza „metodą oddechową". Fizjoterapia? Jest w moim przypadku bardzo pomocna. Ale chodzę prywatnie, bo na dostęp do tej publicznej czeka się nawet rok.

Wiele z przywołanych przez B. historii to problemy systemowe. NIK ustaliła rok temu, że w większości szpitali „nie opracowano i nie wdrożono zasad postępowania zapewniających leczenie i monitorowanie skuteczności leczenia (...) Pacjentom nie zapewniono zatem należytego dostępu do leczenia bólu (...)".

Problem kolejny: dramatyczny niedobór specjalistycznych poradni leczenia bólu, przeznaczonych dla tych pacjentów, których problem wymaga bardziej skomplikowanej kuracji (poza farmakoterapią także fizjoterapii albo bardziej inwazyjnych metod). Efekt to terminy oczekiwania na wizytę sięgające kilku miesięcy, a nawet więcej.

– Pacjenci w szczególnych przypadkach, np. chorzy z silnymi dolegliwościami w przebiegu choroby nowotworowej, zostaną przyjęci niemal od ręki – zapewnia dr Przeklasa-Muszyńska, która pracuje w jednej z krakowskich poradni. – Ale już ci z bólem nienowotworowym muszą poczekać do II kwartału 2020 roku.

– Od tego powinniśmy zacząć, bo to historia nie z tej ziemi – komentuje Anna Kupiecka z OnkoCafe. – To są przecież ludzie, którzy nie są w stanie myśleć o niczym innym poza bólem. Powiedzieć im, żeby czekali do września albo stycznia, to coś niewyobrażalnego.

Na przyczyny problemu zwraca uwagę Marek Cytacki z Biura Rzecznika Praw Pacjenta: – Po pierwsze brakuje specjalistów. Przyczyna druga: ekonomia. Sami lekarze z tych poradni mówią, że świadczenia w leczeniu przewlekłego bólu są niedoszacowane. W efekcie pacjent czeka długo na wizytę, a gdy już się do poradni dostanie, zamiast 45 minut wizyty dostaje średnio poniżej kwadransa.

Kolejny deficyt: fizjoterapia. – Całościowe podejście do bólu to coś znacznie więcej niż farmakologia – tłumaczy dr Jarosz. – Zwłaszcza w takich schorzeniach jak zwyrodnienia stawów, które wpisują się w model starzejącego się społeczeństwa. Tymczasem fizjoterapia jest w Polsce kompletnie zaniedbana. Chory po operacji biodra, w przypadku którego rehabilitacja jest absolutną podstawą, czeka pół roku albo i więcej!

Dr Przeklasa-Muszyńska przytacza inny przykład: – Mama mojej koleżanki czekała na zabiegi w związku ze schorzeniem lędźwiowego odcinka kręgosłupa. Czekała tak długo, że problem przestał być aktualny. A przyjęto ją łaskawie w zarezerwowanym terminie z powodu... urazu kolana, którego nabawiła się w międzyczasie.

Paliatywne oczekiwanie

Jeśli istnieje w Polsce jakiś wycinek systemu, do którego w kontekście leczenia bólu rzadko zgłasza się zastrzeżenia, jest nim opieka paliatywna, a w zasadzie dość gęsta już sieć hospicjów. Tyle że do systemu tego trzeba się najpierw dostać.

Marek Cytacki z biura RPP wspomina cierpiącą na nieuleczalny nowotwór kobietę, która po intensywnym leczeniu onkologicznym została wypuszczona do domu. – Zgłosiła się do hospicjum, ale okazało się, że musi czekać na łóżko – opowiada Cytacki. – Problem w tym, że w trakcie oczekiwania nikt nie zabezpieczył jej leczenia przeciwbólowego. Prowadzący pacjentkę lekarz odmówił wydania środków twierdząc, że potrzebuje opinii lekarza specjalisty. Nie doczytał wyraźnego zalecenia na karcie informacyjnej.

O podobnym przypadku opowiada Anna Kupiecka, która sama chorowała przed laty na raka piersi. – Pomagamy teraz chorej na nieuleczalny nowotwór płuc – relacjonuje. – Skończyło się leczenie przyczynowe i została po prostu wypuszczona do domu. A rodzina nie otrzymała żadnej informacji, zanim zetknęła się z dramatem. Pani jest teraz pod opieką hospicjum, ale wcześniej jej rodzina nie wiedziała nawet, że taka pomoc im przysługuje. Kobieta cierpiała niepotrzebnie: taki ból można znosić przez kilka godzin, ale nie tygodni.

Pacjent łyka, co popadnie

Anna Kupiecka nie raz spotkała się ze stereotypem „roszczeniowy pacjent". – Tylko że ta postawa z czegoś wynika. Często z faktu, że lekarz pacjentowi nie wierzy. A on, gdy mówi: „Boli mnie", prosi często o więcej uwagi, rozmowy, zrozumienia. Bo czy boli serce, urwana noga, rana po operacji, czy może dusza z powodu choroby, pacjent potrzebuje wsparcia – mówi Kupiecka.

Dodaje, że i pacjenci nie są bez winy: – Coraz częściej spotyka się jedną z dwóch skrajnych postaw. Jedni nie chcą się leczyć i czegokolwiek brać aż do momentu, gdy już się nie da żyć. Drudzy chodzą od lekarza do lekarza, zbierają recepty, a także kupują dostępne bez recepty tabletki, łykając je bez jakiejkolwiek kontroli.

– A później trafiają na SOR-y: z krwawieniem układu pokarmowego, ostrą niewydolnością nerek lub wątroby – dopowiada dr Przeklasa-Muszyńska.

W zeszłym roku sprzedaż leków bez recepty i suplementów diety w Polsce była najwyższa od kilku lat. A za wzrost tego segmentu odpowiedzialne było m.in. wprowadzenie silnego leku ketonal bez recepty. I bez niego jednak biliśmy rekordy spożycia. Ogłoszone kilka lat temu badania Reckitt Benckiser pokazały, że łykamy rocznie dwa miliardy tabletek (bądź saszetek) zawierających leki przeciwbólowe, a tylko kilka procent z tej liczby to specyfiki przepisane przez lekarzy.

Jak nietrudno się domyślić, te masowo ordynowane sobie przez Polaków środki nie są dowodem na skuteczne radzenie sobie z bólem. Przeciwnie: są raczej sygnałem, że w walce z fizycznym cierpieniem czujemy się często osamotnieni.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ból wyznacza nam granice

KATARZYNA TURZAŃSKA, LEKARZ:

Średnia długość życia znacznie się wydłuża. I nie chodzi o to, by brać garściami tabletki dla przetrwania czasu, kiedy jesteśmy mniej sprawni, lecz o to, by jakość życia była jak najlepsza.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czy ból ma płeć?

KATARZYNA TURZAŃSKA: Ból dotyczy kobiet, mężczyzn, dzieci. I zwierząt, a płeć niektórych z nich nie jest łatwo definiowalna. Ból odczuwają też rośliny. Zaobserwowano, jak starsze drzewa informują się o tym, że atakują pasożyty lub odbywa się karczowanie lasu. Ból jest więc uniwersalny, nie nadawałabym mu żadnej płci.

Ale czy Pani jako lekarz widzi różnicę w reakcjach na ból mężczyzn i kobiet?

Kobiety są bardziej wytrzymałe na ból przewlekły. Jeśli jednak mamy do czynienia z krótkimi oraz intensywnymi dolegliwościami bólowymi, które pojawiają się np. w trakcie uprawiania sportu, to obie płcie są przygotowane dość dobrze. Choć chłopcom ciągle się jeszcze mówi: „Nie płacz, nie możesz się mazać".

Dobrze, że tak się mówi?

To zależy... Czasami obserwuję, jak idzie dziecko, wywraca się, patrzy, czy nie ma w pobliżu rodzica, wstaje, otrzepie się, a zaczyna płakać dopiero, gdy podchodzi mama lub tata. Może warto wtedy powiedzieć dziecku, że to, co się wydarzyło, to nie powód, by rozpaczać, niezależnie czy jest to chłopiec czy dziewczynka?

Ile musi trwać ból, aby uznać go za przewlekły?

Dłużej niż trzy miesiące. Ból mierzy się w skali od 0 do 10, gdzie zero to brak bólu, a 10 to najgorszy ból typu „amputacja nogi na żywca". W poradni leczenia pacjentów nowotworowych spotykałam się z pacjentami, którzy mówili, że ich ból plasuje się między 4 a 5, i teraz są szczęśliwi, bo wcześniej jego natężenie sięgało między 8 a 9. Gdy ból maleje, po człowieku widać to natychmiast. Dodam, że dla kogoś zdrowego ból w skali 4-5 jest trudny do zniesienia.

Naprawdę ból da się zmierzyć?

Właśnie nie do końca. Nawet gdybyśmy mieli urządzenie, które zmierzy ból, to nie da się powiedzieć, że u dwóch osób takie samo jego natężenie daje identyczne objawy. Tu grają rolę czynniki jednostkowe, komponenty fizyczne i psychiczne. Coraz głośniej i częściej mówi się, by bólu nie lekceważyć, bo, niestety, wcześniej dla lekarzy to było kompletnie nieistotne. Przez fakt, że odczucie bólu jest subiektywne, nie możemy komuś powiedzieć, że go nie ma prawa coś boleć, skoro właśnie na to się skarży.

Kobiety mogą się częściej skarżyć ze względu na zagęszczenie receptorów bólowych.

Taka jest kobieca anatomia i fizjologia. W bardziej złożony i intensywniejszy sposób od mężczyzn odczuwamy nie tylko ból, ale i orgazm. Poza tym kulturowo kobiety bardziej przygotowuje się do znoszenia bólu. Starsze pacjentki go przemilczają, uznają, że musi boleć, bo mają swoje lata. Natomiast mężczyźni znacznie częściej informują o swoim bólu na samym początku rozmowy z lekarzem.

W przekazie kulturowym kobieta jest przypisana do bólu. Bóg w Księdze Rodzaju mówi do niewiasty: „Obarczę cię niezmiernie wielkim trudem twej brzemienności, w bólu będziesz rodziła dzieci...".

Ból porodowy w dziesięciostopniowej skali plasuje się między 8 a 9.

Ale jeszcze chciałam coś powiedzieć o starszych osobach. Średnia długość życia znacznie się wydłuża. I nie chodzi o to, by wcinać garściami tabletki dla przetrwania czasu, kiedy jesteśmy mniej sprawni, lecz o to, by jakość życia była jak najlepsza. W reklamach środków przeciwbólowych babcia chce biegać z wnuczkiem, coś ją zaboli w plecach, zażywa lek, czary-mary i nagle wszystko ją przestaje boleć. Tak to nie działa.

A jak działa?

Jeżeli ktoś na przykład cierpi na rwę kulszową, zażyje silne leki przeciwbólowe, a potem zacznie dźwigać szafy, to może sobie tak pogorszyć stan, że konieczna będzie nawet operacja, albo choroba będzie trwać znacznie dłużej. Identycznie robią niektórzy sportowcy – uśmierzają ból, byle móc kopać w piłkę. Wyraźnie jednak trzeba powiedzieć, że w ten sposób człowiek sobie szkodzi. Natomiast uzasadnione jest uśmierzenie bólu ze świadomością, że dalej mamy obserwować swoje ciało. To też pewien rodzaj diagnostyki – jeżeli po tabletce silny ból głowy ustąpi, raczej nie należy się obawiać, że to krwawienie wewnątrzczaszkowe.

Skrajności zwykle nie są korzystne – zarówno ludzie, którzy biorą mnóstwo leków, bo „nie mogą być chorzy ani chwili", jak i ci, którzy nie wezmą ani jednej tabletki i pojawiają się w SOR z zapytaniem, „dlaczego bolą ich żebra od tygodnia po uderzeniu?". Na moje pytanie, czy zażywali jakieś leki przeciwbólowe, twierdzą, że nie, bo „nigdy takich nie biorą".

Podobnie wygląda sprawa z przeziębieniem – nie jest rozsądne to, co pokazują reklamy: człowiek faszeruje się wszystkimi dostępnymi środkami, by móc pojeździć na rowerze i popływać w basenie, zamiast kurować się w łóżku. Przerażające jest to, że Polska jest wiodącym krajem w Europie w zakupie rozmaitego rodzaju suplementów.

Dlaczego tak się dzieje?

To konsekwencja braku wiedzy – ludzie nie mają pojęcia o lekach przeciwbólowych. Na przykład zażywają tabletki, gdzie jest ta sama substancja czynna pod różnymi nazwami handlowymi, i są przekonani, że wszystko jest w porządku. A nie jest, bo mogą przedawkować dany lek. Łączenie leków przeciwbólowych czy jakichkolwiek innych także wymaga wiedzy. Nawet wśród lekarzy nie ma często prawdziwej informacji na temat dawek maksymalnych leków przeciwbólowych i kojarzenia ich z innymi lekami.

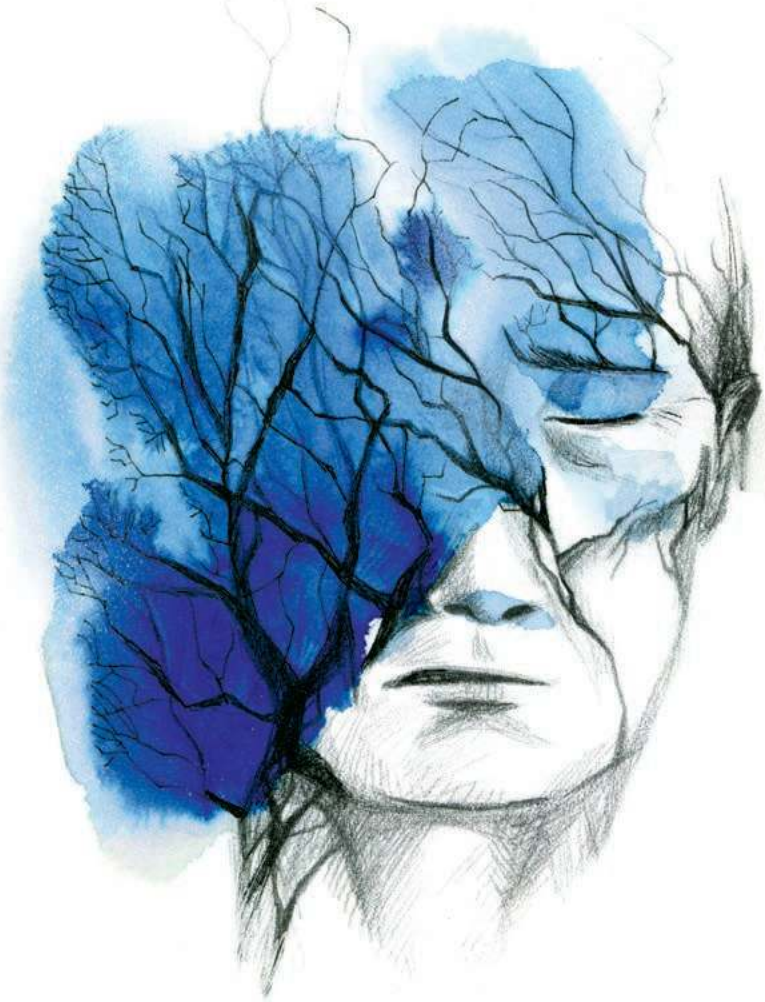

To jest dopiero przerażające.

Skończyłam niedawno podyplomowe studia z medycyny bólu, dobrze, że takie studia są dostępne dla lekarzy każdej specjalizacji. Z racji bycia anestozjologiem musiałam zdobyć sporo tej wiedzy, natomiast tematyka leczenia bólu wśród innych specjalistów, a także wśród studentów medycyny, wciąż wydaje się być na niewystarczającym poziomie. Jednak wśród lekarzy ten rodzaj dokształcania zaczyna być popularny, coś się zmienia na lepsze. Coraz więcej szpitali też chce uzyskać certyfikat „szpitala bez bólu".

Losy Aleksandra Wata pokazują, jak uporczywy ból rujnuje psychikę. Na początku lat 50. poeta zapadł na zespół opuszkowy Wallenberga, który wywołuje ostre bóle głowy. Leczył się za granicą, w połowie lat 60. poczuł się nawet lepiej, ból zelżał, by potem wrócić ze zdwojoną siłą. Wtedy Wat poddał się i popełnił samobójstwo.

Dziś Wat byłby, miejmy nadzieję, skutecznie leczony, dawniej medycyna była bezradna wobec tego rodzaju bólu. Mój dziadek zmarł z powodu choroby nowotworowej w wielkich bólach, bo uważano, że cały czas jest za wcześnie, by mu dawać morfinę. Lekarz mówił, że dziadek się przyzwyczai. Kompletna bzdura: do czego miałby się przyzwyczaić umierający człowiek? Nie istnieje maksymalna dawka morfiny – jeśli przestaje ona działać, to się ją zwiększa, tak jak u narkomana. Tyle że nie robi się tego po to, by wywołać u kogoś odlotowe doznania, lecz po to, by zmniejszyć ludzkie cierpienie. Dziś na dużą skalę informuje się lekarzy wszelkich specjalizacji, by nie bali się stosować opioidów. W ogóle jest więcej nowych przeciwbólowych substancji – coraz lepiej radzimy sobie z bólem. Ale nie każdy trafia do odpowiedniego specjalisty w odpowiednim czasie. Nasuwa się pytanie o granicę tego, ile człowiek może znieść.

To jest kluczowe pytanie.

Spora część leków przeciwbólowych to leki przeciwdepresyjne oraz przeciwpadaczkowe. Nie należy się dziwić, jeśli lekarz przepisuje takie leczenie. W coraz większej liczbie miejscowości działają poradnie leczenia bólu, ale mało pacjentów o nich wie. Zanim tam trafią, odwiedzają gabinety rozmaitych specjalistów, gdzie lekarze koncentrują się często na swojej działce, nie traktując bólu holistycznie. Istnieje coś takiego jak zespół bólowy miednicy mniejszej. Kobieta mówi, że ma dolegliwości w okolicy miednicy, warg sromowych, pochwy... Ginekolog ją bada, nie znajduje niczego niepokojącego, uznaje ją za zdrową, a objawy nie ustępują. Na tę chorobę mogą pomóc leki niestandardowe, czasami konieczna jest blokada nerwu sromowego, wykonywana w poradni leczenia bólu. Dobrze, że zaczyna się o tym mówić, bo wcześniej sporo ginekologów w ogóle nie wiedziało o tym zespole, a cierpiące na to kobiety były uważane za histeryczki.

A co z bólem psychosomatycznym?

W Polsce tą dziedziną właściwie nikt się nie zajmuje, a choćby w Niemczech istnieją odrębne oddziały medycyny psychosomatycznej. Nie jest to choroba psychiczna – tak więc psychiatra tu niekoniecznie się nada, ale nie jest to też choroba czysto somatyczna – to znaczy nie ma ewidentnej przyczyny w zaburzeniach fizjologii czy anatomii człowieka.

Od dawna wiadomo, że psychika mocno wpływa na somatykę. Wszystkie narządy funkcjonują zgodnie z fizjologią, a jednak ktoś ma przewlekłe kłopoty na przykład z układem pokarmowym. Musztruje się takich ludzi: „Daj spokój, jesteś hipochondryk, nie wymyślaj sobie takich rzeczy, przecież wszystko jest w porządku". Takie podejście powoduje, że pacjent głupio się z tym czuje, nie wie, co ma dalej zrobić, skoro w żadnych badaniach „nic nie wyszło", a on ma objawy, odczucia, cierpi... Tymczasem choroby psychosomatyczne są jak najbardziej poważne i zdecydowanie trzeba je leczyć.

Znajdziemy jakiś pozytywny aspekt w doświadczeniu bólu?

Jasne, ból nas chroni przed niebezpieczeństwem, wiemy, że trzeba cofnąć dłoń przed ogniem, by się nie sparzyć.

Istnieje choroba, w której człowiek nie odczuwa bólu, tzw. analgezja wrodzona. Człowiek nie czuje uderzenia, więc nie reaguje na szkodliwe bodźce, choćby nie zasłania głowy w czasie upadku. Chorzy na analgezję nieraz giną w młodym wieku ↦

z powodu poparzenia czy wykrwawienia. Ci ludzie mają też często obniżony iloraz inteligencji – ból jest istotny w rozwoju intelektualnym. Prawdziwe jest powiedzenie: „Póki się nie sparzysz, to się nie nauczysz". Ból wyznacza granice w trakcie treningu i nie pozwala na nadwerężanie mięśni czy stawów. Z kolei ból porodowy jest sygnałem, że zaczyna się akcja porodowa – skurcze występują najpierw co dziesięć minut, potem co trzy, w końcu trzeba przeć, by dziecko mogło wydostać się na świat.

Gdy rodząca jest znieczulona, to bólu nie czuje.

Kiedy znieczulenie jest dobrze wykonane, to kobieta czuje skurcze, a nawet ból, tylko w znacznie mniejszym natężeniu. Ból jej nie paraliżuje, a poród siłami natury staje się łatwiejszy. Uważam, że to ważne, by informować kobiety zarówno podczas znieczulenia do porodu, jak i znieczulenia do cięcia cesarskiego, co to znieczulenie ma spowodować.

Gdy przygotowuję pacjentki do cięcia cesarskiego, to je informuję, że znieczulenie podpajęczynówkowe nie eliminuje całkowicie doznań. Kobieta może czuć dotyk, tak jak przy znieczuleniu zęba, a także czasami nieprzyjemne uczucie ucisku podczas wydobycia dziecka, gdy ginekolog naciska od góry na brzuch. Kiedy nie mówiłam o tym kobietom, były czasem przerażone tym, że cokolwiek czują, bo sądziły, że znieczulenie wyeliminuje wszelkie doznania. Oczywiście kluczowe jest, by nie bolało, jeśli jest inaczej, natychmiast należy poinformować anestezjologa i wtedy musimy sobie poradzić tak, by bólu nie było.

Rodziłam dwukrotnie i z pełną świadomością nie chciałam brać znieczulenia zewnątrzoponowego.

Bo znieczulenie niektórym kobietom nie jest potrzebne, dobrze radzą sobie z bólem, mają wysoki próg bólu. Natomiast jeżeli kobieta ma niski próg bólu, to znieczulenie bardzo jej pomoże. Jestem w siódmym miesiącu bliźniaczej ciąży. Jeżeli będę rodzić naturalnie, a bardzo bym chciała, to zdecyduję się na znieczulenie – ono mi doda pewności, odwagi i sił na aktywne uczestniczenie w porodzie. Byłam przy wielu porodach i widziałam pacjentki odczuwające gigantyczną ulgę po założeniu cewnika, przez który podaje się leki. Odprężały się i łatwiej przechodziły resztę porodu.

A czy jednak ten ból porodowy nie jest wyolbrzymiany? To właśnie kobiety wzajemnie się straszą porodowymi koszmarami. Może warto słuchać pozytywnych przekazów? Przed pierwszym porodem usłyszałam od niewiele starszej koleżanki: „Ból psychiczny nieraz jest większy od tego, który doświadczysz w czasie porodu". To jedna z najprawdziwszych rzeczy, jakie usłyszałam w życiu.

Mimo wszystko ciężko jest porównywać te dwa bóle. Trzeba też pamiętać, że nie wszystkie dzieci są chciane, wtedy porody są trudniejsze, towarzyszy im mnóstwo niepokoju. Nieraz ojciec zostawia matkę jeszcze w ciąży i ona boi się, nie wie, co będzie później. Bywa, że sytuacja finansowa jest fatalna, a na to wszystko może się nałożyć depresja poporodowa. Tak więc niełatwo jest „kazać się kobiecie pozytywnie nastawić do porodu" i twierdzić, że wtedy nie będzie bolało. Część kobiet liczy na to, że „uda się" bez znieczulenia, a potem czują się niepełnowartościowe i załamane, jeśli już się na to znieczulenie decydują. Myślę, że to powinien być świadomy wybór każdej kobiety, po zapoznaniu się z możliwościami znieczulenia farmakologicznego czy też metod niefarmakologicznych w konkretnym szpitalu znacznie przed terminem porodu.

To skąd się bierze popularność cesarskiego cięcia? Coraz więcej kobiet się go domaga, mimo że nie ma ku temu wskazań.

Lekarze obecnie boją się, że gdy w czasie porodu pójdzie coś nie tak, to oni będą później za to odpowiadać. Dlatego jeśli jest najdrobniejsze wskazanie do cięcia cesarskiego, to będą je robić.

A jeśli nie ma?

Niektóre kobiety panicznie boją się porodu i wymuszają na lekarzu wykonanie cesarskiego cięcia. Powodem tego może być i to, że nie wiemy, czym w rzeczywistości jest cesarskie cięcie. Trochę mnie śmieszy, trochę fascynuje, że niektóre kobiety są zainteresowane głównie tym, czy pozostanie im na skórze ładna blizna. A ważniejsze jest to, że pod tą skórą zostały przecięte mięśnie. Cesarskie cięcie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOOK'S NOT DEAD
– TU SIĘ DOBRZE CZYTA

Bądź na bieżąco z premierami książkowymi
Dyskutuj o ulubionych autorach
Zacznij przygodę z literaturą, która dotąd była dla Ciebie obca
Dziel się emocjami

Dołącz do grupy Czytelniczek i Czytelników na **powszech.net/bnd**

ŁAMIEMY ZASADĘ, ŻE O GUSTACH SIĘ NIE DYSKUTUJE

TYGODNIK POWSZECHNY

Book's not dead

to poważna operacja, jeżeli coś pójdzie nie tak, trzeba raz jeszcze otwierać brzuch. Oczywiście, że większość cięć cesarskich kobiety obecnie przechodzą bez komplikacji – medycyna w naszym kraju jest naprawdę na wysokim poziomie – rzadko zdarzają się krwotoki, zakażenia czy inne powikłania, jednak mimo wszystko jest to operacja z otwarciem jamy brzusznej.

Jestem przekonana, że cięć cesarskich byłoby mniej, gdyby znieczulenie zewnątrzoponowe było ogólnie dostępne. Od 2015 r. jest ono refundowane, ale prawda jest taka, że w wielu szpitalach nie można go wykonać. Za mało jest anestezjologów, a część ginekologów i położnych nie jest do znieczulenia przekonana. A w przypadku dobrze wykonanego znieczulenia powinien działać zgrany trzyosobowy zespół – anestezjolog, ginekolog i położna.

Jak dziś jest traktowana kobieta krzycząca w czasie porodu?

Jeżeli kobiecie krzyk pomaga, to niech go w sobie nie tłamsi... Nawet w sztukach walki wskazane są okrzyki bojowe – robione na wydechu mogą zwiększać siłę uderzenia, powodować odpowiednie napięcie mięśni. Dobra położna nie powinna powiedzieć do rodzącej: „zamknij się, głupia krowo", co nieraz słyszały kobiety z pokolenia naszych matek. Inna kwestia, że gdy kobieta przychodząca do szpitala rodzić słyszy drugą wrzeszczącą, może być tą sytuacją jeszcze bardziej przerażona. Warto by więc było mówić o tym, żeby kobiety z jednej strony nie bały się wokalizacji, z drugiej nie obawiały tego, że inna krzyczy, chcąc sobie ulżyć.

FABRYKA UŚMIECHU / ARCHIWUM PRYWATNE

KATARZYNA TURZAŃSKA pochodzi z Krakowa. Jest lekarzem specjalistą anestezjologii i intensywnej terapii. Uprawia nurkowanie, także w jaskiniach i na wrakach, wspinaczkę, narciarstwo, a w przeszłości sztuki walki. W 2017 r. została drugą od blisko 30 lat kobietą przyjętą w szeregi Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

Ciekawi mnie jeszcze Pani pierwsze doświadczenie bólu.

Mam pięć lat, biegnę przed siebie, choć rodzice mi tego zakazują, bo pada deszcz i powinnam już wracać do domu, ale ja koniecznie chcę przebiec jeszcze kawałek. Spieszę się, bo wiem, że nie powinnam. Już mam wracać do domu i wpadam na gruzowisko z mnóstwem drobnych kamyczków. Rozbijam kolano, które zaczyna krwawić i sterczą z niego powbijane kamyczki. Ból jest straszny, ale wiem, że nie mogę płakać. Czyli z jednej strony ból fizyczny, z drugiej adrenalina – przekroczyłam zakaz, rozbiłam kolano, co powie mama? Nie chcę okazać słabości, więc nie płaczę. Opanowuję ból.

Symboliczne. Czy od tego czasu zdarzyło się Pani płakać z bólu?

No pewnie, mam niski próg zwłaszcza bólu przewlekłego. Jestem jak stereotypowy facet. Długo trenowałam sztuki walki i tu zupełnie nie było problemu z tym, że się uderzę – na ból krótkotrwały jestem w miarę odporna. Tak samo dobrze znoszę niewygody życiowe typu siedzenie w namiocie, kiedy na zewnątrz szaleje śnieżyca, czekanie w przemoczonym ubraniu w zimnej jaskini, ból mięśni, gdy niosę coś ciężkiego... Wiem, że to tymczasowe, nawet jak wyprawa jest długa, to kiedyś minie. Na to jestem bardziej wytrzymała niż przeciętna osoba. Natomiast fatalnie znoszę ból chorobowy. Teraz dokuczają mi bóle kręgosłupa – są trudne, bo unikam leków przeciwbólowych ze względu na ciążę. Wiem, że ten ból nie minie prędko, i to też jest deprymujące. Na pewno sporo kobiet lepiej ode mnie by sobie radziło z takim bólem. Najmniejsza rzecz mi przeszkadza, trudno jest mi się skupić. Tym bardziej podziwiam pacjentów, którzy pomimo przewlekłego bólu są w stanie robić inne rzeczy. Po raz pierwszy tak bardzo rozumiem te osoby.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics
Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Dziękczynienie i pokuta

Jonasz modlił się w brzuchu wielkiej ryby. Jest to zastanawiające, gdy pamiętamy, jak niezrozumiale zachowywał się na morskim statku uciekając przed Bogiem. Tam odmówił modlitwy. Nie chciał swoim wołaniem do Pana pomóc w ocaleniu statku i załogi. Popadł w przedziwną prostrację, gotów na samobójstwo. Wręcz się prosił o wyrzucenie do wzburzonej wody, a to oznaczało tylko jedno. Śmierć z bierności. Nie miał nic nikomu do zaoferowania. Już w wątpiach wielkiej ryby odważył się wołać do Boga. Najwięcej modlitw znajdujemy w Psalmach. Gdy je uważnie przejrzeć, niektóre wydają się wyjątkowo bliskie słowom Jonasza. Weźmy pod uwagę Psalm 69. Psalm człowieka samotnego, pokonanego swymi błędami, bliskiego śmierci od utonięcia.

„Ugrzązłem w głębokim błocie i nie mam oparcia dla nóg. Dostałem się w głębokie wody, a nurt zalewa mnie. Zmęczyłem się wołając, wyschło gardło moje: zamroczyły się oczy moje od czekania na Boga mego... Wyrwij mnie z błota...wysłuchaj mnie, Panie, bo dobrą jest łaska twoja. Według wielkiego miłosierdzia twego wejrzyj na mnie". Ten sam motyw wody, obojętności, poczucie poniżenia i klęski. U Jonasza dochodzi jeszcze jedno: poczucie, że nigdy nie będzie mógł patrzeć na Świątynię Pana. Zrozumiał, że Bóg się od niego oddalił. I to jest największa kara, jaka mogła go spotkać. Można rzec, że znalazł się – jak nam powiada – na samym dnie. I dopiero wtedy otwierają się usta ryby, i prorok zostaje wypluty.

Stanął u wrót Niniwy. Jonasz nie wierzył w możliwość nawrócenia miasta. Tego nie mogli uczynić. Bóg objawił postępowaniem mieszkańców Niniwy, że tszuwa – powrót do dobrego życia – jest zawsze możliwa i w zasięgu ręki grzeszników. On sam nie wierzył w szczerość intencji i rzetelność aktu pokuty. Jego Bóg wzniósł się wyżej. Przyjął ich pokutę. W modlitwie wypowiadanej w brzuchu ryby potwierdził gotowość do podjęcia swej misji. Ogłosił, że „u Pana jest wybawienie", ale nie mógł się zgodzić na prawdę Boga. Nie był w stanie uwierzyć w tak wielkie miłosierdzie Boga i w akt oczyszczenia. Nigdzie w modlitwie nie odniósł się do tego, co zdarzyło się na statku. Nie wyjaśnił, dlaczego milczał. Zdobył się na akt dziękczynienia, ale sam nie uwolnił się od grzechów, jakie wcześniej popełnił. Ta niepełność modlitwy Jonasza ukazuje, że nie dokonał całkowitego powrotu do swojego Boga. Nie pojednał się z nim w swoim żalu. Nie odpowiedział Bogu, dlaczego przed nim uciekał. Skąd przyszła na niego gotowość do śmierci samobójczej. Nie był gotów do swojej pokuty. Dziękował, że ocalał zachowując swój dystans i chyba wykonywał swoją misję bez przekonania i bez wiary w jej powodzenie. Dziwny prorok. Cały czas uparty i nieufny wobec Tego, Kto go wysłał z misją. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Moralność poniżej pasa

Biblia jest zapisem wzajemnego dążenia do siebie Boga i człowieka. Ten wspólny wysiłek bywał trudny i bolesny dla obu stron: kulminacją tego dramatu była śmierć krzyżowa Syna Bożego. Jeśli popatrzy się na Biblię jako na historię relacji Boga i ludzi, można powiedzieć, że Biblia pisze się nadal. Co prawda dawniej bogów było pod dostatkiem, kłopot w tym, którego uznać za swojego. Dlatego Biblię pisali ludzie religijni dla ludzi religijnych, którzy nie zastanawiali się, czy Bóg jest, ale jaki On jest. Gdzie można Boga spotkać i jak się dowiedzieć, co On proponuje i czego od nas potrzebuje. A współczesność tym się różni od przeszłości, że coraz częściej, przynajmniej w Europie, pada stwierdzenie: Boga nie ma.

W Księdze Powtórzonego Prawa Bóg mówi: „Przykazanie, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twoich możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem. Nie znajduje się ono w niebie, byś mógł powiedzieć: »Któż dla nas wstąpi do nieba i nam je przyniesie, abyśmy mogli je usłyszeć i wypełnić?«. Nie znajduje się za morzem, byś mógł powiedzieć: »Któż dla nas uda się za morze i nam je przyniesie, abyśmy mogli je usłyszeć i wypełnić?«. To słowo jest bardzo blisko ciebie: jest na twoich ustach i w twoim sercu, abyś mógł je wypełnić". Powtórzmy: „Przykazanie, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twoich możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem". Czyżby? Słuchając zarzutów stawianych np. kaznodziejom i spowiednikom, można odnieść zupełnie inne przeświadczenie co do charakteru i wagi przykazań.

W książkowym wywiadzie pt. „Otwieranie drzwi" papież Franciszek mówi: „Najlżejsze grzechy to grzechy ciała. Ponieważ ciało jest słabe. Najniebezpieczniejsze to grzechy ducha. Kapłani odczuli pokusę – nie wszyscy, ale wielu – skupienia się na grzechach związanych z seksualnością. To jest to, co nazywam moralnością poniżej pasa. Najcięższych grzechów należy szukać gdzie indziej... Kapitalizm, pieniądz, nierówności. Ale są i dobrzy kapłani. Znam takiego, który, gdy penitent zaczyna opowiadać o tych grzechach poniżej pasa, od razu mówi: Zrozumiałem, a teraz zobaczymy, czy masz coś ważniejszego. Czy się modlisz? Czy szukasz Pana? Czy czytasz Ewangelię? Są też i tacy, którzy spowiadając z grzechów tego rodzaju, pytają: Jak to zrobiłeś, kiedy, ile razy?... Układają sobie w głowie film. Ale ci potrzebują pomocy psychiatry".

Jeśli dzisiaj mówi się, że ktoś chce „seksualizować" dzieci i młodzież, to trzeba uważać, żebyśmy walcząc przeciw temu, sami nie zaczęli „seksualizować" nie tylko młodzież, ale cały Kościół. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Tsunami

Jezusowy cud uciszenia burzy na jeziorze opisują wszyscy trzej Synoptycy. Niedawno Liturgia przyniosła nam opis tego wydarzenia w narracji św. Mateusza (Mt 8, 23-27). W kilku miejscach odbiega on wyraźnie od pozostałych dwóch relacji; i tym właśnie miejscom warto się przyjrzeć – kodują bowiem w sobie szczególny zamysł świętego autora, a to właśnie on kryje w sobie Boże natchnienie.

Różnica pierwsza: burza, z jaką muszą się zmierzyć uczniowie na jeziorze, nie jest tylko wielkim sztormem – może trochę większym niż te, do których nawykli – są przecież rybakami. U Mateusza apostołowie muszą się zmierzyć z falą wznieconą wielkim „trzęsieniem ziemi" (greckie *seismòs mégas*). To rzeczywiste wyzwanie – mają doświadczenie nie tylko wiatru i wysokiej fali; raczej świadomość, że ziemia umyka im spod nóg i wszystko wymyka się spod kontroli. To może ich zabić. Zmieść z powierzchni jeziora/ziemi.

Apostołowie – skonfrontowani z wyzwaniem, które ich z całą pewnością przerasta – wołają do Jezusa (wołają, bo On... śpi). Tu pojawia się druga różnica: u Marka i Łukasza uczniowie wołają do Jezusa: Nauczycielu/Mistrzu (grec. *didáskale*: Mk 4, 38; *epistáta:* Łk 8, 24). W wersji św. Mateusza uczniowie budzą Jezusa wezwaniem: Panie! (*Kyrie!*). Tytułują Go więc słowem, które w greckim zapisie Biblii zastępuje niewypowiadalne Imię Boga. Stanęli wobec wyzwania, któremu nie sprosta „nauczyciel" (nawet „mistrz") – tu nie wystarczy wykład prawdy; tu potrzeba mocy – nie zwykłej, ludzkiej, ale Bożej. Nie mówią też do Niego (jak u Mk i Łk): „zobacz, giniemy...". Z krzykiem błagają: „zbaw nas!" (grec. *soson!*).

Konsekwentnie – trzecia różnica – nie pytają u końca całego wydarzenia: „Kim On jest?" (zob. Mk 4, 41; Łk 8, 25). Oni dobrze wiedzą, kim jest: jest Panem i Zbawicielem. Zapis Mateuszowy kończy pytanie: „Jakim On jest, skoro wichry i morze są mu posłuszne?".

Właśnie tak: nie „kim?", tylko „jakim?". Jakim jest Panem i Zbawicielem? W pytaniu słychać zdumienie – zbudowane na napięciu między wielkością wyzwania (i konsekwentnie, objawionej przez Jezusa mocy) a skromnością i pokorą – zwyczajnością, wręcz maleńkością Jego obecności wśród nich (jak trzeba być zmęczonym, żeby spać podczas trzęsienia ziemi?!) – można by wręcz zatytułować omawianą perykopę Tischnerowym: „Maleńkość i jej Mocarz"...

To bardzo ważny tekst – ważne wydarzenie – dla nas, dziś, w Polsce i w polskim Kościele: wielu ludzi ma poczucie jakby gruntu usuwającego się im spod nóg, i zagrożenia o sile niemal tsunami (zgorszenie przestępstwami księży, publiczne kryzysy duchownych aż po samobójstwa...). Co robić?

W takich chwilach trzeba znać Jezusa nie tylko jako „Nauczyciela"; trzeba przywoływać Go jako Zbawcę. Ale też trzeba przyjąć Jego drogi i sposoby działania. Trzeba uwierzyć w moc pozornie słabych środków. „Co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi" (1 Kor 1, 25). ©

Brat mieszkający z innymi spytał abbę Besariona: „Co mam robić?". Starzec mu odpowiedział: „Milcz i nie mierz siebie".

PIERWSZA KSIĘGA STARCÓW

„Zaczynając dzień, powiedz sobie: spotkam człowieka natrętnego, niewdzięcznego, aroganckiego, podstępnego, złośliwego, samolubnego. Wszystkie te wady powstały u nich z powodu braku rozeznania dobra i zła".

MAREK AURELIUSZ

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 VII)

15. niedziela zwykła: Pwt 30, 10-14; Ps 69; Kol 1, 15-20; Łk 10, 25-37;
Poniedziałek: Wj 1, 8-14. 22; Ps 124; Mt 10, 34 – 11, 1;
Wtorek: Wj 2, 1-15a; Ps 69; Mt 11, 20-24;
Środa: Wj 3, 1-6. 9-12; Ps 103; Mt 11, 25-27;
Czwartek: Wj 3, 13-20; Ps 105; Mt 11, 28-30;
Piątek: Wj 11, 10 – 12, 14; Ps 116B; Mt 12, 1-8;
Sobota: Wj 12, 37-42; Ps 136; Mt 12, 14-21;
16. niedziela zwykła: Rdz 18, 1-10a; Ps 15; Kol 1, 24-28; Łk 10, 38-42.

PAŃSTWO W WERSJI PREMIUM

HANNA KUZIŃSKA, EKONOMISTKA:

Dopóki będziemy traktować podatki jak haracz, dopóty plany budowy nowoczesnego państwa pozostaną w sferze życzeń.

ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER

Protest lekarzy rezydentów, Warszawa, czerwiec 2016 r.

MAREK RABIJ: Obchodzi Pani dzień wolności podatkowej?

HANNA KUZIŃSKA: Nie. Nawet nie wiem dokładnie, kiedy wypadł w tym roku.

8 czerwca.

Wynik i tak zależy od tego, czy w domenie fiskusa umieścimy także składki na ZUS i ubezpieczenie zdrowotne oraz inne daniny wpłacane przez pracujących na rzecz państwowych funduszy celowych i jednostek samorządu terytorialnego. Słowem: wszystkie wydatki sektora finansów publicznych finansowane głównie z danin.

Jakkolwiek by liczyć, i tak działa na wyobraźnię. Ponad pół roku harówki wyłącznie na państwo.

To nie jest dużo, jeśli uświadomimy sobie, że w zamian otrzymujemy emerytury i renty, zasiłki chorobowe i wypadkowe, bezpłatną edukację, ochronę zdrowia, ochronę granic i porządku wewnętrznego, pomoc społeczną czy wsparcie dla rodzin z dziećmi.

I tak boli.

Moim zdaniem lepiej sięgnąć do statystyk, niż ulegać emocjom. Przed naszą rozmową zajrzałam do zestawień Eurostatu. Wynika z nich, że w 2017 r. udział wpływów podatkowych w produkcie krajowym brutto wyniósł w Polsce 35,1 proc., czyli poniżej średniej, która dla 28 krajów UE osiągnęła 40,2 proc. Średnia dla krajów strefy euro to również nieco ponad 41 proc. Polska z pewnością nie należy więc do krajów o najwyższych obciążeniach podatkowych. Innych boli jeszcze bardziej.

Przeciętny polski podatnik odpowiedziałby, że w tamtych krajach obywatel płaci sporo na państwo, ale w zamian może na coś liczyć.

Czas odwrócić tok rozumowania o polskim systemie podatkowym i powiedzieć sobie, że jeśli chcemy od państwa wymagać, to musimy – używając wolnorynkowej terminologii – najpierw mu za te usługi godziwie zapłacić.

Trawestując znane powiedzenie: „no representation without taxation"?

W pewnym sensie. Podatki są transakcją. Płacąc je, kupujemy usługi, które państwo realizuje zbiorowo za podatników i dla podatników. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że w Polsce nie jest to zbyt popularny pogląd i że genezy takiej postawy można doszukiwać się nawet w trudnej polskiej historii, kiedy unikanie podatków nałożonych przez okupantów było objawem patriotyzmu. Tyle że to już – właśnie – historia.

Od 30 lat jesteśmy gospodarzami własnego, w pełni suwerennego państwa, tymczasem przekonanie o tym, że podatki są haraczem, którego trzeba unikać, nadal ma się świetnie. Neoliberalna narracja o fiskusie, który hamuje rozwój przedsiębiorczości, innowacyjność i utrudnia powstanie klasy średniej, trafiła na bardzo podatny grunt. I wie pan, jakie są efekty? Sukcesywny spadek wydatków publicznych. Jeszcze w 1997 r. stanowiły one 47 proc. polskiego PKB, do roku 2017 zmalały jednak do 41 proc. PKB. Kiedy więc narzekamy na słabość państwa, powinniśmy jednocześnie mieć świadomość, skąd się bierze ta ↦

systemowa anemia. Państwo słabnie, gdy podatki są za niskie, a nie przeciwnie – słabość państwa nie stanowi argumentu za tym, żeby płacić na nie jak najmniej.

Maciej Grabowski, dyrektor Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, w artykule na temat polskiego systemu podatkowego pisze wprost: na początku lat 90. celowo skonstruowano go w taki sposób, by przyciągał kapitał zagraniczny i know-how. Zapewnienie wysokiego poziomu usług publicznych i jakości życia obywateli było więc – choć autor nie pisze tego wprost – sprawą drugorzędną.

Wielu ekonomistów uważa, że na początku lat 90. nie było alternatywy, bo nie mieliśmy ani kapitału na rozwój gospodarki, ani wiedzy, jak to zrobić. Jest w tym sporo racji. Ale już w pierwszej połowie ubiegłej dekady Polsce udało się ustabilizować wysokość dochodów budżetowych. Gospodarka też pięknie rosła. I to był moim zdaniem moment, żeby rozpocząć ewolucję systemu podatkowego w stronę takiego, który w społecznej gospodarce rynkowej, wpisanej w naszą konstytucję, stawia akcent na społeczeństwo, a nie nadal na rynek. Niestety, w ówczesnej polityce fiskalnej wszystko podporządkowano celom nadrzędnym, jakimi było dalsze obniżanie deficytu budżetowego i podtrzymanie konkurencyjności polskiej gospodarki.

To źle?

Proponuję, żeby w dyskusji o wydatkach publicznych koncentrować się na diagnozach, a nie ocenach. Zapytałabym więc raczej, czy trafnie rozpoznaliśmy wówczas priorytety i czy dopasowaliśmy do nich politykę fiskalną.

Przez wiele lat w Polsce dominowało przekonanie o konieczności utrzymywania płac w ryzach, bo to przyciągało kapitał zagraniczny. Mówiąc wprost: bieda miała być naszym atutem. W 1997 r. pensje stanowiły 35,3 proc. polskiego PKB. 10 lat później ich udział spadł już do 31 proc., a np. w Wielkiej Brytanii wynosił wówczas 42 proc. Jednocześnie kolejne ekipy rządzące, które z naszych zasobów demograficznych uczyniły niemal towar eksportowy, nie robiły nic, by zahamować lub odwrócić spadek przyrostu naturalnego. Uelastyczniano za to rynek pracy – tyle że znowu bez żadnej strategii osłonowej. A wręcz przeciwnie. Jeszcze w 1997 r. państwo polskie przeznaczało na pomoc społeczną 18,3 proc. PKB. Do 2017 r. udział tych wydatków w produkcie krajowym spadł do 16,4 proc. Spadek o niecałe dwa punkty procentowe – i to przy jednoczesnym wzroście całego PKB – może się wydawać drobnostką, ale w liczbach bezwzględnych wygląda zupełnie inaczej.

Nasz system podatkowy jest tak skonstruowany, że najgłębiej sięga do kieszeni tych, którzy zarabiają miesięcznie od 2 do 5 tysięcy złotych brutto. Powyżej 10 tys. obłożenie podatkami znacząco spada.

W 2017 r. PKB Polski sięgnął 1,9 biliona zł. Gdyby wydatki na pomoc społeczną pozostały na wspomnianym przez Panią poziomie z 1997 r., w 2017 r. wydawalibyśmy na ten cel jakieś 38–39 mld zł więcej, niż wydaliśmy rzeczywiście.

A teraz proszę odpowiedzieć na pytanie, czy z punktu widzenia interesów państwa i społeczeństwa groźniejszym zjawiskiem byłby chwilowy wzrost deficytu budżetowego, czy powstanie rozległych obszarów strukturalnej biedy?

To pytanie retoryczne. Dlatego odpowiem swoim: nie ostrzegaliście?

Ależ oczywiście, że ostrzegaliśmy. Ale czy zna pan kraj, w którym politykę fiskalną dopasowuje się do wyników badań ekonomicznych, a nie doraźnych celów politycznych?

Ustawy tworzące polski system podatkowy nowelizowano już przeszło sto razy.

Ale to była doraźna kosmetyka. Na to, co trzeba zrobić w pierwszej kolejności, czyli na większe zróżnicowanie wysokości podatków bezpośrednich przy jednoczesnym obniżaniu danin pośrednich, takich jak VAT i akcyzy np. na energię elektryczną, nie ma odwagi żaden rząd.

System podatkowy to dość skomplikowany instrument, stąd pokusa, żeby opowiadając o nim opinii publicznej sięgać po uproszczenia. Każdy w lot zrozumie, na czym polega podatek liniowy, bo 19 proc. od 50 tys. zł to dwa razy mniej niż 19 proc. od 100 tys. zł. O wiele trudniej wyjaśnić obywatelom, że w kontekście czegoś, co w ekonomii nazywa się malejącą krańcową użytecznością dochodu, nie jest to najlepszy pomysł.

Bo?

Bo jeśli pan będzie zarabiać miesięcznie 3 tys. zł, zysk lub strata w wysokości 1000 zł miesięcznie oznaczać będzie dla pana radykalną zmianę warunków bytowych. Ale jeśli pańska pensja będzie wynosić 30 tys. zł miesięcznie?

Wówczas może nawet tego tysiąca nie zauważę.

Właśnie dlatego w dojrzałych demokracjach przyjmuje się, że system podatkowy musi być progresywny, tzn. że zamożniejsi powinni oddawać na wspólny cel fiskalny większą część dochodu niż biedniejsi. Można spróbować zbadać, o ile większą, czyli jak stroma progresja podatkowa byłaby społecznie akceptowana.

Polski system podatkowy jest również progresywny, tyle że jedynie w teorii. Od dochodu do 85 528 zł płaci się 18 proc. podatku, powyżej – 32 proc. W rzeczywistości daniny w drugim progu uiszcza jedynie około 900 tys. Polaków. Większość dobrze opłacanych specjalistów i menedżerów dawno ewakuowała się na tratwę samozatrudnienia, gdzie może odprowadzać ZUS jedynie od pensji minimalnej oraz podatek liniowy w wysokości 19 proc. A dodatkowo część zakupów można wrzucić w koszty działalności i odliczyć sobie VAT.

Przychody z VAT od lat stanowią najważniejszą pozycję w strukturze dochodów polskiego państwa: to

blisko 45 proc. wszystkich wpływów budżetowych.

I zarazem to największa wada naszego systemu podatkowego, bo w ten sposób państwo sięga najgłębiej do kieszeni najbiedniejszych. Jeśli pan od wspomnianych 3 tys. zł odprowadzi 18 proc. podatku, wówczas zostanie panu tylko tyle, żeby opłacić rachunki i kupić żywność. Cały dochód będzie pan mieć zatem opodatkowany dwukrotnie: najpierw bezpośrednio – PIT-em, a potem pośrednio – VAT-em i akcyzą. Ale jeśli zarobi pan 30 tys. zł, zapłaci pan wprawdzie kilka tysięcy złotych podatku PIT, ale reszty raczej nie pochłoną wydatki na jedzenie i rachunki. Owszem, kupi pan zapewne więcej dóbr luksusowych, obłożonych najwyższą 23-procentową stawką VAT, dużą część dochodu będzie pan mógł jednak odłożyć.

I zapłacę podatek Belki.

Jedynie od zysków w formie odsetek. W ostatecznym rozrachunku całkowite obciążenie podatkami będzie jednak mniejsze niż w wariancie z zarobkami na poziomie 3 tys. zł. Nasz system podatkowy jest tak skonstruowany, że najgłębiej sięga do kieszeni tych, którzy zarabiają miesięcznie od 2 do 5 tysięcy złotych brutto. Powyżej 10 tys. obłożenie podatkami znacząco spada. Ot i cała prawda o polskiej progresji podatkowej.

Z nieoficjalnych zapowiedzi polityków PiS-u wynika, że po ewentualnym zwycięstwie w jesiennych wyborach podniosą podatki najbogatszym. Nie wiadomo tylko, o ile i jak zdefiniują tych „najbogatszych". Przedsiębiorcy już narzekają, że fiskus zwleka ze zwrotem prawidłowo odliczonego VAT-u i traktuje ich jak przestępców. Czy tak powinna wyglądać reforma systemu podatkowego?

Uszczelnienie poboru VAT, pakiet paliwowy, wprowadzenie jednolitego pliku kontrolnego i podzielonej płatności – to jedno. Muszę przyznać, że jestem za. Dobrze, że władza wysyła wreszcie czytelny komunikat, że zobowiązania podatkowe należy traktować poważnie i są one nie do uniknięcia. W ten sposób na dłuższą metę wzmacniamy szacunek do prawa i instytucji państwa.

Sęk w tym, że poza uszczelnianiem nie słychać zapowiedzi choćby ewolucyjnych zmian systemu. Wciąż nie ma mowy o obniżeniu stawki podstawowej VAT, która należy do najwyższych w Europie – choć przecież podniesiono ją w 2011 r. tylko na jakiś czas dla sfinansowania doraźnych potrzeb budżetowych. VAT jest po prostu bardzo wygodnym narzędziem dostarczania wpływów podatkowych, nie mówiąc o tym, że przynosi państwu mnóstwo pieniędzy i każda zmiana stawki powinna błyskawicznie przekładać się na sytuację budżetową.

MAŁGORZATA KUJAWKA / AG

DR HAB. HANNA KUZIŃSKA specjalizuje się w badaniach finansów publicznych i systemów podatkowych. W latach 2002-05 była podsekretarzem stanu w Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu. Obecnie wykłada w Akademii Leona Koźmińskiego.

A sugerowana podwyżka podatków osobistych dla najbogatszych?

Kierunek wydaje mi się trafny. Wszystko zależeć będzie jednak od szczegółów. Myślę, że powinniśmy mówić raczej o większym zróżnicowaniu stawek. Progresja trzy-czterostopniowa, aż do stawki około 50 proc. dla multimilionerów, byłaby moim zdaniem społecznie do zaakceptowania. Na pewno nie byłoby przyzwolenia na stawkę 100 proc. podatku od zarobków nawet powyżej np. 10 mln zł, gdyż w takim działaniu brak logiki. Właściciele firm po prostu nie będą sobie wypłacać tak wysokich pensji.

Ważniejsze może się okazać usunięcie z systemu absurdalnych przywilejów i luk. Weźmy chociażby jednoosobową działalność gospodarczą, która często jest po prostu wykonywaniem pracy etatowej, tylko na lepszych warunkach podatkowych. Uważam, że rząd słusznie próbuje ograniczyć ten proceder. Nie rozumiem jednak, dlaczego jednocześnie toleruje istnienie potworka, jakim jest podatek rolny. Bardzo łatwo można przecież skonstruować przepisy, które skutecznie opodatkują milionowe dochody latyfundystów, a obciążenie małorolnych chłopów pozostawią na dotychczasowym poziomie. Podobnie rzecz ma się z podatkiem katastralnym. Tabloidy straszą, że po jego wprowadzeniu ludzi nie będzie stać na własne mieszkanie, ale tu również diabeł tkwi w szczegółach. Dobrze skonstruowany podatek katastralny obciąża nieruchomości komercyjne i mieszkania zakupione do celów spekulacyjnych. Dla kogoś, kto ma jeden dom lub mieszkanie, nie powinien być dotkliwy.

W roku wyborczym prezes Kaczyński zapowiedział jednak, że podatku katastralnego nie będzie w Polsce tak długo, jak długo przy władzy będzie PiS.

A ja bym bardzo chciała wiedzieć: dlaczego? Czy jedynym argumentem przeciwko ma być strach, jaki wokół niego wywołano? Przecież podatek katastralny to jedna z najbardziej efektywnych danin publicznych, do tego bardzo sprawiedliwa, jeśli mogę się tak wyrazić, bo płaci się ją od wartości nieruchomości. Dom na Saskiej Kępie w Warszawie ma przecież inną wartość od domu w Pcimiu.

Muszę przyznać, że ostatnio zastanawiam się nad jeszcze jednym pomysłem: powszechnymi deklaracjami majątkowymi dołączanymi do zeznania rocznego.

Zainspirowała mnie informacja o zwykłym sposobie rozliczania podatku w Norwegii, gdzie fiskusowi trzeba przedstawić komplet dokumentów, w tym potwierdzenie z instytucji, w której posiada się papiery wartościowe i depozyty. Jakże byłoby to użyteczne w sytuacji, gdy w danym roku podatkowym zarobiłeś np. 50 tys. zł i jednocześnie wzbogaciłeś się o stumetrowe mieszkanie w Warszawie lub akcje warte miliony.

Na razie przedstawiła Pani argumenty za tym, że polski system podatkowy wymaga zmian. Tylko czy wyższe wpływy podatkowe i uszczelniony system ↦

zagwarantują nam sprawne państwo?

Gwarancji nigdy pan nie dostanie. Chyba że na nieefektywne, zgrzebne państwo – przy niskich podatkach.

Po jednej z konferencji napisaliśmy z kolegami książkę „Celowość i oszczędność wydatków publicznych", w której wskazywaliśmy na konkretne obszary funkcjonowania państwa, gdzie wydawanie publicznego grosza winno zostać usprawnione. Usprawnione, podkreślam, a nie ograniczone. Zaobserwowaliśmy wręcz, że dążenie na siłę do oszczędności skutkowało niekiedy stratami, bo np. na etapie planowania oszczędzano na przygotowaniu inwestycji i już w trakcie jej realizacji okazywało się, że całą rzecz trzeba było poprowadzić inaczej albo nawet zacząć od początku.

Czy polskie państwo wydaje pieniądze podatników lepiej, czy gorzej od innych państw Unii?

Nie istnieją wiarygodne badania porównawcze efektywności wydatków publicznych. Tego się po prostu nie da zbadać metodami ekonomicznymi. Każdy kraj ma inne priorytety, odmienną sytuację społeczno-ekonomiczną, otoczenie geopolityczne. Kryterium kosztowe, co wiemy choćby na przykładzie niektórych polskich kontraktów na budowę dróg i autostrad, też nie sprawdza się w każdym przypadku. Albo wydatki na obronność. Czy fakt, że kraj nie jest zagrożony bezpośrednim atakiem ze strony któregoś z sąsiadów, dowodzi, że wydatki należy zmniejszyć? A może wprost przeciwnie – to inwestycjom zbrojeniowym zawdzięczamy odpowiednio wysoki potencjał odstraszający?

Jedno nie ulega wątpliwości. Jeśli marzy nam się Polska w wersji premium, ze sprawną administracją, bezpiecznymi ulicami, edukacją na wysokim poziomie i opieką medyczną, która naprawdę leczy, musimy też zdać sobie sprawę, że to wszystko można sfinansować jedynie z naszych podatków. Zastanówmy się więc, co powinniśmy robić, by w Polsce, szczególnie w młodym pokoleniu, zaczęło dominować przyzwolenie dla danin i dla finansowanych z nich wydatków na nowoczesne, sprawne państwo.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

Rozplątany sopran

IGA DZIECIUCHOWICZ

Wybitny głos to za mało, by śpiewać na najlepszych scenach świata. Trzeba mieć jeszcze siłę psychiczną. Annie Zawiszy dał ją rak.

Jeśli istnieje prawdziwa przyjaźń, to tylko między altem a sopranem. Widać to w chwilach kryzysu. Sopran dzwoni do altu z oddziału onkologicznego:

– No i mam raka.

– Przyjadę najszybciej, jak się da.

Alt wsiada na rower. Po kwadransie siedzi obok sopranu. Milczą. Rozwiązanie oczywiste: Chodźmy się upić!

Sopran to osobowość, która najlepiej czuje się w chaosie. Alt ceni racjonalność. Przy butelce wódki powstaje szybki plan walki z chorobą. Nie płakać, nie poddawać się. Śpiewać.

Diwy i reszta

Sopran, czyli Anna Zawisza, późno prezentuje światu swój głos. Najpierw uczy się gry na kontrabasie w szkole muzycznej w Tarnowie. Szkoła jest nie byle jaka i daje porządne wykształcenie. Kontrabas można czasem wypożyczyć do domu. Anna ćwiczy grę, ale bez przekonania. Dzień przed egzaminami na krakowską Akademię Muzyczną zbunto-

ARTUR GAWLE DLA „TP"

Anna Zawisza, lipiec 2019 r.

wana córka baluje do późna. Rano matka patrzy na nią wymownie i wsadza zaspaną do pociągu.

Miejsc jest osiem. Wśród kandydatek prawie same piękności. Do tego głosy mają wybitne. Annie wydaje się, że nie zda. Komisja słucha, obserwuje. Sopran o mocnej barwie zostaje przyjęty.

Radość trwa krótko. Niedługo potem na raka umiera jej mama. Kończą się wygłupy. Trzeba dorosnąć i zająć się młodszym rodzeństwem. Do tej pory Anna była córeczką tatusia. Nowa rola jest trudna. Ojca na zmianę kocha i nienawidzi.

Już na pierwszym roku studentki dzielą się na operowe diwy i resztę. Aspirującą diwę można poznać z daleka. Zazwyczaj wygląda tak: dowolny but, ale musi być obcas (element stały), wysoko upięty fantazyjny kok, kolczyki spływające do ramion, szeleszcząca spódnica, na górze koronki, tiule i bufy.

I co z tego, że w diwie jest trochę kiczu? Co z tego, że jeśli już płacze, to łzami z brokatu? Głosy koleżanek są tak piękne, że z człowieka prawie schodzi skóra. Anna czasem się zastanawia, co wśród nich w ogóle robi. Gdy śpiewaczka otwiera usta, od razu widać, czy się ze sobą siłuje. To trochę jak z aktorką – albo się jej wierzy, albo nie.

Gorzej, gdy śpiewaczka nie wierzy w siebie. Rywalizacja jest ostra. Niektóre nie wytrzymują presji. Rezygnują. Leczą się na depresję. Czasem przestają jeść.

Sopran i alt, czyli Helena Poczykowska, trzymają się na powierzchni. Ale lekcja życia dopiero przed nimi. Rok niżej uczy się niezwykły kontratenor. Chłopak będzie gwiazdą. Pedagodzy już widzą go na najlepszych galach. Ledwo kończy się rok akademicki, kontratenor potyka się w górach, spada ze skały i ginie.

Alt, sopran i inni nie mogą w to uwierzyć. Czy warto się tak szarpać? Od śmierci kolegi grupa stara się nawzajem wspierać. To rzadkość.

Anna dobija do brzegu. Co po studiach? Chór w krakowskiej filharmonii. Etat.

Badanie

Co to za zgrubienie w piersi? – A czułam się dobrze – mówi Anna, jakby z wyrzutem. – Badałam się regularnie. Jeździłam na rolkach. Wysypiałam się. Zdrowo jadłam. Ćwiczyłam. Ale mocno przeżyłam rozstanie z chłopakiem. Może to przez stres?

Anna dzwoni po kolei do wszystkich koleżanek: – Kiedy się ostatnio badałaś? Zbadaj się, proszę. Tak, mam świetną lekarkę. Wiem wszystko o swojej chorobie. Nie, nie martwię się. Mateusz? Chyba jest przerażony. Nie, nie szlocham. Cieszę się życiem. Dużo śpiewam. Niczego sobie nie odmawiam. Mam ochotę na lody, to jem. Chcę burgera, proszę bardzo. A co mam robić? Jeszcze żyję.

Mateusz, mąż Anny: – Na chwilę przed weselem coś tam wyczuła pod palcami. Nie było czasu na medyczne konsultacje. Zobaczymy potem, mówiłem. Wyniki były przygnębiające. Agresywny rak, choć wykryty bardzo wcześnie. Od razu miała iść pod nóż. Mówiłem jej: damy radę. Musimy dać. Jestem weterynarzem, w pracy chore zwierzęta, w domu chora żona. Wspólne wieczory po ślubie kończyły się na rozmowach o śmierci.

Zima u Zawiszów zdaje się nie mieć końca. To czas w szpitalnych gabinetach. „Proszę zdjąć biustonosz! O, jakie ładne piersi! Mamy tu lekką asymetrię. Pani jest młoda, poprawimy. Co za dureń mówił, że tę pierś od razu trzeba odjąć. Nic nie będzie widać, żadnej blizny" – onkolog podchodzi do pacjentki jak kierownik gabinetu medycyny estetycznej. Skorygowano też brodawkę. Studenci na oddziale patrzą i nie mogą wskazać, która była operowana. Teraz wlewy chemii. Każdy kosztuje kilka tysięcy złotych.

Anna w filharmonii prawie nie opuszcza zajęć. – Mam tak po prostu umrzeć? Już nie zaśpiewam tam, gdzie zawsze chciałam? Co to, to nie!

Chusta

Do tej pory było miło. Praca w chórze Filharmonii Krakowskiej to dobra posada. Chór składa się z 80 osób. Próby, dyscyplina i tak w kółko. Są głosy, które spokojnie mogłyby śpiewać solo. Nie każdy ma jednak do tego dryg. Psychika siada. Nagle jest się samemu ze sceną. Reflektory świecą w oczy. Nie ma pleców, za którymi można się schować. Gardło się zaciska. Zapanowanie nad własną głową to połowa sukcesu. Drugie tyle to talent wokalny i ciężka praca.

Chórmistrzyni Teresa Majka-Pacanek wie, która ma głos solistki. A która ma siłę? Trudno powiedzieć. Pomaga generalny remont wewnętrzny. Praca nad sobą, może terapia. Z letargu może też wybudzić zdolną śpiewaczkę jakieś zdarzenie losowe. Alt musi się starać dwa razy bardziej. Studiuje i wychowuje córeczkę. Śpiewaczki wtedy odpuszczają, bo zawsze jest coś pilniejszego. Alt idzie po swoje, choć partner kręci nosem. U sopranu determinację wyzwala rak.

Anna jest ciekawska. Idzie do genetyka. Badania wskazują na gen chorobotwórczy. Taki sam muszą mieć inne kobiety w rodzinie. Wiele z nich zmarło na raka jajnika lub piersi.

– Ostatni recital mnie pożarł. 45 minut melancholii. Śpiewam pieśni Andrzeja Czajkowskiego, kompozytora żydowskiego pochodzenia. Nie wiem, gdzie jestem. Przy ziemi trzyma mnie cienka nić – powie Anna, gdy przyjdzie lato.

Na razie świat zastygł i alt musi ogolić sopranowi głowę. Sopran bawi się ze znajomymi w G.I. Joe i Sinéad O'Connor. Wygląda teraz jak amerykański żołnierz. Kilka miesięcy później ciało puchnie. Włosów nie ma, rzęs też. Szwagier żartuje, że pyzata Anka przypomina jasnowidza Jackowskiego z Człuchowa. ↦

Sopran myśli tak: „Mąż wygrał los na loterii i ożenił się z wymarzoną kobietą. Przebojową, wesołą. A tu co? Wytarty dres i koniec zewnętrznego piękna. Co w środku? Też brzydko. Strach o to, co będzie, piętrzy się i wciąga w dół. Trzeba to stłumić. Muszę być dzielna”.

Anna pociesza wszystkich na oddziale. Za to atmosfera w domu jest coraz gorsza. Choroba niszczy młodą parę. Sopran pewnego dnia staje w drzwiach z walizką.

– Mąż zareagował natychmiast. Nie pozwolił mi na taki numer. Rozmowy trwały do rana. Jeszcze nie zdążyliśmy się dotrzeć, a już spadło na nas ekstremum. Odpychałam go, obwiniałam. Moje kobiece poczucie wartości było na poziomie minus sto.

W garderobie Anny pełno chust. Ogląda na YouTubie tutoriale, jak je wiązać. Raz turban w stylu afrykańskim, innym razem na modłę amerykańskiej pin-up girl. Mateusza ten rytuał maskujący zaczyna drażnić. Idą do znajomych na wesele. Trzeba wybrać nakrycie głowy. On proponuje: może zostaw to? Pójdziesz bez chusty. Na przyjęciu Anna nie wytrzymuje. Tłumaczy się gościom z łysej głowy.

– Serio? A my myślałyśmy, że takie są śpiewaczki. Że z ciebie taka offowa babka!

Ecstasy

Czy muzyka poważna jest dla poważnych ludzi? Paweł Szczepanik, koordynator artystyczny festiwalu Misteria Paschalia, próbuje odczynić urok. – Muzykę wszystkich wieków łączy to, że zawsze powstawały piosenki o miłości – mówi. – Ta z XVII w. niewiele różni się od dzisiejszej, inne jest tylko instrumentarium. Oczywiście ludzie lepiej znają Lady Gagę niż Annę Netrebko, ale forma kreacji pozostaje taka sama. Wyjście do opery było kiedyś tym samym, co wieczór w knajpie. Ludzie ze sobą rozmawiali, bawili się, pili, uprawiali seks w lożach. Czekali na występ gwiazdy. Model opery, gdzie wszyscy jej nabożnie słuchają w smokingach, jest wymysłem XIX-wiecznym.

– Historia baroku w wykonaniu stylowym, a więc na instrumentach dawnych, ma może 50 lat. Przy czym nigdy nie usłyszymy tych dźwięków tak, jak słyszeli je ówcześni. Zostaje więc duże pole do improwizacji – wyjaśnia dalej Szczepanik. – Jeden utwór może zostać zagrany na wiele sposobów. Zależy to od tego, jak dyrygent przeczyta partyturę. Ale też od tego, jak utalentowani są muzycy w zespole. Od śpiewaczki i pogody za oknem. Część nut nie była przecież zapisana, więc tworzą je współcześni artyści. Słuchasz i albo masz ciarki, albo nie. Sopranistka Anna Zawisza potrafi wszystko zinterpretować tak, że robi furorę na każdym koncercie. Ludzie wychodzą poruszeni. Czy wiedzą wszystko o muzyce dawnej? Nie sądzę. Liczy się szczerość przekazu.

> Dobry nauczyciel usłyszy wszystko. Wie, czym śpiewaczka może sobie zaszkodzić. Powie wprost: dla ciebie za wcześnie na tę arię. **Głos nie jest dany raz na zawsze. Zmienia się, dojrzewa.**

Rozmowa altu z sopranem:

Alt: – Przygotowuję się przynajmniej miesiąc wcześniej. Jeśli pieśń niesie ze sobą dużo emocji, muszę ją przepłakać. Jak już tak przepłaczę utwór sześć razy, mogę wyjść na scenę.

Sopran: – A ja śpiewem wyrażam wszystko, czego nigdy nikomu nie powiem. Dla mnie koncert to jak pigułka ecstasy. Na tych emocjach jadę do następnego.

Ile ma przed sobą życia? Nie wiadomo. Tym bardziej trzeba wziąć się za robotę. Głos brzmi lepiej. Rozplątuje się.

Obie przyjaciółki mają marzenie: dostać się na kursy mistrzowskie do guru muzyki dawnej Vincenta Dumestre'a. Udaje się obu. Alt i sopran na scenie dobrze ze sobą harmonizują. Obiecują sobie, że będą jak najwięcej występować razem. Sopran mobilizuje siły. Jeździ na przesłuchania i kursy. Bierze lekcje śpiewu, by panować nad techniką. Za godzinę lekcji interpretacji barokowej trzeba zapłacić kilkaset złotych. Dobry nauczyciel usłyszy wszystko. Ustawi głos, sprawdzi, czy nic złego się nie dzieje. Wie, czym śpiewaczka może sobie zaszkodzić. Jest szczery i powie wprost: dla ciebie za wcześnie na tę arię. Głos nie jest dany raz na zawsze. Zmienia się, dojrzewa.

Burza

Zwykle koleżanki nie mówią sobie nawzajem o przesłuchaniach. Zazdroszczą kolejnych solowych propozycji. Anna blokuje niektórych w mediach społecznościowych. Żeby nie kłuło, gdzie i z kim występuje.

Alt: – Soprany po prostu nienawidzą innych sopranów. A alty altów. Doszło do tego, że koleżanki skarżyły się prowadzącej: „Ania blokuje etat w filharmonii”. Do dziś jest zresztą tak, że są osoby nieprzychylne. Chociaż dobrze wiedzą, przez co przeszła. I że zapracowała sobie na sukces.

Sopran: – Zawzięłam się, to prawda. Miałam też trochę szczęścia. Wskoczyłam za kogoś *last minute*. Trafiłam w gust dyrygenta i teraz na stałe współpracujemy. Wkładam w to wszystkie siły. Ciężka praca na najwyższym poziomie jest dla mnie energetyczną bombą. A co innego miałabym robić?

Na Facebooku Anna publikuje zdjęcie ostatniego worka z chemią. Włosy są coraz dłuższe. Niepewność zostaje. Rak może wrócić nawet po kilkunastu latach. Badania kontrolne to podstawa. Jest jeszcze jedno marzenie. Dziecko. Jajeczka zostały zamrożone z pomocą fundacji dla kobiet chorych na nowotwór. Z każdym rokiem wzrasta u Anny ryzyko raka jajnika. Czeka ją operacja.

Alt: – Jak wytną Ance te jajniki, to ja będę bardzo szczęśliwa.

Ostatnio nerwy i płacz. W markerach coś się nie zgadza.

Sopran: – Fałszywy alarm. Ale zaczęło do mnie docierać, że może nigdy nie będę mieć dziecka. Rekompensatą jest dla mnie tylko śpiewanie.

Toast

W „Ruchu Muzycznym” krytycy dużo piszą o znakomitym wykonaniu arcytrudnego utworu „Cztery śpiewy przy przekraczaniu progu” Gérarda Griseya. To głęboko metafizyczna opowieść o śmierci. Jednym głosem są olśnieni: „*chapeau bas* przede wszystkim dla solistki Anny Zawiszy. Ta dysponująca szlachetnym sopranem artystka bodajże najwięcej namąciła w tegorocznej edycji festiwalu: w uszach i w oczach mam wciąż jej »śmiertelnego anioła« (...), zwłaszcza zaś rozpacz i pustkę »popotopowej« części czwartej”.

Sopran dzwoni do altu:

– W naszym duecie sprawdza się każdy toast. Przyjedź, to wypijemy za wyjazd do Tokio z Dumestre'em. A potem zaśpiewamy w bazylice św. Marka w Wenecji.

© IGA DZIECIUCHOWICZ

Trzeba ożywić tolerancję. Tylko jak?

RAFAŁ WOŚ

Jeszcze niedawno uchodziła za ważną cnotę publiczną. Dziś wydaje się skompromitowana, a nawet niebezpieczna. Tymczasem tylko ona może uratować demokrację.

Problem z polską polityką nie polega na tym, że ludzie się spierają o ważne sprawy. Problem polega na tym, że coraz częściej zwycięża przekonanie, że jeśli spór wygra „tamta strona", to stanie się coś strasznego. To rzeczywistość demokracji apokaliptyczno-histerycznej. Rywalizacja konkurujących politycznych wizji przeistoczyła się w grę, w której porażka jest w zasadzie niedopuszczalna. Bo będzie nie tylko katastrofą w sensie praktycznym („nasi" będą musieli oddać władzę). Ale także klęską moralną. Wina zaś spadnie na nas. Tych, co do tego dopuścili.

Takie nastawienie jest nie do pogodzenia z tolerancją. Co to takiego? Definicji jest co najmniej sto. Intuicyjna brzmi tak: „Umiejętność życia z tym, że inni ludzie myślą inaczej od nas. I że świat się od tego nie zawali". Początkowo termin odnosił się głównie do wolności religijnych. Dziś wiadomo, że tolerancja to coś znacznie szerszego. Dotyczy całego ładu politycznego. „Wolność to zawsze wolność inaczej myślącego" – bez akceptacji tej prostej zasady demokracja byłaby w praktyce niemożliwa.

W ostatnich latach wydarzyło się jednak coś dziwnego. Tolerancja stała się hasłem jak ze szkolnej akademii. Dobrym do wywieszenia w gablocie, ale kompletnie nieprzydatnym w codziennym życiu. A może jest nawet gorzej. Tolerancja dla wielu staje się ideą nie tylko zupełnie niepraktyczną, ale wręcz szalenie niebezpieczną. Sieje zamęt po tzw. „naszej stronie".

Ze strachu przed wrogami

W Polsce kontekstem jest oczywiście rok 2015 i przejęcie władzy przez PiS. Od tamtej pory wielu Polaków uważa, że stało się coś złego. Ale nie tak zwyczajnie – zło, które się wydarzyło, jest głębokie i fundamentalne. Strach przed tym próbuje się racjonalizować konkretnymi zarzutami: a to obawą, że 500 plus doprowadzi do katastrofy gospodarczej, a to wizją polexitu. Albo że Kaczyński w czasie drugiej kadencji wykona ostateczny skok w kierunku autorytaryzmu.

Żaden z tych lęków nie jest błahy. Za każdym kryje się jednak coś więcej niż tylko opór czy krytykowanie konkretnych rozwiązań legalnie wybranej władzy. Przenika je pewien apokaliptyczny ton. Sprawia on, że posunięcia władzy układają się dla jej krytyków w konkretny katastroficzny scenariusz. Na jego końcu zarysowane są bardzo wyraziste wizje: Polska jako drugie orbanowskie Węgry, nowa putinowska Rosja, europejska Wenezuela. Takie lęki to naturalny stan ducha w świecie, w którym umarła tolerancja. Czyli – przypomnijmy – owo przeświadczenie, że istnienie „innych" nie sprawi, że nasz świat się zawali.

Oczywiście zwolennicy takiego myślenia nie przyznają nigdy, że są nietolerancyjni. Raczej będą dowodzić, że motywuje ich obawa przed... wrogami tolerancji. To oczywiście echo słynnego „paradoksu tolerancji" opisanego przez Karla Poppera w pracy „Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie". „Bezgraniczna tolerancja musi prowadzić do jej zaniku. Jeśli rozszerzymy bezgraniczną tolerancję nawet na tych, którzy nie są tolerancyjni, jeśli nie jesteśmy gotowi bronić tolerancyjnego społeczeństwa przed atakiem nietolerancyjnego, wtedy tolerancyjny świat zostanie zniweczony, a tolerancja z nim" – pisał Popper. Koronnym przykładem był oczywiście nazizm. Czemu trudno się dziwić, bo był rok 1945, a sam Popper był Żydem, który w porę uciekł z Austrii, co uratowało mu życie.

Z teorią Poppera zawsze było jednak kilka problemów. Pierwszy jest taki, że nazizm był jednak konkretnym historycznym fenomenem. Prawdopodobnie niemożliwym do powtórzenia kiedykolwiek indziej. Im więcej czasu upływało od jego końca, tym więcej było głosów, by się z tego straszliwego cienia wyzwolić. To z buntu przeciwko zbyt łatwemu straszeniu powtórką nazizmu zrodziło się znane w internetowych dyskusjach prawo zwane *reductio ad Hitlerum*. Wymyślił je na początku XXI wieku pracujący dla Wikimedia Foundation amerykański prawnik Mike Godwin. „Im dłużej trwa dyskusja ↦

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

↦ w internecie, tym bardziej prawdopodobieństwo użycia porównania, w którym występuje nazizm bądź Hitler, dąży do 1" – szydził Amerykanin. W 2007 r. londyński „Economist" zaproponował bazującą na prawie Godwina podstawową zasadę netykiety: „pierwsza osoba, która wyzwie drugą od nazistów, automatycznie przegrywa dyskusję". W pewnym sensie prawo Godwina było jakąś intuicyjną obroną tolerancji.

W ostatnich latach (wraz ze wzrastającą krytyką liberalnej demokracji i wzrostem fali populizmu) porównań do Hitlera zaczęło oczywiście przybywać. Nawet sam Godwin przyznał, że w niektórych przypadkach porównania są zasadne.

Drugi problem z „paradoksem tolerancji" jest bardziej fundamentalny. Zauważył go w „Teorii sprawiedliwości" (1971) filozof John Rawls. Pokazał, że w tolerancyjnym społeczeństwie nawet ludzie nietolerancyjni muszą być akceptowani, gdyż w innym przypadku społeczeństwo byłoby nietolerancyjne, czyli niesprawiedliwe. Przekładając na dzisiejsze realia: Popper byłby pewnie zatwardziałym antypisowcem. A Rawls raczej zdeklarowanym symetrystą. W napisanej w roku 2018 książce „Jak kończy się demokracja?" brytyjski politolog David Runciman przenosi to pytanie w nasze czasy. Dokładnie na 20 stycznia 2017 r., czyli na dzień inauguracji prezydentury Donalda Trumpa. Runciman nie ukrywa, że nie lubi Trumpa. Ale zadaje kilka ważnych pytań: czy fakt, że niezbyt kompetentny i znany ze swojego ostentacyjnego braku szacunku dla reguł demokracji Trump został tego dnia zaprzysiężony na prezydenta USA, jest końcem demokracji? Nie. Czy gdyby ze strachu przed Trumpem szefowie sztabu odmówili przekazania mu przycisku atomowego, to byłby to koniec demokracji? Zdecydowanie tak.

Runciman o tym nie pisze, ale coś bardzo podobnego przydarzyło się we współczesnej Rosji. Pod koniec lat 90. słabnie prezydent Borys Jelcyn. Fizycznie i politycznie. W siłę zaś rośnie lider komunistów Giennadij Ziuganow. Po stronie nowego antysowieckiego establishmentu oraz prozachodniej inteligencji zwycięża przekonanie, że demokracja jest zagrożona. Lekarstwem na to zagrożenie ma być wywodzący się ze służb specjalnych technokrata Władimir Putin. Obóz liberalno-demokratyczny udziela mu poparcia. Byle tylko ratować demokrację. Putin wygrywa. Co się dzieje potem – z grubsza wiadomo. Gdy tylko swą władzę skonsoliduje, wygasi świeżą rosyjską demokrację. Tę samą, którą miał ocalić przed Ziuganowem.

Doświadczenie demokratyczne polega na tym, że raz na jakiś czas „nasi" są górą, a innym razem „tamci" prowadzą nas w niemiłym kierunku.

Tych wszystkich historii nie da się oczywiście w sposób dosłowny przełożyć na polską politykę. Ale pewne jest jedno: po stronie obrońców „starej dobrej" liberalnej demokracji tolerancja nie jest dziś modnym ani użytecznym pojęciem. W ciągu minionych czterech lat do roli politycznej cnoty urosły pryncypialność i fundamentalizm.

Fala za falę

Brak zainteresowania myśleniem w kategoriach tolerancji po stronie liberalnej jest oczywiście reakcją na podobną falę, która przez lata pęczniała po drugiej stronie. I to też nie jest tylko polskie zjawisko. „Nietolerancja tolerancji" – taki tytuł nosi książka popularnego w Stanach ewangelickiego kaznodziei D.A. Carsona. „Kiedyś służyła obronie przed tyranami. Dziś sama przeistoczyła się w tyrana" – pisał kaznodzieja w roku 2011. Wychodząc z pozycji konserwatywnych, Carson stawiał tezę, że tolerancja jest dziś najwyższą wartością zachodniej cywilizacji. Ale wartością złą i zakłamaną. Bo oderwaną od wszelkich systemów etycznych. W praktyce nakazuje bowiem postawienie wszystkiego obok siebie na jednym poziomie. I pokłonieniu się wszystkiemu po kolei. Dla konserwatystów świat zbudowany wedle takiej logiki jest trudny do przyjęcia.

Tęsknotę przed nazwaniem dobra i zła dostrzec można także u wielu prawicowych polityków i publicystów. Czymże była w pierwszych dwóch dekadach III RP wielka debata o lustracji, jeśli nie tęsknotą za nazwaniem postaw i zachowań wobec PRL-owskiego reżimu w kategoriach moralnych. W ich świecie miejsce na tolerancję owszem jest. Ale dopiero po nazwaniu rzeczy po imieniu, a nie zamiast tego.

Myli się jednak ten, kto pomyśli, że z tolerancją ma na pieńku tylko prawica. Dobrze pokazał to Frank Furedi, węgiersko-brytyjski filozof w przeszłości związany z lewicą. I to nie tą socjaldemokratyczną, tylko dużo bardziej radykalną. W swojej prowokacyjnej książce „On tolerance" (O tolerancji) z roku 2011 Furedi nazywa współczesną tolerancję „antywspólnotową zachętą do gnuśnej obojętności". To jest – powiada Furedi – rejterada z naszych obowiązków wobec innych członków wspólnoty. Żeby oceniać, trzeba włączyć empatię i rozum. Trzeba się zainteresować drugim człowiekiem. A nie mówić „co mnie to wszystko obchodzi". To wygodne i pociągające dla coraz bardziej zindywidualizowanych zachodnich społeczeństw epoki neoliberalnej.

W podobnym tonie – choć z innych pozycji – pisał o tolerancji popularny swego czasu (dziś broniący się w sądzie przed zarzutami o molestowanie seksualne) teolog muzułmański Tariq Ramadan. Dla niego tolerancja to nic więcej jak duszna „moralna dobroczynność. Uspokojenie sumienia uzyskane niemalże bezkosztowo".

Warto też przypomnieć nieco starsze argumenty kultowego niegdyś na zachodniej lewicy filozofa Herberta Marcuse'a. Już w roku 1965 podnosił (w „Krytyce czystej tolerancji"), że dobra władza może czasem ograniczać potęgę uprzywilejowanych sił i grup, równoważąc w ten sposób ich przewagę w zasobach: finansowych, kulturowych i innych. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to widać, że po roku 2015 bardzo często po tego typu retorykę sięga w Polsce... PiS. Na przykład uzasadniając stronniczość mediów publicznych. Co – ich zdaniem – dopuszcza do głosu te punkty widzenia, które były wcześniej z debaty przez nietolerancyjny główny nurt w praktyce wykluczone.

Mniej równości to mniej tolerancji

Pewne pocieszenie płynie z faktu, że problem z tolerancją nie jest prawdopodobnie czystą konsekwencją zwyczajnych złych ludzkich motywacji. Pokazali to już dobrych kilkanaście lat temu Nolan McCarty, Keith Poole i Howarda Rosenthal w pracy „Polarized America" (Spolaryzowana Ameryka). Jej wyjątkowość polegała na tym, że autorzy jako pierwsi wskazali na ścisły związek pomiędzy postępującą polaryzacją a wzrostem nierówności w Stanach.

Chodzi z grubsza o to, że nierówności po cichu i bezszelestnie rozbijają spójność społeczną. Sprawiają, że ludziom tylko się wydaje, że są członkami tej samej politycznej wspólnoty, podczas gdy tak naprawdę żyją w różnych światach. Z jednej strony mamy zadowolone z siebie, majętne elity, które wykształciły milion psychologicznych i systemowych uzasadnień, dlaczego należy im się więcej, żyjące w swoich dzielnicach, chodzące do swoich szkół i korzystające ze swoich szpitali. Po drugiej stronie coraz bardziej sfrustrowani i mający coraz mniej do stracenia przegrani, którzy mają w głowie kolejny milion uzasadnień, jak to na ich ciężkiej pracy „oni" się dorobili. Efekt jest taki, że nawet gdy w takim kraju działa demokracja, to jest spolaryzowana, nieskora do kompromisu, nerwowa i delegitymizująca przeciwnika na każdym kroku. Taki układ bardziej przypomina beczkę prochu niż sprawnie funkcjonujące społeczeństwo. Wygląda na to, że w Polsce jest dziś bardzo podobnie. I też niewielu zdaje się zauważać, że ma to związek z wysokim poziomem nierówności. Może więc warto to dostrzec.

Nie ulegać hipochondrii

Dla tych, którym nie wystarcza samo oczekiwanie na to, że duch tolerancji się odrodzi, pozostaje szukanie bardziej aktywistycznych strategii. Na poziomie indywidualnym propozycji jest wiele.

Kilka lat temu Amerykanka Arlie R. Hochschild napisała „Obcego we własnym kraju". To jest książka o próbie autentycznego przekroczenia murów, które wyrosły między ludźmi. Hochschild sama siebie definiuje jako ucieleśnienie bańki liberalnej USA. Jest emerytowaną antropolożką z lewicowego uniwersytetu w Berkeley. Czyta „New York Timesa", segreguje śmieci, stara się jadać fairtrade'ową żywność, jeździ na rowerze. Oczywiście głosuje na Demokratów i jest feministką wyczuloną na wszelkie formy rasizmu, seksizmu i homofobii. I taka osoba zaczęła jeździć do Luizjany na głębokim południu USA. Stanu będącego na szarym końcu całego szeregu statystyk dotyczących dobrobytu. A jednocześnie bastionu tzw. partii herbacianej, libertariańskiego skrzydła Partii Republikańskiej. Jej fenomen w jakimś sensie zapowiadał nadejście Donalda Trumpa.

Hochschild wymyśliła sobie bardzo konkretne zadanie. Swoje rozmowy z Amerykanami z południa koncentrowała na temacie ekologicznym. Wnioski, do których dochodzi Hochschild, są ciekawe i wielowymiarowe. Nie ma sensu ich w tym miejscu omawiać. Zamiast tego warto zwrócić uwagę na pewien efekt uboczny metody przyjętej przez autorkę. Ona sama nazywa ją przezwyciężaniem murów empatii. Widać tu nawiązanie do najlepszych tradycji pacyfistycznego i głęboko humanistycznego pisarstwa. Bo u Hochschild jest autentyczna próba faktycznego wysłuchania racji drugiej strony. Ale nie na tej zasadzie, by wyłapać słabe punkty i natychmiast przypuścić efektowną kontrę. Antropolożka jest gotowa słuchać i usłyszeć. Brzmi to może banalnie, ale jest w dzisiejszej publicystyce politycznej, a nawet w nauce unikalne. Intelektualiści abdykowali wyjątkowe ze swojej roli przekraczających podziały. Zmienili się w zadowolonych z siebie ideologów. Używając metafor wojennych (tak dziś częstych) można powiedzieć, że zajęli się dostarczaniem coraz to nowej amunicji walczącym stronom. Zamiast (jak to w historii czasem bywało) próbować odegrać rolę pacyfisty potępiającego przemoc i dążenie do hegemonii.

Pozostaje pytanie, co robić na poziomie działań kolektywnych przekraczających zwykłe spotkanie człowieka z człowiekiem. We wspomnianej już książce Runciman radzi, by... trochę wyluzować. Przypomina, że doświadczenie demokratyczne polega właśnie na tym, że raz na jakiś czas ćwiczymy się w hegemonii (gdy „nasi" są górą), a innym znów razem zgrzytamy zębami, tolerując, że „tamci" prowadzą nas w niemiłym dla nas kierunku. Runciman sięga tu po metaforę człowieka w średnim wieku, który przeżywa związany nieuchronnie z tym etapem życia kryzys. Jednym z jego przejawów jest uzmysłowienie sobie własnej śmiertelności. Ludzie w wieku średnim wiedzą, że śmierć jest nieuchronna. Nie wiedzą jednak, kiedy nastąpi. Jedni potrafią sobie z tym poradzić, a inni nie. Ci drudzy popadają na przykład w hipochondrię.

Coś takiego dzieje się ostatnio w zachodnich demokracjach. Nie żyjemy już w świecie „końca historii". Dziś jest dla nas zupełnie oczywiste, że demokracja może umrzeć. I to na wiele sposobów. Od bardziej prymitywnych przewrotów wojskowych, przez powolny rozkład istniejących instytucji, po faktyczną kapitulację na rzecz władzy korporacji i zglobalizowanego pieniądza. Pamiętajmy przy tym jednak, że hipochondria sama w sobie jest zjawiskiem chorobowym. W skrajnej formie niszczy życie. Hipochondryk nie jest w stanie działać, bo ma wrażenie bezsensu i bezsilności. Grzebie się więc za życia. A idzie o to, by tego uniknąć. Wskrzeszenie ducha tolerancji może być pierwszym małym kroczkiem w tym kierunku.

©℗ RAFAŁ WOŚ

POŻEGNANIE

Drogi Piotrze,

przyjmij wyrazy głębokiego współczucia
i słowa otuchy z powodu śmierci

Mamy

Ś.†P.

Janiny Mucharskiej

(z domu Eberhardt)

Niech odpoczywa w pokoju.
Jesteśmy z Tobą.

Przyjaciele z Wydawnictwa i Miesięcznika „Znak"

REPORTAŻ

ŁĄKI MIEJSKIEJ ŁAN

Trudno jednoznacznie powiedzieć, kto był pierwszy. Wiele wskazuje na to, że Wrocław. Na początku czerwca tamtejszy Zarząd Zieleni Miejskiej oznajmił, że jedna czwarta parkowych trawników w tym mieście będzie tego lata koszona tylko raz, może dwa razy. Trochę częściej na 130 hektarach zieleńców i 530 hektarach pasów przydrożnych. Przez kilka dni miasto żyło niemal wyłącznie tematem swoich trawników. Podczas gdy jedni bili urzędnikom brawo, inni pukali się w czoło. „Gazeta Wrocławska" na swoich łamach apelowała do władz: „Prezydencie! O miasto trzeba dbać! Skoście te chaszcze!". Dziennik cytował m.in. wrocławską alergolog, której pacjent drwił z decyzji zarządu zieleni: „(...) motylom będzie lepiej. To prawda. Ale motyl może odlecieć, a tutaj muszą żyć ludzie". Jednak najwyraźniej argument dotyczący motyli oka-

Nie ma dnia, żeby któryś z samorządów nie ogłosił: kończymy z koszeniem trawy. Niech rośnie.

ADAM ROBIŃSKI

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / EAST NEWS

zał się mało lotny, bo w ślady Wrocławia wkrótce poszły również inne miasta. Argumentacja wszędzie była taka sama: wysoka trawa lepiej trzyma wodę, pochłania więcej zanieczyszczeń, sprzyja pszczołom i innym zapylaczom, stwarza warunki do życia jeżom i pozostałym małym zwierzętom. Niektórzy urzędnicy dodawali jeszcze: tak będzie ładniej – choć jeszcze do niedawna „ładnie" znaczyło „krótko".

Kiedy wrocławianie wciąż dyskutowali o koszeniu, Łódź ogłosiła, że kwietne łąki powstaną na tamtejszych Błoniach, w parkach, wzdłuż Bulwaru nad Łódką, na skwerze im. św. Maksymiliana Kolbego, na zieleńcach przy ulicach Drewnowskiej, Włókniarzy, Lutomierskiej i Paryskiej. To razem 20 hektarów. Łódzki Zarząd Zieleni Miejskiej zapowiedział: będziemy je tworzyć beznakładowo. Po prostu przestaniemy kosić.

Białystok: koszenie 24 hektarów maksymalnie dwa razy do roku. To dziesięć procent gminnych trawników. Legnica: jedno lub dwa koszenia na części terenów miejskich, w niektórych miejscach dopiero we wrześniu. Niech trawniki zamienią się w „spontaniczne łąki".

Trwała tendencja

– W Warszawie na terenach miejskich odbyło się na razie tylko jedno koszenie. ↦

↦ Po majówce, bo mniej więcej wtedy przekwita mniszek lekarski – mówi „Tygodnikowi" Mariusz Burkacki, rzecznik warszawskiego Zarządu Zieleni Miejskiej. – Przed nami jeszcze dwa, jedno być może w sierpniu, gdy dzień będzie już krótszy, a upały mniejsze. Trudno wyrokować, na kiedy zaplanujemy trzecie koszenie. Jeśli początek jesieni będzie tak ciepły, jak rok temu, to może dopiero na październik?

Rzecznik podkreśla, że wyjątkiem od tej reguły są okolice skrzyżowań i rond, gdzie wysoka trawa mogłaby negatywnie wpływać na bezpieczeństwo, oraz miejsca reprezentacyjne, takie jak choćby Aleje Ujazdowskie. Tam kosi się po staremu, a więc regularnie, nawet osiem razy w roku.

Poza tym, jak wyjaśnia Burkacki, działania stołecznych ogrodników ograniczające cięcie traw to wcale nie jednorazowy eksperyment: – Biorąc pod uwagę dotychczasowe doświadczenia i narastające letnie susze, wydaje się, że to tendencja nie do zatrzymania. Przy tak wysokich temperaturach koszenie nie ma najmniejszego sensu, bo wycięte do ziemi trawniki momentalnie usychają.

A długotrwałe prognozy, dodaje, nie są dla zieleni optymistyczne.

– Rzeczywiście, obecne lato jest z punktu widzenia pogody przerażające, ale na pewno również przełomowe – mówi Agnieszka Nowak z Fundacji Łąka. – Nie ma dnia bez doniesienia o kolejnym mieście, które zmienia swoją politykę w sprawie trawników i zagospodarowywania wspólnej przestrzeni. Kolejne samorządy odchodzą od koszenia na rzecz zakładania łąk. Widzą, jak bardzo szkodzi glebie bezśnieżna zima, która nie daje jej odpocząć, i kalkulują, że wszelkie nakłady finansowe przy starym modelu działania po prostu idą na marne.

Fundacja powstała w 2014 r. Zakładanie łąk było wtedy niszowym zajęciem i wymagało aktywistycznego zacięcia. Bardzo pomogły budżety obywatelskie – dziesięć pierwszych łąk w Warszawie to ich efekt. Swoje zrobiły też zarządy zieleni, zupełnie nowe instytucje, które powstały w największych ośrodkach. Według Agnieszki Nowak myślenie o zieleni w mieście stało się dzięki nim w ostatnich latach „ogrodnicze i długodystansowe". W Krakowie po powołaniu Zarządu Zieleni natychmiast utworzono dziesięć hektarów łąk.

– Ludzie widzą wypalone trawniki i reagują. Skoro nawet pokolenie obecnych trzydziestolatków zauważa, że lata są dziś dużo bardziej suche i upalne niż dawniej, a zimy cieplejsze, to siłą rzeczy pojawia się refleksja i chęć działania – przekonuje Nowak, dodając, że te oddolne inicjatywy muszą się jednak spotkać z odgórnymi. – Jeśli chcemy osiągnąć wymierny efekt, zmienić świadomość społeczną, to nie obędzie się bez regulacji popartych sankcjami. Karami za niszczenie zieleni. Trzeba wytępić tę manierę wpisywania do umów z wykonawcami liczby obowiązkowych koszeń rocznie. Bo jeśli rozliczamy się za kilometry przejechane kosiarką, to one po prostu będą jeżdżone.

Ilustracją jej słów może być nagranie wyglądające jak ze skeczu Monty Pythona, które w ubiegłym tygodniu podbiło media społecznościowe. Widać na nim człowieka jeżdżącego kosiarką po zieleńcu, na którym zamiast trawy jest piach. Rzeczniczka Pragi-Północ, gdzie do tego doszło, nazwała to działanie pomyłką pracownika.

Gotowiec dla spółdzielni

– Z przerażeniem obserwuję to, co się w ostatnich dniach dzieje w Warszawie – mówi za to Łukasz Porębski, żoliborski radny stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, które już kilka lat temu postulowało ograniczenie koszenia. – Być może Zarząd Zieleni Miejskiej nie kosi, ale na swoich gruntach koszą do zera wszyscy inni, choćby poszczególne dzielnice i spółdzielnie mieszkaniowe. Tramwaje Warszawskie potrafią wykaszać torowiska aż do gruntu niezależnie od pogody. A przecież koszenie trawników przy takiej suszy jest po prostu absurdem.

Porębski przekonuje, że jako radny współpracuje z dzielnicowym wydziałem ochrony środowiska na Żoliborzu i widzi, że urzędnicy mają dobre chęci. Ale równocześnie ciągle dostają skargi na to, że gdzieś trawnik nie został skoszony, i muszą się z nimi liczyć. Według niego potrzebują argumentów w rozmowie z mieszkańcami, wsparcia wspólnot i spółdzielni.

Podobne prośby słyszą na każdym kroku członkowie Fundacji Łąka. Aby wyjść im naprzeciw, fundacja opublikowała na Facebooku gotowiec. Pismo, które każdy może podpisać i wysłać do swojej spółdzielni mieszkaniowej czy wspólnoty. Czytamy w nim m.in., że sadząc łąkę kwietną zamiast trawnika nawet sześciokrotnie obniża się koszty utrzymania danego terenu. Agnieszka Nowak podkreśla, że o ile urzędy są coraz bardziej otwarte na nowatorskie pomysły, o tyle spółdzielnie mieszkaniowe i prywatni właściciele często funkcjonują w zupełnie innej bańce informacyjnej. Takiej, którą trzeba przebić analogowo, za pomocą mieszkańców, którzy „wychodzą" u decydentów swoje racje.

Podobnych oddolnych inicjatyw jest zresztą więcej. Arkadiusz Szaraniec, edukator przyrodniczy, autor książki „Dzika Warszawa", zbiera w internecie podpisy pod petycją o czasowy zakaz jakiegokolwiek koszenia trawników. Miałby obowiązywać w czasie upałów, susz i alarmów smogowych. „Powstrzymanie tej działalności, którą dyktuje bezmyślna rutyna i chęć zysku firm od pielęgnacji zieleni, ma w tym momencie podstawowe znaczenie dla zdrowia i życia wszystkich mieszkańców Polski" – czytamy we wniosku, pod którym podpisało się na razie kilka tysięcy osób. Adresatem listu otwartego o podobnej treści został prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Szaraniec proponuje również, by w umowach z wykonawcami zawierać alternatywę: w trakcie suszy płacić tylko połowę stawki bez konieczności świadczenia usług lub całą, ale za podlewanie trawników zamiast ich koszenia.

Jeszcze nie łąka

– Istnieje taki stereotyp, że jak się nie kosi, to się zaniedbuje roślinność, zaniedbuje tereny zielone. Ale to bzdura, koszenie to tylko pozory troski na pokaz – mówi „Tygodnikowi" dr hab. Stanisław Czachorowski, biolog z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. – Można to porównać do dbania o zdrowie: czy bardziej dba ten, kto łyka tabletki i chodzi na zabiegi chirurgiczne, czy ten, kto prowadzi zdrowy tryb życia, prawidłowo się odżywia, jest aktywny fizycznie? Częste koszenie tak, by było równo, zielono i bez tzw. chwastów, to archaiczny sposób myślenia o otoczeniu. Zupełnie nie przystaje do rzeczywistości, w której żyjemy. Do czasów zmiany klimatu, nadmiernej urbanizacji, chemizacji rolnictwa.

Czachorowski jest popularyzatorem nauki i promotorem idei zakładania łąk w miastach. Jak przekonuje, określenie „łąka kwietna" to tylko pewien skrót myślowy, który odnosi się do małych ekosys-

temów określonego typu. Podkreśla, że niekoszony trawnik to jeszcze nie łąka.

– Nie o samo koszenie chodzi, bo jeśli w glebie nie będzie nasion (to tzw. glebowy bank nasion), zaprzestanie intensywnego koszenia nie spowoduje, że od razu pojawią się liczne kwitnące rośliny. Nauka już dawno odrzuciła teorię samorództwa – mówi biolog. – Więc jeśli w najbliższym otoczeniu nie było wcześniej różnych gatunków roślin naczyniowych czy grzybów, to łąka sama z siebie nie powstanie. Najprościej jest po prostu inne rośliny dosiać. Taki proces tworzenia łąki kwietnej, swoistej miedzy z bogatą roślinnością i małymi zwierzętami, trwa co najmniej kilka lat.

Czachorowski podkreśla również, że częste koszenie sprzyja trawom, które na drodze ewolucji przystosowały się do bycia zjadanymi przez duże roślinożerne ssaki. Ich tzw. stożek wzrostu znajduje się nisko, a to powoduje, że szybko odrastają. – Za to inne rośliny ścięte od góry nie zawsze potem odbiją. Częste koszenie preferuje więc monokulturowe trawniki. Kosząc, zmieniamy skład gatunkowy i przyczyniamy się do spadku bioróżnorodności. Robi się ubogo – mówi.

W argumentacji, którą przytacza na rzecz niekoszenia, kwestie estetyczne znajdują się na dalekim planie. Po pierwsze – mówi – im wyższa roślinność, tym więcej w glebie detrytusu i próchnicy, a więc martwej materii organicznej, która magazynuje węgiel (inaczej trafiłby jako dwutlenek węgla do atmosfery, gdzie już jest go w nadmiarze).

Po drugie, wyższe rośliny zatrzymują więcej pyłów. Najwięcej osadza się go na liściach, im bardziej są szorstkie i pokryte woskami, tym lepiej (Fundacja Łąka przy współpracy ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie jest w trakcie opracowywania najskuteczniejszej pod tym względem mieszanki roślin, którą można by obsadzać pobocza dróg). Po trzecie, nisko przystrzyżony trawnik słabo zatrzymuje wodę, która spływa po nim prawie jak po asfalcie. Wyższa trawa poprawia retencję, i to na dużą skalę. Spowalnia spływ powierzchniowy, a więc zapobiega zalaniom.

Kleszczowy mit

– Na polach uprawnych stosuje się dziś tyle chemicznych środków ochrony roślin, że paradoksalnie to miasta stały się ostoją bioróżnorodności – mówi jeszcze Czachorowski. – To w miastach możemy chronić większą liczbę gatunków roślin i związanych z nimi gatunków owadów. Na przykład motyli. Ale żeby taki motyl wydał kolejne pokolenie, potrzebuje co najmniej miesiąca życia pod postacią gąsienicy, która rozwija się na roślinach kwietnej łąki. Nie możemy młócić jej do samej ziemi, bo nigdy nie damy motylowi szansy na rozwój. Zresztą przy częstym koszeniu, zwłaszcza kosiarkami żyłkowymi, giną nie tylko rośliny, ale i owady, które są z kolei pokarmem dla ptaków.

Jednym z najczęściej podnoszonych przez zwolenników koszenia argumentów jest ten straszący urodzajem kleszczy w wysokich trawach. Ale jak tłumaczy olsztyński biolog, to teoria nie mająca potwierdzenia w rzeczywistości.

– Nie znam żadnych naukowych danych, które wskazywałyby na zależność między wysokością trawy a liczbą kleszczy. Owszem, z biologii kleszczy wynika, że wdrapują się na źdźbła traw czatując na żywiciela, ale nie biorą się przecież znikąd. Nie jest tak, że jak przestaniemy kosić trawniki, to nagle pojawią się w dużych ilościach kleszcze. One są tam, gdzie ścieżki migracyjne ich potencjalnych żywicieli. Wysokość trawy nie ma na to żadnego istotnego wpływu. Zresztą z badań przeprowadzonych kilka lat temu przez polsko-słowacki zespół przyrodników wynika, że w lesie siedem razy łatwiej natknąć się na kleszcza na ścieżce niż w gęstych zaroślach. Zwierzęta, tak jak i ludzie, nie poruszają się w sposób chaotyczny. Korzystają ze stałych korytarzy migracyjnych i to właśnie przy nich pasożyty czekają na potencjalnych żywicieli. W Polsce występuje około 20 gatunków kleszczy, i choć potencjalnie groźny jest dla człowieka każdy z nich, to w praktyce wiele gatunków trzyma się od nas z dala. Choćby taki *Ixodes hexagonus*, bardzo liczny w środowisku miejskim, jednak pasożytujący niemal wyłącznie na jeżach.

Jak wyrosło samo, skosić

Łąkę pod swoim balkonem na osiedlu Olsztyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Stanisław Czachorowski założył dwa lata temu. To tylko kilkanaście metrów kwadratowych, na dodatek słabe, bo zacienione stanowisko. Mimo to dużo się pod tym balkonem dzieje. Mówi o nim „telewizja przyrodnicza za oknem". Obserwuje pszczolinki, a więc pszczoły samotnice. Do kwitnących roślin w ilościach hurtowych przylatują trzmiele. Rok temu miał pod domem gniazdo os dachowych, śledził, jak rozprawia się z nimi pasożytnicza muchówka.

– Nie wszystko mi wychodzi. Nie udały się na przykład malwy. Ale mam choćby gęsiówkę, bluszczyk kurdybanek, pokrzywy, dwa gatunki koniczyny, białą i czerwoną, podagrycznik, kosmaczek. Mam grzyby, bo pojawił się borowik ponury. Próbuję dosiewać różne inne gatunki, tulipany i krokusy. Bo wie pan, jak widać rękę człowieka, to człowiek z kosiarką zatrzyma się i dwa razy pomyśli, czy jechać dalej. Bo jak zasadzone przez człowieka, to uzna, żeby zostawić, ale jak wyrosło samo – to skosić...

Naukowiec dodaje, że jego działania stały się przykładem dla sąsiadów, coraz częściej znajduje w nich sojuszników i naśladowców. A choć oficjalnie Olsztyn wciąż tnie aż do ziemi, to i w nim rośnie liczba zielonych plam. Zielonych wysp opiewanych przez pochodzącą z 2005 r., a więc niejako proroczą piosenkę grupy Łąki Łan: „Asfaltowa życia droga / Śródblokowa, śródtynkowa / Nie musi być wcale sroga / A może być wręcz odlotowa / Wystarczy zdobyć się na skok / I wykonać pierwszy krok / Wyjścia plan z między ścian / Na zielony łąki łan".

Dlatego na koniec warto zapytać tego, kto to wszystko przewidział: – Ludzie na szczęście uczą się na swoich błędach – mówi „Tygodnikowi" Włodek Dembowski, pseudonim Paprodziad, wokalista Łąki Łan i autor powyższej zwrotki. – Ale najlepiej po prostu uczyć się od przyrody, a nie uczyć ją. Dobrze wszyscy na tym wyjdziemy, bo przyroda świetnie sobie radzi bez naszej pomocy. Dlatego bardzo się cieszę, kiedy widzę na Kępie Potockiej w Warszawie łany wysokiej, niekoszonej trawy. Niech rośnie.

© ADAM ROBIŃSKI

MATERIAŁY REKLAMOWE

„TP" 24 / 2019

Życie i śmierć Muzeum Narodowego

Mam 62 lata, męża, dwoje dorosłych dzieci i mieszkam w Warszawie. Nie jestem historyczką sztuki ani osobą związaną zawodowo czy personalnie z żadną instytucją kulturalną. Czuję się jednak głęboko związana z Muzeum Narodowym w Warszawie jako zwykła osoba zwiedzająca, która szczerze pokochała to miejsce. Piszę, aby podziękować za zainteresowanie sprawą ostatnich zmian w Muzeum. Pamiętam, gdy MNW nie było jeszcze tętniącą życiem instytucją. Początkowo zaglądałam tam okazjonalnie wraz z rodziną, aby przybliżyć dzieciom świat sztuki. Było tam wtedy cicho i spokojnie, zwiedzający pojawiali się głównie podczas dużych wystaw czasowych, a na co dzień po salach snuły się smętnie szkolne wycieczki. Sytuacja zmieniła się w 2010 r. Gdy pani Agnieszka Morawińska objęła stanowisko dyrektora, w Muzeum wstąpiło nowe życie, a ja stałam się już jego stałą bywalczynią. Dzięki regularnym wykładom dla seniorów, matek z dziećmi, spotkaniom niedzielnym i czwartkowym, kuratorskim oprowadzaniom, nowej aranżacji wystaw, programom edukacyjnym oraz innym inicjatywom, w gmachu Muzeum zawrzało życie. Wielkim atutem Muzeum był towarzyszący każdemu wydarzeniu bogaty program edukacyjny, który poszerzał możliwość obcowania z dziełami sztuki i pozwalał czerpać radość z kontaktu z edukatorami, którzy swoją miłością do sztuki zarażali zwiedzających. Dlatego też z wielkim niepokojem przyjęłam wiadomość o rezygnacji pani Morawińskiej ze stanowiska dyrektora MNW i późniejszym mianowaniu na tę funkcję prof. Miziołka. Czy dobrodziejstwa życia kulturalnego naprawdę muszą być uzależnione od bieżącej polityki? Czy musi zniknąć moje ukochane Muzeum? Zwolnienie prof. Piotra Rypsona i wypowiedź dyrektora Miziołka na temat tego wybitnego kuratora wzbudziły wielkie oburzenie. Natomiast z zapowiedzi, że muzeum trzeba „wreszcie ożywić" i że gmach główny rozbuduje „za chwilę", można było wysnuć tylko jeden wniosek: że dyrektor Miziołek nigdy wcześniej w Muzeum Narodowym nie był i nie jest zorientowany, jakiej instytucji został dyrektorem. MN w Warszawie ma długą i piękną historię. Tworzyli ją ludzie, którzy weszli do panteonu historyków sztuki, naukowców, muzealników. To między innymi prof. Jan Białostocki, prof. Kazimierz Michałowski czy prof. Stanisław Lorentz, który wraz ze swoimi współpracownikami z narażeniem życia chronił Muzeum podczas okupacji. Mam nadzieję, że duch tych osób nie pozwoli na upadek najważniejszej instytucji kulturalnej w stolicy, a niedawny protest pracowników Muzeum Narodowego w Warszawie nie pójdzie na marne.

STAŁA CZYTELNICZKA
(dane do wiadomości redakcji)

„TP" 25 / 2019

Kiepski żart ministra

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł „I tak popłyniemy" Marka Rabija. Mam do niego parę uwag. Minister rolnictwa poinformował niedawno o zamiarach spożywania mięsa bobrzego, uzupełniając to kiepskim żartem o afrodyzjakach. Sprawa jest jednak poważna: bobry są darmowymi realizatorami naturalnych zbiorników retencyjnych. Powinny być objęte najściślejszą ochroną i odpowiednio wykorzystane. Uwaga kolejna: można przenieść pary bobrze w wyznaczone miejsca Wielkopolski, Łódzkiego czy Kujaw – tam, gdzie grozi największa susza. Być może ministrowi chodziło o bobry hodowlane (ośrodek PAN w Popielnie prowadził badania pod tym kątem), ale jest to sprzeczne z ochroną gatunku. Inna ważna rzecz: minister powinien się zająć opracowaniem i wdrożeniem programu sztucznych nawodnień. Może warto się też zainteresować metodą nawodnień kropelkowych stosowaną w Izraelu przy uprawach pustynnych. Należy również wprowadzić w prawie budowlanym obowiązek wykorzystania wód opadowych w budownictwie indywidualnym dla celów gospodarczych, spłukiwania toalet oraz podlewania zieleni.

JERZY KRYSA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 659/18/S, z wniosku ING Banku Śląskiego Spółki Akcyjnej z siedzibą w Katowicach, przy uczestnictwie Jerzego Mitki, Urszuli Mitki, Gminy Miejskiej Kraków i Gminy Skała, o stwierdzenie nabycia spadku po Rafale Robercie Mitce (Mitka), s. Jerzego i Urszuli, ur. 10 października 1978 r. w Krakowie, zm. 17 lutego 2018 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałym w Cianowicach, gm. Skała, przy ul. Krakowskiej 40.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Krowodrzy w Krakowie, I Wydział Cywilny, dla sygn. akt I Ns 97/18/K toczy się postępowanie z wniosku Norberta Nizioła, przy uczestnictwie Stanisława Przygody i innych, o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszce Motyl z d. Maciejowskiej, c. Franciszka i Katarzyny, zm. 3 marca 2002 r. w Krakowie i ostatnio stale zamieszkałej w Woli Filipowskiej. W skład spadku wchodzi nieruchomość o pow. 68 a w Woli Filipowskiej.

Sąd wzywa spadkobierców Franciszki Motyl, w szczególności jej rodzeństwo i zstępnych rodzeństwa, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia publikacji niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

NAJPIERW AMERYKA

Jeszcze nigdy katolicy w Stanach Zjednoczonych nie byli tak podzieleni. Powstałe w ostatnich latach napięcia promieniują na cały Kościół.

MASSIMO FAGGIOLI Z FILADELFII (USA)

REUTERS / FORUM

Arcybiskup Georg Gänswein towarzyszy Donaldowi Trumpowi i jego małżonce Melanii w drodze na spotkanie z papieżem Franciszkiem, Watykan, 24 maja 2017 r.

Kościół katolicki w USA to dla papieża Franciszka od samego początku pontyfikatu trudne wyzwanie. Ideologiczna polaryzacja amerykańskiego społeczeństwa nie oszczędziła wspólnot religijnych, w tym katolickiej. Początki tego procesu sięgają lat 70., ale jego przyczyną nie były posoborowe przemiany w Kościele, tylko sytuacja wewnętrzna w kraju – zwłaszcza wyrok federalnego Sądu Najwyższego z 1973 r., legalizujący aborcję. Wtedy to różnice polityczne zaczęły nakładać się na podziały wewnątrzkościelne – co dziś jest już zjawiskiem typowym dla północnoamerykańskiego katolicyzmu. Pęknięcie pogłębiło się jeszcze w latach 80. z powodu polityki personalnej Watykanu, który przez kolejne trzy dekady faworyzował w nominacjach biskupich księży uważanych przez Jana Pawła II (i jego amerykańskich współpracowników w Rzymie i USA) za najlepiej przygotowanych do prowadzenia „wojen kulturowych" (*culture wars*) – a więc na polu etyki seksualnej i walki o rodzinę.

Podzielony Kościół

Za pontyfikatu Franciszka to pęknięcie stało się już wszechogarniające, aż po niebezpieczeństwo rozbicia wspólnoty kościelnej w Stanach Zjednoczonych i zerwania łączności z Rzymem. Moment największego napięcia przyszedł w sierpniu ubiegłego roku – było to „świadectwo" byłego nuncjusza papieskiego w Waszyngtonie, abp. Carla Marii Viganò. Jednak nie o sam komunikat chodzi ani o zawarte w nim żądanie dymisji papieża, ale o reakcję amerykańskiego episkopatu. Tylko nieliczni biskupi wzięli w obronę Franciszka; bardziej widoczni i aktywni byli ci (ponad dwudziestu), którzy publicznie stanęli po stronie Viganò (zresztą do dziś przebywającego – bez zgody Watykanu – prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych).

Pontyfikat Franciszka, entuzjastycznie przyjęty przez katolików liberalno-postępowych, a krytycznie, aż po zakwestionowanie, przez neokonserwatywnych i neotradycjonalistycznych, ujawnił głębię tego rozłamu. Wszelkie dyplomatyczne i kościelne próby zmniejszenia tego napięcia okazały się nieskuteczne. Nawet wizyta Franciszka w Stanach Zjednoczonych we wrześniu 2015 r. i spodziewany po niej „miodowy miesiąc" zostały zneutralizowane przez szok, jakim dla wielu amerykańskich biskupów (mianowanych jeszcze przez Jana Pawła II czy Benedykta XVI) był październikowy synod na temat rodziny i małżeństwa oraz posynodalna adhortacja „Amoris laetitia", wydana w kwietniu 2016 r. Potem doszły kolejne elementy: zwycięstwo Donalda Trumpa w prawyborach Partii Republikańskiej, a następnie w wyborach prezydenckich (listopad 2016 r.) i jego wpływ na amerykański Kościół katolicki oraz relacje transatlantyckie, a także – wiosną i latem 2018 r. – sprawa kard. McCarricka i próby manipulowania nią tak, by stworzyć kościelno-polityczny kontekst dla żądania impeachmentu papieża. Odwołać papieża się nie udało, ale dla wielu amerykańskich katolików sprawa pozostaje otwarta. I jest spektakularnym obrazem tego, co dzieje się w najbardziej podzielonym na świecie Kościele lokalnym. Pęknięcia i podziały widać na kilku poziomach.

Bliżej ściany

Pierwszy ma charakter teologiczno-kulturowy. Widoczne dziś napięcia między katolickim konserwatyzmem (reprezentowanym przez większość amerykańskich biskupów i znaczną mniejszość katolików świeckich) a papieżem Franciszkiem trzeba rozpatrywać w kontekście zmiany paradygmatu, jaka zaszła w opiniotwórczych środowiskach amerykańskich katolików w ostatniej dekadzie. Pokolenie neokonserwatystów z lat 80. i 90. ustąpiło miejsca katolickiemu neotradycjonalizmowi, ucieleśnianemu przez młodych dziennikarzy i intelektualistów, którym bliższe są tradycje antysoborowe niż uzasadniona krytyka okresu posoborowego.

Katolicki neokonserwatyzm ograniczał się do zakwestionowania dość niejasnego pojęcia „ducha Vaticanum II", które utożsamiał (nie bez powodu) z teologicznym, kulturowym i politycznym liberalizmem. Tymczasem już za pontyfikatu Benedykta XVI doszła do głosu druga generacja antysoborowych rewanżystów: nie wystarcza im umniejszanie rangi soboru i krytyka jego „ducha". Nie wystarczy też tęsknota za liturgią sprzed reformy (msze przedsoborowe, na które zezwolił Benedykt XVI w 2007 r., cieszą ↦

się w USA ogromną popularnością). Tradycjonalizm liturgiczny stał się początkiem szerszego ruchu, który próbuje wykreślić Sobór Watykański II z doktryny katolickiej. Neotradycjonaliści stawiają postulat jego delegitymizacji i unieważnienia zatwierdzonych i ogłoszonych dokumentów.

Debata nad Vaticanum II nigdy w Stanach Zjednoczonych nie była tylko teoretyczna. Dla skrajnej katolickiej prawicy sobór był początkiem końca nie tylko katolicyzmu, ale całej zachodniej cywilizacji. Główną konsekwencją odrzucenia teologii soboru przez amerykańskich konserwatystów i tradycjonalistów jest rewizjonistyczna interpretacja papieskiego nauczania na tematy społeczne i polityczne (np. o sprawiedliwości społecznej i gospodarczej), dzięki czemu ożywiły się nurty antyliberalne wśród amerykańskich katolików. Doszła do tego żywa dyskusja o karze śmierci (uznawanej za element niezmiennego magisterium Kościoła i integralną część „amerykańskiej tradycji teologicznej"), rodzinie i nierozerwalnym małżeństwie. A także ataki na idee pluralistycznej i świeckiej demokracji, szanującej prawa mniejszości.

Rzekomy liberalizm dokumentów Vaticanum II został więc połączony z liberalizmem politycznym i wspólnie z nim obwiniony o porażkę globalizacji i idei wielokulturowości. Interesująco na tym tle wygląda zmiana oceny Jana Pawła II, jeszcze kilka lat temu uważanego za bohatera konserwatywnego katolickiego ruchu oporu wobec liberalizmu. Dziś pojawia się jego krytyka i to nie z pozycji liberalnych, ale konserwatywno-tradycjonalistycznych: nie tak dawno dyrektor magazynu „First Things", R.R. Reno zarzucił mu współodpowiedzialność za zmianę nauczania Kościoła na temat liberalizmu.

Pomijając oczywiste różnice między kulturą polityczną neokonserwatystów i neotradycjonalistów, przemiana katolickiej prawicy religijnej jest ważnym czynnikiem w zrozumieniu oporu – czy po prostu pogardy – wobec nauczania Franciszka. Da się go zauważyć nie tylko w środowiskach intelektualistów. Dokonało się także w części episkopatu, duchowieństwa katolickiego (zwłaszcza młodych kapłanów), w seminariach duchownych (w tym na Katolickim Uniwersytecie Ameryki w Waszyngtonie – uczelni

Religie w USA

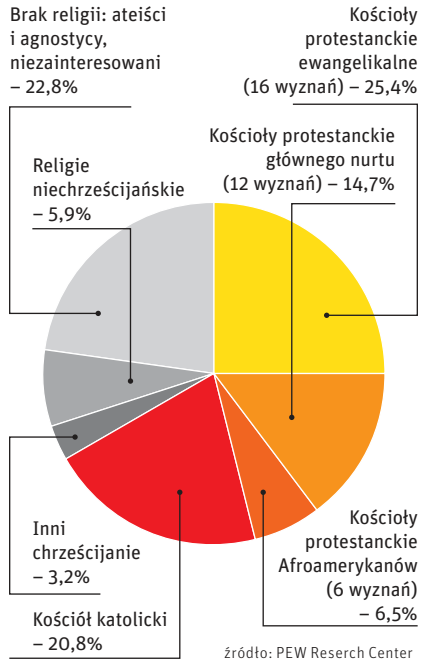

źródło: PEW Reserch Center

biskupiej) i wśród sporej liczby katolików, którzy dzięki Partii Republikańskiej weszli w ostatnich latach do polityki.

W neotradycjonalizmie ważną rolę odgrywa też fenomen niedawnych nawróceń na katolicyzm, a zwłaszcza odejść z Kościołów protestanckich (czy to historycznych, jak anglikański, czy wspólnot pentakostalnych). Północnoamerykańskie środowisko religijne odznaczało się zawsze dużym odsetkiem „nawróceń" – rozumianych jako przejście z jednego Kościoła do drugiego. Za pontyfikatu Jana Pawła II i Benedykta XVI Kościół katolicki w USA okazał się atrakcyjny dla dużej konserwatywnej części klasy intelektualnej, która uważała, że jest uciskana przez liberalizm i doktrynalny, moralny progresywizm Kościołów protestanckich. Nic dziwnego, że niedawno nawróceni katolicy (w tym dziennikarze piszący regularnie nie tylko dla czasopism katolickich, ale też dla najważniejszych gazet, takich jak „New York Times" i „Washington Post") stanowią jeden z najbardziej wrogich i zmobilizowanych oddziałów walki z obecnym papieżem.

Amerykański klerykalizm

Drugim powodem rozejścia się dróg amerykańskich katolików i aktualnie urzędującego papieża jest głęboko klerykalna natura tamtejszego katolicyzmu. Jeszcze do połowy XX w. Kościół katolicki w USA tworzony był przez niedawnych imigrantów, ludzi przywykłych do społecznego, gospodarczego i kulturowego podporządkowania. Przez długi czas był symbolem „obcej kultury" i celem – najpierw fizycznych ataków natywistów czy nawet Ku Klux Klanu, później wielu żartów i kpin.

W demokratycznym i populistycznym społeczeństwie katolicy stanowili wyjątek. Byli mniejszością, wspólnotą słabych i biednych wiernych, zgromadzonych wokół kapłanów i złączonych z nimi w niemal plemienny sposób. Władza księży – osób wybranych i specjalnie wyświęcanych, oddzielonych w symboliczny sposób od reszty społeczeństwa – zawsze budziła podejrzenia Amerykanów, nieufnych wobec jakichkolwiek elit. Tymczasem katolikom autorytet hierarchii nie tylko dawał poczucie pewności, świadomość łączności ze Stolicą Apostolską czy ich europejskimi (w znacznym procencie) ojczyznami. Stwarzał też szanse na awans społeczny, dzięki sieci socjalnych i edukacyjnych dzieł prowadzonych przez diecezje i zakony.

Nic dziwnego, że apele Franciszka o przełamanie kultury klerykalizmu amerykańscy katolicy odbierają jak stawianie pod pręgierzem ich historii i tradycji.

Dopiero z biegiem lat katolicyzm stał się pełnoprawną częścią amerykańskiego narodu, głównie za sprawą akceptacji najważniejszych zasad amerykańskiej kultury społeczno-politycznej: demokracji i wolności religijnej. Katolicy włączyli się w nurt amerykańskiego kapitalizmu, którego kluczowym elementem był antykomunizm czasu zimnej wojny. Stworzyli i rozwinęli też własną kulturę teologiczną, tak wśród duchownych, jak i świeckich, tylko w niewielkim stopniu zależną od Europy (Rzymu, Francji czy Irlandii), znajdującą własny i wolny od urzędniczej kontroli głos w systemie szkół wyższych. Duże katolickie uniwersytety, kolegia i centra kształcenia konkurują dziś z byłymi protestanckimi uniwersytetami elitarnej Ivy League (takimi jak Harvard, Columbia, Yale czy Princeton).

Ten proces kulturowy – „amerykanizacja katolicyzmu" – zauważalny jest zwłaszcza po 1960 r., kiedy wybrano pierwszego i jedynego jak dotąd katolickiego prezydenta, Johna F. Kennedy'ego. Obrazuje trwałe wejście amerykańskich

katolików do społeczeństwa i systemu gospodarczego. Ale wiąże się też z „protestantyzacją" – np. absorpcją niektórych cech kultury kalwińskiej (etyka sukcesu gospodarczego, duchowość kapitalizmu), czyli odejściem od teologicznych korzeni „katolicyzmu społecznego", kształtującego (przynajmniej początkowo) system gospodarczy i społeczny wielu krajów Unii Europejskiej.

Antyliberalizm

Trzecia przyczyna podziału jest natury politycznej. Kryzys, jaki ogarnął w ostatniej dekadzie światową gospodarkę, spowodował powrót na scenę ruchów i partii nacjonalistycznych i izolacjonistycznych. Stany Zjednoczone nie są wolne od tego zjawiska. Nie jest ono obce także Kościołowi katolickiemu, dziś już największemu w kraju, w którym coraz mocniej odczuwa się rozdźwięk między katolikami białymi (większość z nich, 60 proc., w wyborach w 2016 r. głosowała na Donalda Trumpa) a kolorowymi (Latynosi, Afroamerykanie, Azjaci – którzy w zdecydowanej większości nie głosowali na obecnego prezydenta). Ci pierwsi, potomkowie katolicyzmu europejskiego, coraz częściej tęsknią za powrotem do tradycji i są przeciwni – teologicznie, liturgicznie i politycznie – nie tylko nurtom liberalno-postępowym, ale także katolikom latynoskim, afroamerykańskim i azjatyckim.

Napięcie między Franciszkową wizją ekonomii (i polityki) a kapitalizmem w wersji amerykańskiej było zauważalne od samego początku. Ale po 2016 r., wraz ze wzrostem popularności Donalda Trumpa, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Dla postępowców był to argument za odmówieniem nowemu prezydentowi moralnej legitymacji i początek refleksji nad hipokryzją amerykańskiego chrześcijaństwa. Konserwatyści umiarkowani godzili się na Trumpa uznając, że antyaborcyjne postulaty Partii Republikańskiej są ważniejsze od osobistych cech prezydenta. Radykaliści natomiast uznali jego prezydenturę za wydarzenie opatrznościowe, dzięki któremu uda się wyeliminować i unieszkodliwić progresywizm i liberalizm.

Pojawiły się nawet próby teologicznego uzasadnienia wyniku wyborów – grupa młodych intelektualistów, pełniących ważne stanowiska w świecie akademickim i medialnym (związanych z czasopismem „First Things"), jest zdania, że należy popierać wszystko, co przyczyni się do likwidacji politycznego i teologicznego liberalizmu, zwłaszcza jeśli chodzi o etykę seksualną (walka z aborcją i homoseksualizmem), rodzinę i małżeństwo. Tym samym akceptują politykę imigracyjną i zagraniczną nowej amerykańskiej administracji.

Zmiany w Kościele katolickim w USA 1970–2018

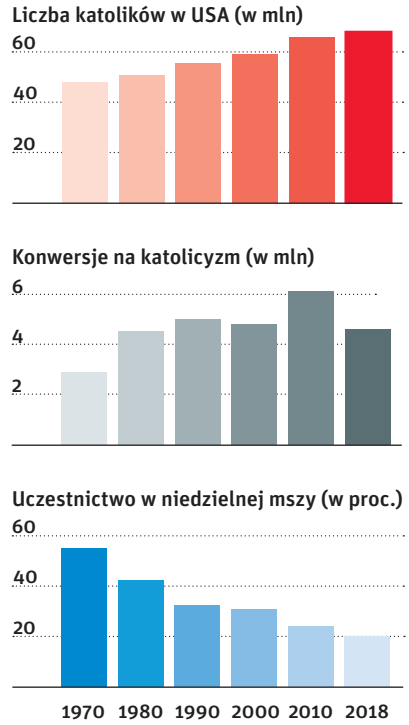

źródło: Center for Applied Research in the Apostolate (CARA)

INFOGRAFIKA EDWARD AUGUSTYN X2

USA nie chcą być peryferiami

Trudno w takiej sytuacji uwolnić się Franciszkowi od admiracji ze strony północnoamerykańskich liberałów, choć sam papież żadnym liberałem nie jest. Jego kulturowy i teologiczny *background* ukształtował się co prawda także w czasach zimnej wojny, ale przeżywanej w Buenos Aires (a więc daleko od półkuli północnej); równie ważne były też lata argentyńskiego kryzysu gospodarczego (2001-02) i niewypłacalności kraju. Centra formacji i ekspresji wolnej myśli tak konserwatywnej, jak i libertariańskiej w Stanach Zjednoczonych nigdy nie ukrywały, że nauczanie Franciszka w sprawach społecznych i gospodarczych w żaden sposób nie przystaje do amerykańskiego kapitalizmu.

Co więcej, ten pontyfikat jest wyzwaniem nie tylko dla równowagi pomiędzy katolicyzmem a systemem polityczno-gospodarczym w USA, ale także dla roli USA w zglobalizowanym świecie. Stosunek Franciszka do Stanów Zjednoczonych i jego pojmowanie wzajemnych relacji obu Ameryk, zarówno z geopolitycznego, jak i georeligijnego punktu widzenia, to jeden z kluczy interpretacji papieskich poglądów, umożliwiający wydostanie się z ciasnoty najprostszych kategorii typu „prawica kontra lewica" albo „tradycjonalistyczni konserwatyści kontra liberalni progresiści". A także wyzwanie dla geopolitycznego samozadowolenia amerykańskich chrześcijan, mocno przywiązanych do idei przewodniej roli Stanów Zjednoczonych w dziejach świata.

Bo amerykański katolicyzm, zarówno pro-Trumpowy, jak i liberalno-postępowy, mają podobną w treści – choć różną co do formy – wizję, która dla jednych przejawia się hasłem „Najpierw Ameryka", dla drugich: „Najpierw amerykański katolicyzm". Tymczasem Franciszek porównał swoje widzenie świata do „spojrzenia Magellana" – patrzenia na centrum z perspektywy peryferii. To wymaga korekty „geopolitycznych atlasów" wszystkich Amerykanów, w tym również amerykańskich katolików. Bergoglio ustawił rzymskie papiestwo w nowym miejscu w stosunku do globalnej sceny politycznej i zupełnie na nowo zdefiniował powszechność katolickiego Kościoła.

W tym kontekście nie można lekceważyć coraz większej w ostatnich latach roli konserwatywnych mediów katolickich, które siedziby mają w USA, ale biura w Rzymie. Są one wyrazicielami poglądów zamożnych katolickich darczyńców, którzy z racji swoich politycznych powiązań i agendy działania sytuują się w opozycji do Franciszka. Media takie jak EWTN od początku pontyfikatu były zaangażowane we wrogą narrację o papieżu. Niektórzy amerykańscy biskupi w tym systemie medialnym pełnią rolę instytucjonalną, a „niezależne" dziennikarstwo staje się półoficjalnym głosem ważnych amerykańskich hierarchów.

Widmo sekularyzacji

Te trzy podziały – na poziomie teologiczno-kulturowym, kościelnym i politycznym – w Kościele amerykańskim ↦

oraz napięcie pomiędzy nim a obecnym papieżem są tylko skrajnym przejawem zjawisk, które od zawsze były obecne. Teraz jedynie wychodzą na światło dzienne, wskutek dwóch gwałtownych wstrząsów: systemowego wykorzystywania seksualnego nieletnich przez księży (w amerykańskim Kościele bardziej widocznego niż w jakimkolwiek innym) oraz upadku amerykańskiej siły gospodarczej i kulturowej w nowym rozdaniu globalnym. Poważnym problemem amerykańskiego Kościoła jest radykalizacja i polaryzacja wizji oraz zanik katolicyzmu teologicznie scentralizowanego, kierującego się zdrowym *sensus Ecclesiae*, który dba o jego jedność w globalnej rzeczywistości.

Widoczna jest też coraz większa alienacja laikatu (w tym teologii akademickiej, obecnie nauczanej prawie wyłącznie przez świeckich) od hierarchii kościelnej (biskupów, kapłanów, kleryków), której wiarygodność konsekwentnie spada. Kościół katolicki w USA jest z natury zglobalizowany, a przez to bardzo różnorodny, co widać zwłaszcza w wielkich aglomeracjach. Kultura teologiczna i religijna Stanów Zjednoczonych zawsze miała wyraźny związek z dynamiką imigracji, sekularyzacją, kapitalistycznym systemem gospodarczym, kulturą demokratyczną i prawną, widzeniem roli Ameryki na świecie.

Trzeba jednak dodać, że obecny opór wobec Franciszka bierze się nie tylko z obrony klerykalnego *status quo*, ale też z obaw przed postępującą w kraju sekularyzacją. Postawa *nones* (bez religii) staje się coraz bardziej popularna wśród młodych osób, również białych katolików europejskiego pochodzenia, a więc w grupie, która od zawsze stanowiła trzon klerykalnych elit rządzących kościelnymi strukturami.

Przyszłość Kościoła katolickiego w USA jest niepewna i trudna do przewidzenia, tak jak niepewna i trudna do przewidzenia jest przyszłość samych Stanów Zjednoczonych.

© MASSIMO FAGGIOLI

Autor jest profesorem historii Kościoła na Villanova University w Filadelfii w USA. Powyższy tekst został napisany specjalnie dla „Tygodnika Powszechnego”.

Przeł. EDWARD AUGUSTYN

ŁUKASZ SZELĄG / REPORTER

Demonstruje Centrum Życia i Rodziny, Warszawa, czerwiec 2019 r.

Indeks lekcji zakazanych

ARTUR SPORNIAK

W świeckiej instytucji za podobną kompromitację byłaby dymisja. Ciśnie się na usta pytanie: czy biskupi w ogóle ponoszą odpowiedzialność, skoro mogą bezkarnie ośmieszać Kościół i nas – wierzących katolików?

Na stronie diecezji szczecińsko-kamieńskiej, za którą odpowiada abp Andrzej Dzięga, ukazał się „Katalog dobrych praktyk w relacjach duszpasterskich z dziećmi i młodzieżą”, czyli normy dotyczące prewencji nadużyć seksualnych wobec małoletnich. Ten fakt można by skwitować: lepiej późno niż wcale (do opracowania takich norm zobowiązały biskupów wytyczne przyjęte przez Episkopat już w 2014 r.), gdyby nie dołączony do tego dokumentu aneks: „Oświadczenie rodzica w sprawie tzw. edukacji seksualnej”.

Jest to wzorzec druku gotowego do wypełnienia, podpisania i przekazania przez rodzica dyrekcji szkoły. Rodzic oświadcza, że nie wyraża zgody na udział jego dziecka w jakiejkolwiek formie zajęć, podczas których poruszane będą następujące zagadnienia: „edukacja seksualna, antykoncepcja, profilaktyka ciąż wśród nieletnich i chorób przenoszonych drogą płciową (np. AIDS), dojrzewanie i dorastanie, równość, tolerancja, różnorodność, przeciwdziałanie dyskryminacji i wykluczeniu, przeciwdziałanie przemocy, LGBT, homofobia, tożsamość płciowa, gender”. Rodzic żąda „każdorazowo” poinformowania go o zamiarze takich zajęć – jest to niezbędne, by mógł nie posyłać wtedy dziecka do szkoły.

Na egzekwowaniu „konstytucyjnego prawa” do wychowania dziecka zgodnie z poglądami rodzica się nie kończy. Dokument zawiera groźbę: „Oświadczam także, że o takich przypadkach lub próbach organizacji tego typu wydarzeń na terenie szkoły oraz wyjść pozaszkolnych zamierzam poinformować odpowiednie instytucje państwowe (Kuratorium

Oświaty, Ministerstwo Edukacji Narodowej) oraz społeczne, zajmujące się tematyką pedofilii i deprawacji seksualnej dzieci (m.in. ogólnopolski komitet »Stop Pedofilii«), a w przypadku wypełnienia znamion czynów zabronionych zawiadomię odpowiednie organy".

A jeśli dziecko „poniesie szkodę psychiczną", sygnatariusz dokumentu zapowiada, że będzie bronił jego praw na drodze cywilnej.

Wszystko to jest uzasadnione... obroną przed pedofilią (!): „Zachęcanie dzieci do rozmowy z dorosłymi o seksie, zachęcanie ich do inicjacji seksualnej, nakłanianie do wykonywania lub wykonywanie w ich obecności czynności seksualnych (np. na sztucznych organach płciowych) stanowi przygotowanie bądź sprawstwo przestępstw pedofilskich (art. 200-200b kk). Również jako przygotowanie do czynów pedofilskich można oceniać rozmowy o seksie z jednoczesnym podważaniem autorytetu rodziców".

Obsesyjność tekstu przejawia się w drobiazgowym wyliczeniu miejsc, gdzie może dojść do „deprawacji" („na lekcjach/zajęciach/warsztatach/spotkaniach/pogadankach/apelach/projekcjach filmów/wyjściach pozaszkolnych [teatr, kino, muzeum, biblioteka, zajęcia sportowe] oraz wszelkich innych wydarzeniach organizowanych na terenie szkoły lub poza nią"), oraz w tym, że groźba donosu dotyczyć ma także „wydarzeń, w których moje dziecko nie weźmie udziału bezpośredniego".

Gdyby jakaś dyrekcja szkoły rzeczywiście chciała potraktować takie oświadczenie literalnie, właściwie musiałaby zamknąć placówkę, a dzieci rozesłać do domów.

Jak bowiem autor/autorzy tego kuriozum wyobrażają sobie egzekwowanie – np. na lekcjach biologii – zakazu pojawiania się informacji na temat dojrzewania i dorastania? Czy szkoła naprawdę ma powstrzymać się przed przeciwdziałaniem dyskryminacji, wykluczeniu i przemocy? A co z zajęciami wychowania do życia w rodzinie, podczas których mowa jest i o antykoncepcji, i profilaktyce ciąż wśród nieletnich, i chorobach przenoszonych drogą płciową (także AIDS), i o homofobii? Strach dopisać do listy podejrzanych przedmiotów katechezę, która uczy (powinna uczyć) równości i tolerancji, bo przecież źródłem tych wartości jest Ewangelia. ©℗

Owoce chyba są dobre

BEATA SZADY

Wszyscy widzieli, co się święci. W okolicznych wsiach ludzie mieli już to za sobą. W Spychowie jeszcze nie. Tu grupa ewangelików, choć nieliczna, była silna. Broniła swojego kościoła.

Jest końcówka lat 70. XX w. Ewangelików pozostało na Mazurach tyle, co kot napłakał. W Spychowie ostatnie rodziny mazurskie dostają zgodę na wyjazd do Niemiec. Adam wie, że Ewa będzie wyjeżdżać z Polski. Spotykają się u jej rodziny. Na pożegnanie wręcza jej polską monetę. I mówi: „Masz, na pamiątkę, z orzełkiem".

Ewa jest wdzięczna, miła, spokojna. Zawsze taka była – przykładna uczennica stroniąca od konfliktów.

Adam Mierzejewski jako dziecko widzi, jak Mazurów ubywa. Nie postrzega tego w kategoriach dramatu. Ludzie wyjeżdżają, bo chcą lepszego świata. Ot, tyle. Trochę im nawet tego wyjazdu zazdrości.

Co rusz słyszy historie mazurskie. I coś go w nich pociąga. To nie są życiorysy jego przodków. Jego rodzice nie są stąd. Ojciec przybył z Kurpi, mama z Lubelszczyzny. – Przyszli na tereny zdobyte, które wówczas nazywano odzyskanymi – opowiada Adam. – Rodzinę mamy skusiła ziemia, bo tam pracowali u dziedzica. A komunizm powiedział, że mogą mieć swój kawałek ziemi. No więc przyjechali i zajęli czyjś dom.

Pupy, później Spychowo

Ewę poznaje w Spychowie – wtedy to jeszcze Pupy, od niemieckiego *Puppen* (Lalki). „Urodziłem się w Pupach" – nowych mieszkańców krępuje ta nazwa i w 1960 r. zostaje zmieniona. Ponieważ film „Krzyżacy" właśnie wszedł na ekrany, a słynny Jurand mieszkał niedaleko Szczytna, decydują się na Spychowo.

– Wspólnie rośliśmy, bawiliśmy się, graliśmy w piłkę – wspomina Adam. Ale kiedy dochodziło do kłótni, to było: ty Szwabie, Niemcu, Goebbelsie! Przezywaliśmy ich. Na to było przyzwolenie rodziców, Kościoła, wszystkich. Nikt za to uszu nie wytargał.

Pamięta jeszcze, że z kolegami rzucali kamieniami w kościół ewangelicki w centrum wsi, żeby wybić witraż i popatrzeć przez tę kolorową szybkę na słońce. – Ganiał nas za to pan Fidura, który się nim opiekował. Był ewangelikiem, ale dla nas to był Szwab. Bo trzeba zacząć od tego, że dla ludzi to był kościół niemiecki.

Kościół w Spychowie – duży, neogotycki, z czerwonej cegły – po wojnie niszczeje. Nieremontowany, coraz rzadziej użytkowany. Na początku lat 80. w Spychowie jest około dziesięciu ewangelików (jedne źródła mówią o siedmiu, inne o dwunastu).

Katolicy, których z roku na rok przybywa, gnieżdżą się natomiast w przedwojennej karczmie. To pomieszczenie w zwykłym domu jednorodzinnym w centrum wsi, niedaleko kościoła ewangelickiego, zmienione w kaplicę. Ludzie się w niej nie mieszczą. Chodzą po okolicy żarty, że w Spychowie nie ma spowiedzi prywatnej, tylko publiczna, bo przy konfesjonale człowiek na człowieku stoi.

– Więc nasz ksiądz katolicki, Władysław Dusza, wpada na pomysł, żeby iść pod kościół, kiedy jest nabożeństwo ewangelickie, poczekać, aż ludzie wyjdą, wprowadzić swoich i odprawić mszę – opowiada Mierzejewski. – Pastor w tym czasie czekał, aż msza polska się skończy, wychodził i zamykał.

Potwierdzenia słów Mierzejewskiego, jakoby kościół w Spychowie był współużytkowany, nie znajduję w żadnym innym źródle. A o współużytkowanie wówczas nie było łatwo.

Potem jest tylko gorzej. Katolicy wyłamują zamek w drzwiach i wstawiają swój. Bo ewangelicy jednak nie godzą się, żeby msze były odprawiane w innych dniach niż ich nabożeństwo ↦

dzielne (które zresztą odbywa się coraz rzadziej). – Więc z tym zamkiem to było takie przejęcie bezprawne. Fidura jednak go wyłamał i swój wstawił ponownie – mówi Mierzejewski.

Zabór, kupno, kradzież

Wszyscy widzieli, co się święci. W okolicznych wsiach ludzie mieli już to za sobą. W Spychowie jeszcze nie. Może dlatego, że tutaj grupa ewangelików była dość silna. Nieliczna, ale silna. Broniła swojego kościoła.

Dziś różnych używa się określeń: przejmowanie kościołów, zajmowanie, przekazanie, zabór, kupno, kradzież. Zaraz po wojnie, a także w latach 70. i 80., przejęto ich, niekiedy dziwnymi metodami jak w Spychowie, kilkaset.

W tym czasie w Polsce kipi. Pielgrzymka Jana Pawła II, podniosła atmosfera, strajki, Solidarność. – W sierpniu 1980 r. to, co do tej pory było zabronione, staje się dozwolone. To dlaczegóż my nie mamy korzystać z tej wolności? – tłumaczy ówczesne realia Zbigniew Kudrzycki, z wykształcenia historyk, obecnie wójt gminy Rozogi. – Przecież my chcemy się tylko modlić. A ewangelików już prawie nie ma. Katolicy stanowią zdecydowaną większość. A w demokracji większość ma rację.

Katolicy nie mają gdzie się modlić. Ewangelicy są nieliczni, ale nie godzą się na współużytkowanie kościołów. A nowych obiektów brak, bo władza komunistyczna zgód na budowę nie wydaje. Inicjatywę przejmuje czterech księży: ks. Pętlicki, ks. Koperwas, ks. Dusza i ks. Dziwik. Szukają sposobów na przejęcie kościołów.

Najpierw chcą po bożemu. W 1976 r. ks. Dusza, wikary ze Świętajna odpowiedzialny za Spychowo, wysyła pismo do władz Kościoła ewangelickiego z prośbą o umożliwienie kupna bądź dzierżawy kościoła w Spychowie. Cisza. Prośbę popiera biskup warmiński. Cisza. Sami mieszkańcy piszą do wojewody olsztyńskiego z prośbą o pomoc w załatwieniu sprawy (władza miała ogromny wpływ na porozumienia katolicko-ewangelickie). Cisza. 23 września 1979 r. katolicy bezprawnie zajmują świątynię.

Zarówno Grażyna Suchecka w tekście „Kościoły ewangelickie przejęte na cele kultu katolickiego w dekanacie Rozogi", jak i ks. Jacek Wojtkowski w książce „Świątynie ewangelickie przekazane katolikom na Warmii i Mazurach w latach 1972–1992" podobnie relacjonują całe zajście. „Katolicy wraz z księdzem Władysławem Duszą i księdzem Józefem Dziwikiem z Faryn przyszli do kościoła, gdzie odbywało się ewangelickie nabożeństwo. Wysłuchali go w przedsionku kościoła. Ponieważ katolików była większość, zaczęli się domagać odprawienia Mszy św. Duchowni katoliccy zdecydowali się to uczynić nie w kościele, tylko na schodkach. Do udziału we Mszy św. zaproszono ewangelików, jednakże ewangelicki duchowny i część wiernych opuścili kościół".

Moi rozmówcy wspominają to inaczej.

Najpierw ks. Edward Koperwas, ówczesny proboszcz Świętajna. – Byłem tam. W kościele trwało nabożeństwo ewangelickie, był pastor, była jedna gruba pani, która grała na fisharmonii, i było paru ewangelików, może z dwie, trzy osoby. Oni odprawiali nabożeństwo, myśmy weszli, zresztą bardzo grzecznie. Usiedliśmy w ławkach i się modliliśmy. Nabożeństwo ewangelickie się skończyło, pastor odszedł od ołtarza, szaty złożył do walizki i poszedł, a za nim pani od fisharmonii i reszta ewangelików. Myśmy zostali. I odprawiliśmy mszę świętą. Tak oto zajęliśmy kościół.

– Skoro było tak spokojnie, to dlaczego Grażyna Suchecka pisze: „Kościół w Spychowie stał się przedmiotem szczególnego konfliktu międzywyznaniowego. Meldunki i komentarze niemieckie doniosły, że Spychowo nie jest jedynym ani najnowszym, ale najbardziej rażącym przypadkiem przejęcia kościoła ewangelickiego przez katolików na Mazurach"?

– Bo zrobiliśmy to w trakcie nabożeństwa ewangelików – odpowiada Koperwas. – Na ich oczach. W innych miejscach wchodziliśmy do pustego obiektu. W Spychowie tak jakby usunęliśmy ewangelików z kościoła. Dlatego uważa się to przejęcie za drastyczne. Ale było spokojnie – pastor odjechał, a ewangelicy się rozeszli.

– Czy pastor wiedział, że tego dnia przyjdziecie?

– Dokładnie nie wiem, ale chyba się spodziewał. Przecież to było głośne. To był któryś z kolei kościół.

Ks. Józef Dziwik, ówczesny wikary w Klonie: – Byłem tam. Wojtkowski w swojej książce pisze, że myśmy stali w kościele w Spychowie w przedsionku. To nieprawda. Normalnie uczestniczyliśmy w liturgii. Około stu katolików zasiadło w ostatnich ławkach. Ewangelicy bardzo podejrzliwie na nas patrzyli.

Ks. Władysław Dusza w liście do biskupa Glempa: „Poprosiłem o wydanie kluczy dwie ewangelickie rodziny, które je posiadały. Otrzymałem hardą odmowę i usłyszałem wiele niecenzuralnych słów wypowiedzianych pod moim i katolików adresem".

Halina Mierzejewska, mama Adama, nauczycielka: – Ks. Dusza zachęcał, żeby przyjść tego dnia na mszę św. Pamiętam, była u mnie rodzina ze Śląska. Wybrali się ze mną. Moja kuzynka nawet podburzała mieszkańców. Nie bardzo mi się to podobało, bo ja nie lubię sytuacji, kiedy coś się załatwia tak drapieżnie. To było siłą wyrwane. Choć może nie tyle siłą, co tłumem. Było bardzo dużo ludzi. Ks. Dusza chciał zademonstrować, że jest wielu potrzebujących.

– Kościół w Spychowie został przejęty w atmosferze społecznej nienawiści – Adam Mierzejewski mówi najbardziej dosadnie. – Pamiętam taką scenę pod kościołem: zebrała się grupa katolików, naszych, miejscowych, i rodziny ewangelickie. Były biało-czerwone flagi, pieśni patriotyczne. Była też Ewa, której dwie godziny wcześniej dałem monetę z orzełkiem. Utkwiły mi w pamięci krzyki: „Spierdalać do Niemiec!", „Won, Szwaby!". Stek obraźliwych słów. I wtedy Ewa odpowiedziała: „Zamknijcie mordy, polskie świnie!". Ewa. Taka zawsze cicha, spokojna, niekonfliktowa. Po tych wydarzeniach szybko wyjechali do Niemiec.

Biskup Glemp

Po przejęciu kościoła pozostaje niesmak. Ewangelicy nazywają je nielegalnym i nieetycznym. Wydarzenia w Spychowie spowodowały wycofanie się Kościoła ewangelickiego z udziału w nabożeństwach ekumenicznych w ramach Tygodnia Modlitwy o Jedność organizowanych przez Kościół katolicki: „Decyzja taka została powzięta w następstwie bezprawnie zajętych przez rzymskokatolików świątyń ewangelickich (...). Tego rodzaju przejawy nietolerancji są zaprzeczeniem prawdziwego ducha ekumenicznego", pisały władze Kościoła ewangelickiego.

Z tego powodu biskup warmiński, którym wówczas był Józef Glemp, w liście do ks. Duszy pisał: „Proszę bardzo Księdza Proboszcza, aby zechciał przekonać wier-

PRZEMYSŁAW JAHR / WIKIMEDIA COMMONS

Spychowo, ul. Mazurska 9 – dawniej, na początku XX wieku, kościół ewangelicki. Dziś – rzymskokatolicki kościół pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy

nych katolików w Spychowie o potrzebie wycofania się ze świątyni ewangelickiej aż do formalnego załatwienia sprawy".

Jednakże do opuszczenia świątyni nigdy nie dochodzi. Miejscowi nawet organizują straż ochotniczą, żeby pilnować kościoła nocą. Wkrótce zaczęto codziennie o godz. 17. odprawiać mszę.

Wbrew pozorom biskup Glemp był przychylny akcji przejmowania kościołów na Mazurach. Tak przynajmniej wynika z relacji księży z „bandy czworga" i zachowanych dokumentów. – Chodziło o uspokojenie sytuacji – mówi ks. Koperwas – stąd takie słowa w liście do księdza Duszy. To było jego formalne stanowisko. Bo my przecież nieprawnie przejmowaliśmy te kościoły. Ale biskup Glemp akceptował z całego serca to, co żeśmy robili. I nam błogosławił.

Ks. Koperwas opowiada historię z Nawiad – pobliskiej wsi, w której również zajęto kościół. Inicjatorem był wikariusz z Piecek, proboszcz natomiast sprzeciwiał się akcji i zażądał od biskupa Glempa kary dla wikariusza. Kiedy wikariusz przyjechał do biskupa Glempa po karę, ten mu powiedział: – Klękaj. W imię Ojca i Syna, i Ducha Św. Czyń tak dalej.

W pracy ks. Krzysztofa Bielawnego „Dzieje ludności luterańskiej i rzymskokatolickiej w Gawrzyjałkach na Mazurach w XX stuleciu" czytam: „Funkcjonariusz SB w raporcie odnotował: »z rozpoznania wynika, że zajęcie powyższego obiektu ewangelickiego [w Gawrzyjałkach] nastąpiło z inspiracji ks. Pętlickiego z Klonu, za cichą aprobatą bp. Glempa«".

Za Spychowo biskup Glemp oficjalnie przeprosił. Dzięki rozmowom zarówno z władzami Kościoła ewangelickiego, jak i komunistami kościół udało się wykupić – 23 grudnia 1981 r., ponad dwa lata po zajęciu. Jednak na budynku umieszczono tablicę z informacją, że kościół wykupiono od Kościoła ewangelickiego w 1979 r. I dodano: „Bogu na chwałę. Potomnym ku pamięci".

Banda czworga

Nazywali siebie „bandą czworga". To nawiązanie do czwórki radykalnych działaczy Komunistycznej Partii Chin, którzy po śmierci Mao Zedonga w 1976 r. próbowali przejąć w kraju władzę i zostali uwięzieni, a po kilku latach skazani. Ks. Dziwik: – Biskup Julian Wojtkowski, który ponoć pierwszy użył takiego określenia w stosunku do nas, mówił: „Wy to rozbabraliście i nie wiadomo, jak to się skończy".

Ks. Edward Koperwas w książce „Chłopak z Roztocza" opisuje każdego członka „bandy czworga" jednym słowem: śp. ks. Bolesław [Pętlicki] – Herszt, śp. ks. Władysław [Dusza] – Umysłowy, ks. Józef [Dziwik] – Twórca, ks. Edward [Koperwas] – Robotnik.

Dopytuję o znaczenie tych określeń. Koperwas: – Pętlicki za wszystko odpowiadał. Byliśmy mu posłuszni. On kazał i to się robiło. Uznaliśmy, że w tych komunistycznych czasach nie może być rozłamu. Jedność zwycięży.

Wytłumaczenie dotyczące ks. Władysława (Umysłowego) nie jest już tak jasne. ↦

– To był kaznodzieja. Dużo jeździł po rekolekcjach. Jego postawa w czasie kazania była zachwycająca. On jak mówił, to aż się unosił.

W książce ks. Koperwas doda jeszcze, że był „dobrym proboszczem i dbał o wszystko, a co najważniejsze, był bardzo lubiany jako kapłan i jako człowiek. Spychowianie wszystko mu wybaczali", nawet alkoholizm. O ks. Duszy słyszę też inne słowa: „On miał pomysłów mnóstwo. Fantazję niesamowitą. Mówił, że najlepiej wejść do kościoła ewangelickiego, mszę odprawić, nikomu nic nie płacić, że się uładzi, czas zagoi rany". Takie zbójnickie maniery.

– Ks. Józef to był kto? – dopytuje Koperwas. – On był naukowiec? – Napisał ksiądz, że Twórca – prostuję. – Aha, Twórca. On wszystko wiedział. Jeszcze dobrze jakaś książka nie wyszła, a on już ją miał przeczytaną.

Ks. Józef Dziwik „Twórcę" tłumaczy inaczej. – To dlatego, że wszystkie pisma służbowe z naszej strony – czy to do kurii, do diecezji mazurskiej, czy władz ewangelickich – pisałem ja.

Inaczej też panowie rozumieją słowo „Robotnik". Ks. Koperwas: – Ja byłem takim robotnikiem, bo posiadałem w parafii gospodarstwo. Miałem bydło, trzodę, kaczki, pszczoły. Krowę sam doiłem. Pochodzę ze wsi, to dla mnie szklanka mleka prosto od krowy to była wartość jak dzisiaj kiełbasa z Myszyńca. [Dla niewtajemniczonych: Myszyniec to miasteczko tuż za granicą Mazur, już na Kurpiach, słynące z wędlin].

Ks. Dziwik: – Funkcja ks. Koperwasa była bardzo ważna, bo przecież myśmy nie mieli żadnego zaplecza materialnego, a parafia Świętajno, w której ks. Koperwas był proboszczem, była najzamożniejsza. Kiedy więc trzeba było pieniędzy (na przykład do umowy przedwstępnej), braliśmy od Edka. Później mu je zwracaliśmy.

Wróćmy jeszcze do ks. Pętlickiego, proboszcza w Klonie, herszta „bandy". Zbigniew Kudrzycki opowiada: – Ks. Pętlicki w czasie II wojny światowej jako młody chłopak trafił do kamieniołomów. Tam ciężko zachorował. I wówczas sobie postanowił, że jeżeli przeżyje wojnę, będzie księdzem. I dotrzymał słowa. A te doświadczenia wojenne spowodowały, że na życie patrzył racjonalnie, że tak powiem: rozsądnie. Rozumiał ludzi. Był otwarty i chętnie pomagał. Znał też niemiecki, co mu bardzo po wojnie ułatwiało tutaj życie. Był takim księdzem, który cieszył się dużym autorytetem i wśród księży, i wśród wiernych.

Katolicy nie mają gdzie się modlić. Ewangelicy są nieliczni, ale nie godzą się na współużytkowanie kościołów. A nowych obiektów brak, bo władza komunistyczna zgód na budowę nie wydaje.

Grażyna Saj-Klocek w artykule opublikowanym w 2007 r. w regionalnym „Kurku Mazurskim" pisze: „Parafianie zgodnie twierdzą, że był dobrym, sprawiedliwym, skromnym i bardzo mądrym duszpasterzem".

W 2018 r. ukazuje się książka Marty Abramowicz „Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica". Opisana jest w niej historia Janusza i Franka, synów ks. Pętlickiego. Urodzili się, zanim Pętlicki został przeniesiony do Klonu. Marta Abramowicz pisze tak: „Rok 1961. Samborowo. Mazury. Regina ma osiemnaście lat. Jest najmłodsza z dwanaściorga rodzeństwa. Wychowana w bardzo katolickiej rodzinie, widzi dla siebie tylko jedną drogę – zakon. Mieszkają na kupie, więc Regina przenosi się na strych. Dom stoi w centrum wsi, niedaleko most, naprzeciwko kościół. W kościele – ksiądz Bolesław Pętlicki. Starszy o dwadzieścia lat, nosi się po męsku, na sutannę narzuca skórzany wojskowy płaszcz. (...) Kiedy pierwszy raz ksiądz Bolek przystawia drabinę i wdrapuje się na strych, Regina jest przerażona. Ale po pierwszej nocy nie ma już dla niej odwrotu. (...) Zanim położy się spać, zostawia uchylone okno".

Jeszcze przed narodzinami drugiego syna, w lipcu 1963 r. ksiądz Pętlicki zostaje przeniesiony w okolice Rozóg. Tam dorobi się jeszcze córki, a jako sześćdziesięciolatek będzie miał romans ze swoją dwudziestoletnią gosposią.

Zbigniew Kudrzycki podczas rozmowy nie wspomina o całej historii ani słowem. Mówi natomiast: – Pętlicki to był gieroj. Stąd też jego autorytet.

Takty i nietakty

Z ks. Edwardem Koperwasem spotykam się w Świętajnie, 10 km od Spychowa. Traktuje mnie z dystansem. – Pani chce udowodnić, że myśmy ewangelików skrzywdzili. Ewangelicy nie mogą mieć do nas żadnej pretensji, bo my im za te kościoły zapłaciliśmy. I ja nie mogę powiedzieć, że to jest kościół ewangelicki. To jest nasz kościół! Gdyby nie my, nic by nie mieli – ani kościołów, ani pieniędzy. Była pani w Klonie? Widziała pani ten zrujnowany kościół? Tak wyglądałyby wszystkie kościoły, gdybyśmy ich nie zajęli. (...) Dlatego też uważam, że nie ma co tego roztrząsać. Zawsze przy jakimkolwiek załatwieniu opornym są takty i nietakty. Ale jeśli ktoś ma cel, dobry cel, i to dobro się spełnia, to dlaczego mamy sobie coś wyrzucać? Należę do „bandy czworga" – bohaterów. I tego nikt mi nie zabierze.

Ks. Koperwas umiera w maju 2019 r.

Ks. Dziwik mieszka w Rozogach. Jest pokorny, otwarty, zawsze częstuje jedzeniem w myśl zasady „Gość w dom, Bóg w dom" i ma świetną pamięć.

– Ks. Koperwas „bandę czworga" nazywa bohaterami. Czy ksiądz może tak o sobie powiedzieć? – pytam.

– Nie.

– A jak by ksiądz siebie określił?

– Normalny człowiek, normalny ksiądz. Bohaterstwo? Nieee... Bez przesady. Jeżeli obowiązuje zasada ewangeliczna, że po owocach ich poznacie, to owoce chyba są dobre. Nigdy nie miałem poczucia winy, przestępstwa, nie czułem, że robię komuś krzywdę. Pomijając stronę *stricte* religijną, uratowaliśmy budynki i nie doprowadziliśmy do zmiany ich struktury, profanacji, odsakralnienia.

– Czy można było inaczej?

– Jak rozmawialiśmy z pastorami, oni mówili: „Ale to takie trochę...". A my na to: „Nawet więcej niż trochę, ale jak to inaczej załatwić?". Nie widzieliśmy innego rozwiązania. Pastorzy nie powiedzieli nic, ale powiedzieli przy okazji wszystko.

– A może warto było poczekać?

– Nawet zakładając, że można było czekać na lepsze czasy, to ja pytam: jakie lepsze czasy? Czy dzisiaj coś się zmieniło? Specjalnie też nie. Każdy broni swojej racji stanu. Choć sprawy formalne dzisiaj pewnie przechodziłyby łatwiej.

© BEATA SZADY

SZYMON

Hołownia:
Ostatnie chwile

Może się mylę, ale mam wrażenie, że do coraz większej części z nas zaczyna trafiać, że coś psuje się w naszym naturalnym otoczeniu. Środowisko przestało być zastrzeżoną domeną ekologów, coraz częściej temat wody, powietrza, ziemi, temperatury, roślin i zwierząt pojawia się w codziennych rozmowach. I to nie tylko młodych ludzi, którzy jeszcze nie ugrzęźli w starczym konformizmie, wciąż mają odwagę mówić o ważnych sprawach wprost i którzy – choćby przez wakacyjne strajki klimatyczne – walczą przecież o swój świat, który za parę dekad im na dobre zostawimy. Coraz częściej na moich objazdowych rozmowach z Polakami słyszę głosy mojego pokolenia (a nawet mojego pokolenia „plus"): chyba coś z tym jednak trzeba zrobić, bo gołym okiem widać, że pogoda nam wariuje, że zaczyna brakować wody, żywność drożeje itd.

To jeszcze nie przekłada się na zmianę systemową. Ale skoro gdy zakładam na Facebooku grupę „Mniej", zapraszając do niej ludzi gotowych na mikrokorekty swojego komfortu, tak by miejsca na Ziemi starczyło dla kogoś jeszcze oprócz mnie, w ciągu paru dni dołącza do niej kilkanaście tysięcy osób – trudno przejść obok tego obojętnie. Żadna licząca się siła polityczna nie dostrzegła jeszcze tego oddolnego ruchu, przybierającego na sile strumyka, który – jeszcze parę takich lat i zim, parę blackoutów, susz i katastrofalnych powodzi – nabierze w końcu takiej mocy, że bez trudu będzie zrywał mosty, burzył tamy i poprzestawia nam tu wszystko dokumentnie (PiS, nawet gdyby nagle przed wyborami ukradł retorykę Greenpeace'u, przez wzgląd na dokonania i słowa Szyszków, Kowalczyków, Morawieckich, Dudów, będzie zawsze w tej materii totalnie niewiarygodny, PO i reszta KE nie ma na tę sprawę żadnego pomysłu, ich nie interesuje globalne ocieplenie, tylko wyłącznie wynik wyborczy PiS).

Jeżeli gdzieś tam, na dołach niewidzialnych z wyżyn Wiejskiej, dziesiątki tysięcy Polaków, przez nikogo nieproszone i niczym niewynagradzane, podejmują wyrzeczenia: pieczołowicie zbierają deszczówkę, rezygnują z wody butelkowanej na rzecz kranówki, ograniczają prasowanie, szyją wielorazowe worki na zakupy, redukują spożycie mięsa, sami przyrządzają płyn do samochodowych spryskiwaczy, zakładają na dachach słoneczne minielektrownie – to znak, że w ludziach zaczęło bić źródło najcenniejszej, samorodnej energii, niewyindukowanej przez inżynierie społeczne, ale wyrastającej z autentycznej potrzeby (i nie takiej błahej, skoro wystarcza jej do zmiany nawyku, postawy).

Koledzy publicyści przekonujący dziś tu i tam, że to, iż zrezygnuję dziś z plastikowej jednorazówki, nie ma żadnego znaczenia, znaczenie ma bowiem to, że rząd systemowo pozwala sprowadzać do Polski tony plastikowych odpadów, są w błędzie. Działania jednostek i zmiana systemowa to nie są proste równoległe. Zmiana systemowa zależy od działań jednostek, bo ci, co robią zmianę systemową, wybierani są na swoje funkcje na skutek działań jednostek, nie w żaden inny sposób.

W momencie, w którym Polacy uświadomią sobie, że fajnie jest dostawać 500 plus, ale jeszcze fajniej byłoby zapobiec już dziś temu, że za 30 lat owo 500 będzie trzeba wydać za szklankę zwykłej wody, ich świadomość przełoży się na mechanizmy polityki.

Tu jeszcze jeden wątek. Bo do głupoty i koniunkturalizmu polityków zdążyłem się już przyzwyczaić. Do ślepoty, nieogarnięcia, braku elementarnej wrażliwości i społecznego słuchu naszych przywódców duchowych – wciąż przyzwyczaić mi się trudno. Tematy same pchają się na afisz: przecież w DNA nauczania Kościoła zawsze było wezwanie do ascezy, wstrzemięźliwości, do tego, by rozważnie używać dóbr, by się nimi dzielić, by pokazywać, że więcej to znaczy mniej. Coś, co jeszcze 20 lat temu mogło być niezrozumiałe dla szybko podnoszącego standard życia Polaka, dziś jest wprost uzasadniane przez sytuację, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy.

Dziś, jeśli każdy z nas nie zdecyduje się na „wyobraźnię miłosierdzia", na solidarność społeczną, na swoje „mniej", będą ginąć ludzie. Z każdej ambony powinno się dziś trąbić o tym parę razy w tygodniu: jeśli kochasz życie, sfalsyfikuj praktyką życia tezy tych, co mówią, że ludzi na świecie jest już o wiele za dużo, że 300 tysięcy dzieci, które dziś na nim zawita, to obciążenie, nieroztropność, nadbagaż. Jeśli Bóg jest Ojcem każdego z nich – jak może być ich za dużo? Skoro Ojciec powołuje je na świat, to znaczy, że w domu wystarczy wszystkiego, by je przyjąć. Nie wystarcza? A czyja to, w świecie, który już dziś może (według danych ONZ) wyżywić 15 mld ludzi, wina?

Nasi biskupi wydają się być ślepi na to, czym naprawdę żyją ludzie, dokładnie tak samo jak nasi politycy. Dlatego razem z nimi to ich pokolenie odejdzie w niechlubną niepamięć. Pokolenie naszych dzieci, dziś w zdecydowanej większości nieuczestniczących w wyborach (i w znacznej części niechodzące do kościołów), wywróci w końcu stolik, a listę najważniejszych tematów samo napisze od nowa. Nasze wnuki, czytając w podręcznikach do historii, że ich dziadkowie za najważniejsze kwestie swoich czasów uważali *gender* i żołnierzy wyklętych, będą się pukać w głowę i zastanawiać, kto nas tak otumanił. Odpowiedź niestety jest prosta: my sami.

Przed nami teraz ostatnie miesiące (najwyżej parę lat) na to, by wyrwać się z napisanych nam dzielących nas scenariuszy, i spotkać się razem tam, gdzie wszyscy mamy wspólny interes: chcemy życia dla tych, których po sobie zostawimy. Coś w tej sprawie, jak pisałem wyżej, już zaczyna się dziać, ale jeśli mamy się potomnym naprawdę do czegoś przydać – nasz strumień musi mieć moc wywracania kanap (i stolików). Na razie jest, płynie, powoli rośnie. Co jeszcze mogę zrobić, żeby mu się udało? ©

PARASOLKI KONTRA PEKIN

Mieszkańcy Hongkongu mają dość. Ich bunt kładzie się coraz większym cieniem na nadchodzącą 70. rocznicę powstania Chińskiej Republiki Ludowej.

JAN GÓRSKI

Po jednej stronie setki tysięcy, a w kulminacyjnym momencie miliony ludzi. Po drugiej: miejscowi policjanci, z pałkami, gazem łzawiącym i armatkami wodnymi. A za ich plecami: światowe mocarstwo.

Od kilku tygodni na pierwsze strony światowych mediów trafiają zdjęcia z Hongkongu. W minionym tygodniu były to fotografie spustoszonej siedziby Legco, Rady Legislacyjnej, głównego organu władzy ustawodawczej: w poniedziałek, 1 lipca, dokładnie 22 lata po tym, jak Wielka Brytania zwróciła Hongkong Chinom Ludowym, protestujący nie wytrzymali i wdarli się do Legco (opuścili budynek następnego dnia).

W jednej z demonstracji wzięły udział dwa miliony mieszkańców tego siedmiomilionowego miasta, posiadającego unikatowy – wciąż jeszcze – status prawny. Co wywołało tak masowy bunt? I dokąd to zaprowadzi?

Hongkong jak symbol

W tamtym czasie, ponad 20 lat temu, Hongkong miał dla Chińskiej Republiki Ludowej znaczenie tak symboliczne, jak i gospodarcze. Od tego czasu z każdym kolejnym rokiem traci tę uprzywilejowaną pozycję.

Kiedy 1 lipca 1997 r. Pekin odzyskiwał kontrolę nad Hongkongiem, komunistyczne władze mogły ogłaszać koniec „stulecia upokorzenia". Hongkong, który trafił na listę brytyjskich posiadłości kolonialnych w 1842 r., po zakończeniu pierwszej wojny opiumowej, symbolicznie otwierał okres dominacji mocarstw europejskich nad Chinami (w 1898 r. podpisano umowę 99-letniej dzierżawy miasta). Jego zwrot miał potwierdzać kres pewnej epoki – i powrót pewnych siebie Chin na arenę międzynarodową.

Kolejnym „zadaniem" Hongkongu było przekonanie Tajwanu do „powrotu do macierzy". Tajwan, oficjalnie wciąż określający się mianem Republiki Chińskiej, jest traktowany przez władze w Pekinie jak zbuntowana prowincja. Liderzy Komunistycznej Partii Chin są przekonani, że zarówno długoterminowa legitymacja ich władzy w oczach społeczeństwa, jak też powodzenie przyświecającej im misji odrodzenia potęgi Chin w świecie wymagają podporządkowania sobie również Tajwanu – i w ten sposób zakończenia wojny domowej, formalnie trwającej od 1949 r. (na tej wyspie schronili się ówcześni przegrani). Funkcjonowanie ultrakapitalistycznego Hongkongu w ramach komunistycznych na-

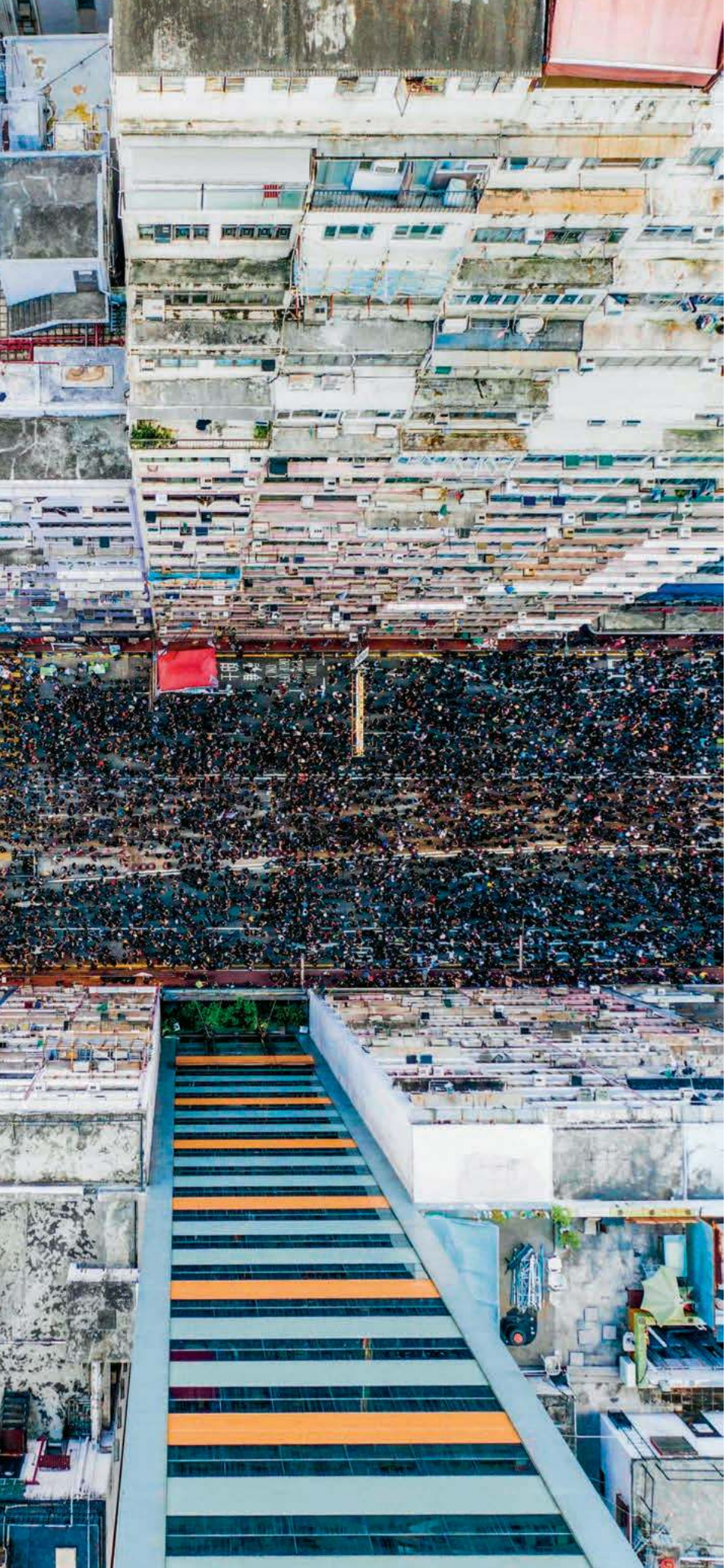

STR / AFP / EAST NEWS

Demonstrują mieszkańcy Hongkongu, 16 czerwca 2019 r.

dal Chin miało przekonać tak elity, jak i społeczeństwo tajwańskie, że zjednoczenie z ChRL jest i nieuchronne, i korzystne.

Z myślą o takim celu Pekin zaproponował dla Hongkongu formułę „jeden kraj, dwa systemy". Zgodnie z traktatem – podpisanym jeszcze przez rząd Margaret Thatcher w 1984 r. – Chiny, przejmując od Wielkiej Brytanii kontrolę nad miastem, zobowiązały się do szanowania jego autonomii i instytucji przynajmniej przez 50 lat.

Hongkong uzyskał status Specjalnego Regionu Administracyjnego, z odrębnymi systemami: władzy, prawnym i sądownictwa. Trafił do Światowej Organizacji Handlu (WTO) jako odrębny podmiot. Poszczególne państwa mogły oferować Hongkongowi specjalne traktowanie w relacjach ekonomicznych i oferować przywileje niedostępne dla ChRL.

Pozwólcie nam decydować o sobie

Jednak od czasu wciągnięcia flagi ChRL na maszt 22 lata temu wiele zmieniło się zarówno w Hongkongu, jak w Chinach.

Osią niezgody między Pekinem i społeczeństwem Hongkongu od samego początku stał się charakter wyboru władz lokalnych. Przed przekazaniem kontroli władze brytyjskie wprowadziły tu demokratyzujące rozwiązania, z których najważniejsze przewidywało w pełni demokratyczne wybory do władz lokalnych. Pekin uznał to za złamanie wcześniejszych ustaleń i odmówił zobowiązania się do uznania całkowicie demokratycznych wyborów.

Przez pierwszych kilkanaście lat nie stanowiło to większego problemu. Mieszkańcy Hongkongu byli pragmatyczni i skupiali się na korzystaniu z możliwości wzbogacenia się, jakie przyniosło połączenie z Chinami. Gdy zaś podstawowe wolności okazały się zagrożone, skutecznie protestowali. W 2003 r. pół miliona ludzi wyszło na ulice, by przeciwstawić się planowanym rozwiązaniom legislacyjnym, które pozbawiałyby ich gwarancji podstawowych wolności obywatelskich. ↦

Jednak nawet wówczas celem było raczej utrzymanie *status quo* niż jego podważenie. Trzeba było dopiero zmiany pokoleniowej, by społeczeństwo zaczęło wysuwać dalej idące żądania.

Nowa fala protestów, kierowanych już przez młodych aktywistów, nastąpiła w 2014 r. Była odpowiedzią (choć wciąż ograniczoną, gdy idzie o postulaty) na centralizację chińskiej polityki, która nastąpiła w ChRL od momentu objęcia steru rządów przez Xi Jinpinga dwa lata wcześniej. Wówczas to doszło do tzw. rewolucji parasolek: różnokolorowe parasolki służyły demonstrantom do obrony przed gazem łzawiącym, hojnie rozdzielanym przez policję (są one zresztą w powszechnym użyciu także teraz). Protestujący domagali się, by Pekin zgodził się na demokratyzację procesu politycznego.

Komunistyczna Partia Chin, choć wydawała się gotowa szanować odrębność systemu gospodarczego i prawnego Hongkongu, nie była gotowa na eksperyment niekontrolowanych wyborów. Zarówno w odniesieniu do hongkońskiego parlamentu, jak też stanowiska szefa administracji miasta, Pekin chciał mieć gwarancję, że jego kandydat bądź kandydatka zawsze zwyciężą. W efekcie skomplikowany system głosowania do lokalnego parlamentu zapewnia, że w zgromadzeniu ustawodawczym osoby pozytywnie nastawione do ChRL będą zawsze w większości. Z kolei szef administracji jest wybierany przez specjalne zgromadzenie, w którym prochińscy politycy też mają zapewnioną większość.

Wtedy, w 2014 r., protestujący bezskutecznie domagali się wprowadzenia w Hongkongu powszechnych wyborów. Niedawno, po pięciu latach, kilkoro z nich zostało skazanych na kary od kilku do kilkunastu miesięcy więzienia – jeszcze jeden przykład pogarszającego się klimatu.

Zagrożony stan posiadania

Stawka tegorocznych protestów jest jednak jeszcze wyższa niż pięć lat temu.

Pekin coraz częściej ingeruje w życie polityczne i gospodarcze Hongkongu, wyraźnie dążąc do uzyskania nad miastem pełnej kontroli. Najbardziej brutalnym tego przejawem stały się porwania wydawców, którzy – funkcjonując poza systemem cenzury ChRL – mogli oferować alternatywną wobec promowanej przez partię komunistyczną opowieść o dzisiejszych Chinach.

Iskrą, która przyczyniła się do wybuchu protestów, stał się projekt ustawy umożliwiającej ekstradycję obywateli Hongkongu do ChRL i na Tajwan.

Z drugiej strony widać było radykalizację nastrojów po stronie opozycyjnej. Młodzi działacze coraz częściej mówią, że nie satysfakcjonuje ich już poszukiwanie kompromisu, i że należy zacząć rozmowę o niepodległości Hongkongu – co z kolei stanowi dla Pekinu „czerwoną linię".

Iskrą, która przyczyniła się do wybuchu obecnych protestów, stał się projekt ustawy umożliwiającej ekstradycję obywateli Hongkongu do ChRL i na Tajwan. Formalnym pretekstem był przypadek osoby, która popełniła morderstwo na Tajwanie, ale aktualnie odbywa karę za przestępstwa finansowe w więzieniu w Hongkongu, po której zakończeniu wyjdzie na wolność.

Władze Hongkongu – na czele z Carrie Lam, szefową administracji od 2017 r. – przyjęły projekt ustawy, która miała umożliwić ekstradycję do Chin kontynentalnych i na Tajwan. Choć nowe prawo wyłączało przestępstwa o charakterze politycznym, dla mieszkańców nie miało to znaczenia. Praktyka władz ChRL przez ostatnie lata pokazała rosnące podporządkowanie sądownictwa, odrzucenie zasady niezawisłości sądów (jako zachodniego wymysłu) i gotowość do zwalczania wrogów politycznych przez stawianie im zarzutów kryminalnych.

Jednak masowy charakter protestów zaskoczył nawet miejscowych opozycjonistów. Na ulice kilkakrotnie już wychodziły milionowe demonstracje. Ani drobne ustępstwa władz, ani brutalność policji nie doprowadziły do wygaszenia protestów. Nawet wycofanie się z prac nad ustawą (na okres roku) i „szczere przeprosiny" ze strony Carrie Lam za poczynania policji nie uspokoiły nastrojów.

Wręcz przeciwnie: 1 lipca podczas półmilionowej demonstracji (w ogromnej większości pokojowej) doszło także do szturmu na siedzibę Rady Legislacyjnej, którą zdewastowano. Ten ostatni akt, choć może zniechęcić część sympatyków, był próbą wysłania komunikatu: nie mamy już żadnych innych możliwości protestu, nie jesteśmy słuchani.

„Antychińskie siły"

Władze w Pekinie, które już wcześniej potępiały protesty, zyskały teraz nowe argumenty – i wezwały do surowego ukarania winnych.

Polityka partii komunistycznej wobec Hongkongu wpisuje się w ogólną linię charakterystyczną dla obecnej dekady i obecnego przywództwa: centralizacji procesu politycznego i niedopuszczania do jakiegokolwiek sprzeciwu. Każdy protest – Hongkong potwierdza tę regułę – jest interpretowany jako „współpraca z antychińskimi siłami" za granicą lub spowodowany inspiracją z zagranicy (w domyśle: z Zachodu).

Rząd w Pekinie protestuje przeciw wszelkim uwagom ze strony społeczności międzynarodowej, uznając Hongkong za swoją wewnętrzną sprawę. Jednak nawet przyjmując życzliwą dla Pekinu interpretację zasady nieingerencji, wątpliwości pozostają w odniesieniu do roli Wielkiej Brytanii. Przekazanie kontroli nad Hongkongiem dokonało się drogą dwustronnego traktatu, a nie w wyniku jednostronnej polityki któregokolwiek z aktorów. Londyn ma moralne prawo, a nawet obowiązek przypominania Pekinowi o dobrowolnie podjętych zobowiązaniach.

Nie należy jednak przy tym zapominać, że ani w 1984 r., ani w 1997 r. nikt nie pytał mieszkańców Hongkongu, czy chcą wrócić do Chin.

Kwestia kontekstu

Co sytuacja wokół Hongkongu mówi nam o dzisiejszych Chinach i ich miejscu w świecie?

Po pierwsze, przez ostatnie 22 lata pozycja gospodarcza Hongkongu uległa zmianie. W 1997 r. jego produkt krajowy brutto stanowił aż 18 proc. PKB Chin Ludowych. Dziś udział ten spadł do poziomu 2 proc. Takie chińskie miasta portowe jak Szanghaj, Shenzhen czy Guangzhou przeganiają dawniej niedoścignionego rywala. Hongkong, którego ponad połowa handlu przypada na ChRL, stał się bardziej zależny od gospodarki swego suwerena.

Chińskie elity rządzące nie czują dziś również potrzeby hamowania się w swych działaniach, jeśli uznają, że ra-

cja jest po ich stronie. Coraz częściej dochodzą do wniosku, że jeśli odpowiednio konsekwentnie będą promować własną interpretację prawa międzynarodowego, to innym krajom pozostanie uznać ją za właściwą. Pogarszająca się atmosfera w relacjach z USA dodatkowo sprzyja poczuciu „oblężonej twierdzy" i pogłębia przekonanie, że Zachód jest gotowy sięgnąć po każdy sposób, byle tylko zahamować wzrost Chin.

Można jedynie spekulować, w jakim stopniu zaostrzanie polityki wobec Hongkongu jest reakcją na rozwój sytuacji na Tajwanie i narastające tam antychińskie nastroje. Za rządów poprzedników Xi Jinpinga partia komunistyczna liczyła, że przykład Hongkongu zadziała dobrze na Tajwan. Ówcześni liderzy KPCh gotowi byli iść na dalekie ustępstwa, byle przekonać władze i społeczeństwo Tajwanu do zjednoczenia. Zakończenie podziału, który naznacza chińską historię od 70 lat, byłoby ukoronowaniem kariery dla każdego lidera w Pekinie i zapewniłoby mu trwałe miejsce w historii.

Dziś wydaje się jednak, że chińskie elity tracą przekonanie do koncepcji zjednoczenia „jeden kraj, dwa systemy". W stosunku do Tajwanu dominują dwie opcje. Pierwsza: przekonać tamtejsze społeczeństwo poprzez „miękką potęgę" ChRL, odwołania do historii, tradycji i interesów ekonomicznych. Druga: zastraszenie i groźba (wiarygodna) użycia siły. Przykład Hongkongu przestaje być wtedy potrzebny.

Sytuacja wokół wtedy Hongkongu pokazuje też pogłębiającą się słabość Zachodu na arenie międzynarodowej. Państwa zachodnie okazują się bezsilne wobec łamania porozumień zawieranych w okresie zachodniej dominacji. Tak jak nie zdołały obronić Ukrainy przed okupacją Krymu i części Donbasu, tak nie zdołają sprzeciwić się chińskiej polityce, gdyby miało dojść do dalszego zaostrzenia polityki wobec Hongkongu.

Jedynym czynnikiem, który może w tej sytuacji pomóc mieszkańcom miasta, są same Chiny – i powrót do debaty wewnątrz rządzącej elity, czy siła to najlepszy sposób na osiągnięcie sukcesu na światowej arenie.

© JAN GÓRSKI

Kandydaci, których nie znajdziesz w Google'u

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA

Drugi raz w tym roku Ukraińcy idą do urn. Wielu, rozczarowanych ludźmi Majdanu, znów zagłosuje na kandydatów spoza „systemu". Ale na swoją niszę liczy też stara gwardia – w tym politycy prorosyjscy.

Pod kijowskim Majdanem Niepodległości znajduje się centrum handlowe. W porze obiadowej przychodzą do niego pracownicy okolicznych biur. Na najniższym poziomie, wokół ruchomych schodów, sąsiadują ze sobą różne lokale gastronomiczne szybkiej obsługi.

Karina Manżaj właśnie tutaj wybrała się dziś na obiad. W pobliżu znajduje się biuro fundacji, zajmującej się reformowaniem ukraińskiego sądownictwa. 29-letnia kobieta – będąca niemal rówolatką niepodległej Ukrainy – pracuje w tej fundacji od kilku miesięcy, pełni funkcję kierowniczki projektów.

Ponad pięć lat temu i kilkadziesiąt metrów wyżej Karina Manżaj brała udział w protestach – tych, które zaczęły się w listopadzie 2013 r., gdy ówczesny prezydent Wiktor Janukowycz odmówił podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, a zakończyły w lutym 2014 r. krwawymi walkami i obaleniem Janukowycza. Odpowiedź Rosji na ukraińskie marzenie o emancypacji przyszła szybko: pod postacią zaboru Krymu i wojny w Donbasie, która trwa do dziś – jako wojna pozycyjna.

Karina była na Majdanie od pierwszego dnia – od momentu, gdy Mustafa Najem (ukraiński dziennikarz afgańskiego pochodzenia) wezwał na Facebooku, by zebrać się na placu w proteście przeciw decyzji prezydenta. Potem przychodziła na Majdan przez cały czas trwania protestów, bite trzy miesiące.

Dzisiaj Karina nie zamierza głosować ani na tych polityków, których wydarzenia sprzed pięciu lat wyniosły do władzy, ani tych, którzy polityką zajmują się „od zawsze". Jak wielu Ukraińców, w przyspieszonych wyborach parlamentarnych, które odbędą się 21 lipca, ma zamiar poprzeć nowe siły polityczne. Z sondaży wynika, że to właśnie one zdominują ukraińską Radę Najwyższą.

Inne od wszystkich poprzednich

Planowo wybory parlamentarne miały się odbyć w październiku tego roku, po zakończeniu pięcioletniej kadencji. Ale pod koniec maja, w swoim przemówieniu inauguracyjnym, nowy prezydent Wołodymyr Zełenski ogłosił, że rozwiązuje Radę Najwyższą.

Wybory odbywają się według ordynacji mieszanej: 225 deputowanych wybieranych jest z list ogólnokrajowych, 199 zaś z okręgów jednomandatowych. Przed rokiem 2014 z okręgów jednomandatowych wybierano także 225 posłów, ale dziś nie sposób przeprowadzić głosowania na anektowanym Krymie i w tych częściach obwodów donieckiego i ługańskiego, które są pod kontrolą Rosji i wspieranych przez nią separatystów.

Sondaże wskazują, że do parlamentu może wejść pięć partii, a szósta jest bliska przekroczenia pięcioprocentowego progu wyborczego. Trzy z nich są nowe i postawiły na ludzi, którzy do tej pory nie uczestniczyli w polityce. To prezydencka partia Sługa Narodu, Hołos piosenkarza Swiatosława Wakarczuka, a także Siła i Cześć byłego szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy Ihora Smeszki.

– Wybory w roku 2019 są inne nie tylko od tych z 2014, ale też od wszystkich poprzednich. Wyróżnia je społeczne zapotrzebowanie na antysystemowość i apolityczność – mówi ↦

analityczka Marija Zołkina z Fundacji Demokratyczne Inicjatywy imienia Ilka Kuczeriwa. – Wyborcy oczekują nowych twarzy w jak najbardziej dosłownym sensie – precyzuje.

Nieustające oczekiwanie reform

Zołkina wyjaśnia, że w przeszłości ukraińscy wyborcy chętnie zwracali uwagę na charyzmatycznego lidera i na programy, w tym zwłaszcza na to, czy jakaś partia podejmuje bliskie im tematy społeczne. Ważną rolę odgrywało doświadczenie. Tymczasem w wyborach w 2019 r. – najpierw wiosennych, prezydenckich, a teraz nadchodzących, parlamentarnych – staż w polityce traktowany jest jako obciążenie.

Analityczka tłumaczy, że dziś staż polityczny kojarzy się obywatelom z uwikłaniem w korupcyjne układy. Nakłada się na to niezadowolenie z powolnego tempa zmian.

Z badań Fundacji Demokratyczne Inicjatywy wynika, że respondenci najbardziej oczekują reformy antykorupcyjnej (63 proc.), a także reformy systemu opieki zdrowotnej (57 proc.), reformy systemu emerytur i opieki społecznej (52 proc.) oraz reformy organów ścigania (37 proc.) i lustracji urzędników (33 proc.).

Piosenkarz na fali wznoszącej

Karina Manżaj mówi, że chce głosować na partię Hołos (czyli Głos). Jej lider jest wokalistą i liderem Okeanu Elzy – jednego z najpopularniejszych ukraińskich zespołów rockowych, grającego od 1994 r. Jego partia powstała niedawno – na cztery dni przed wystąpieniem Zełenskiego, podczas którego zapowiedział przedterminowe wybory.

44-letni Wakarczuk nie pierwszy raz angażuje się politycznie – w latach 2007-08 był już członkiem parlamentu. Ale wtedy szybko, już po roku, zrezygnował, gdyż – jak mówił w wywiadzie dla telewizyjnego Kanału 5 – nie chciał „grać według reguł starej polityki". Mimo rezygnacji z mandatu, piosenkarz komentował politykę. Długo rozważał swój udział w wyborach prezydenckich wiosną tego roku, w badaniach opinii publicznej znajdował się wśród pięciu najpopularniejszych kandydatów. Jednak na trzy miesiące przed pierwszą turą zrezygnował.

Kandydaci Hołosu do Rady Najwyższej to w ogromnej większości polityczni nowicjusze: przedstawiciele biznesu lub organizacji pozarządowych. Jej poparcie szacowane jest na ponad 8 proc., ale im bliżej do wyborów, tym Hołos notuje lepsze wyniki.

Politolog Wołodymyr Fesenko uważa, że jest to spowodowane popularnością przywódcy partii, ale też pozytywnym odbiorem zaproponowanych kandydatów. – Z tego powodu znaczna część ludzi, którzy podczas wyborów prezydenckich głosowali na Petra Poroszenkę, teraz popiera Hołos – wyjaśnia Fesenko.

To do takich wyborców zalicza się właśnie Karina Manżaj. Jeszcze w kwietniu tego roku, w drugiej turze głosowała na walczącego o reelekcję prezydenta. – Nie mam iluzji co do Poroszenki. Miał pięć lat na przeprowadzenie zmian, ale wielu rzeczy nie zrobił – mówi Manżaj.

Teraz Karina wybiera Hołos. Liczy, że z listy tej partii do parlamentu dostanie się kilku deputowanych prezentujących wartości demokratyczne, liberalne i proeuropejskie.

Popularny Zełenski, popularna partia

O ile Hołos może liczyć na przekroczenie progu wyborczego, o tyle prezydenckie ugrupowanie Sługa Narodu zostawia wszystkich konkurentów daleko w tyle.

Sondaże wskazują, że poparcie dla partii Wołodymyra Zełenskiego utrzymuje się na rekordowym poziomie powyżej 40 proc. „Sługa Narodu" to także tytuł serialu telewizyjnego, w którym w ciągu ostatnich kilku lat Zełenski-aktor wcielał się w rolę „prezydenta z przypadku": przywódcy idealnego, który skutecznie walczy ze skorumpowanym „systemem".

Ten niezwykle popularny na Ukrainie serial wypromował postać Zełenskiego jako przyszłego polityka (wcześniej był on już znany, ale jako kabareciarz i producent telewizyjny); powszechnie uważa się, że było to jedno ze źródeł jego sukcesu.

Niezwykła popularność Zełenskiego, któremu wedle sondaży ufa dziś trzy czwarte obywateli, przekłada się na popularność kandydatów z jego partii. Dotąd w przypadku okręgów jednomandatowych szczególną rolę odgrywała rozpoznawalność polityka. Dziś ta reguła najwyraźniej traci na znaczeniu – niektórzy doświadczeni politycy prowadzą po cichu swoją *de facto* kampanię wyborczą jeszcze od zeszłego roku, a mimo to mogą nie zdobyć mandatów.

– Nikomu nieznany kandydat z partii Sługa Narodu, który nie zajmował się wcześniej działalnością społeczno-polityczną ani nie był nawet aktywistą, i który jest w ogóle osobą mało popularną, na starcie kampanii otrzymywał nawet 15–20 proc. poparcia – mówi Marija Zołkina.

Dzięki temu, jak stwierdza politolożka, na miejsce w parlamencie mogą liczyć nawet ci, o których nie znajdzie się wielu wyników w wyszukiwarce Google.

Celebryci w politycznym kontekście

Politolog Wołodymyr Fesenko tłumaczy, że w przypadku Sługi Narodu i Hołosu popularność ich liderów jest niemal tożsama z poparciem, na które mogą liczyć obie partie. Do tego nie jest wykluczone, że elektorat między tymi partiami będzie przepływał, bo ludzie chcą głosować na oba te ugrupowania z podobnych przyczyn.

– Obydwaj liderzy nie są zawodowymi politykami. Kryzys zaufania do elit, który rozpoczął się u nas jakieś trzy lata temu i stale się pogłębiał, doprowadził do popytu na ludzi, którzy nie są politykami, ale są akceptowani w politycznym kontekście – mówi Fesenko.

Politolog uważa, że na Ukrainie są tylko dwaj celebryci, którzy spełniali te warunki: właśnie Zełenski i Wakarczuk.

Do pewnego stopnia z tych nastrojów skorzystał też przewodniczący Siły i Czci Ihor Smeszko, któremu kierowanie Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy [to mniej więcej odpowiednik polskiej ABW, choć SBU jest znacznie liczniejsza i ma większy zakres kompetencji – red.] przysporzyło opinię profesjonalisty oraz wojskowego-patrioty, chroniąc go zarazem przed wepchnięciem w rolę polityka.

Powrót Partii Regionów

Podobną popularnością jak Hołos cieszą się dwie „stare" partie: Solidarność Europejska byłego prezydenta Poroszenki (dziś występująca pod taką właśnie, nową już nazwą) oraz Batkiwszczyna (Ojczyzna) Julii Tymoszenko.

Ale ze „starej gwardii" na największy (czy też, precyzyjniej: relatywnie największy) sukces może liczyć Platforma Opozycyjna – Za Życiem, która w sondażach notuje wyniki powyżej 10 proc. To kolejna sukcesorka słynnej Partii Regionów – macierzystej formacji byłego

STR / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski (w środku) wśród kandydatów na deputowanych z partii Sługa Narodu. Kijów, 9 czerwca 2019 r.

prezydenta Janukowycza, który w lutym 2014 r. uciekł do Moskwy. W pierwszej dziesiątce listy ogólnokrajowej Platformy Opozycyjnej znajdujemy postacie tyleż znane, co budzące gwałtowne emocje – jak były wicepremier Jurij Bojko, była minister polityki społecznej Natalija Korołewska czy Wiktor Medwedczuk, prywatnie ojciec chrzestny córki Władimira Putina.

Na największe poparcie partia ta może liczyć we wschodnich i południowych obwodach. Marija Zołkina tłumaczy, że Platforma Opozycyjna stawia na polityków cieszących się opinią dobrego gospodarza czy skutecznego przemysłowca. Zwolennicy tego ugrupowania liczą, że w razie zwycięstwa wojna się skończy, a stosunki z Rosją się unormują (cokolwiek miałoby to oznaczać) – niezależnie od tego, jaka byłaby tego cena.

– Ich „nisza" to prorosyjscy mieszkańcy Ukrainy, faktycznie nawet proputinowscy – ocenia Fesenko.

Zołkina uważa, że przyczyną powrotu tych postaci i ich rosnącej popularności było to, że nie ponieśli politycznych konsekwencji za faktyczny zamach na ład konstytucyjny w latach 2010-14, za prezydentury Janukowycza. Zamiast tego mogli zasiadać w parlamencie, prowadzić biznes i nawet skupować ukraińskie media.

Jak choćby Medwedczuk, który niedawno kupił zachodnioukraiński kanał telewizyjny ZIK. Teraz pod kontrolą tego polityka są trzy kanały informacyjne. Zołkina uważa, że wpływają one na postrzeganie rzeczywistości przez część mieszkańców kraju i potęgują uczucie rozczarowania sytuacją.

Nowi... Ale co to znaczy?

Karina Manżaj od sześciu lat pracuje w organizacjach pozarządowych, wcześniej także przez sześć lat była wolontariuszką. Nie należy do tych, którzy biernie czekają na zmiany, lecz do tych, którzy sami próbują ich dokonywać. Najpierw w jej rodzinnym Dniepropietrowsku (w 2016 r., w ramach dekomunizacji, nazwę miasta zmieniono na Dnipro) we wschodniej Ukrainie. Potem w Kijowie, do którego przyjechała tuż przed protestami na Majdanie.

Karina uważa, że największą porażką pomarańczowej rewolucji – tej, która na przełomie 2004/05 wyniosła do władzy Wiktora Juszczenkę (i udaremniła oszustwa wyborcze, które miały pomóc Janukowyczowi) – było to, że politykom odpuszczono.

– Pod koniec 2014 r. ludzie wyszli na Majdan, wywrócili wszystko, a potem poszli do domów i czekali, aż przyjdzie prezydent Juszczenko i wkręci żarówkę za nich. To tak nie działa i nigdy nie zadziała – mówi Manżaj.

Karina sądzi, że wprawdzie już po pomarańczowej rewolucji nie wszyscy chcieli biernie czekać, wielu wzięło sprawy w swoje ręce – ale że wciąż było (i jest) takich ludzi za mało. Rodaków ocenia krytycznie: uważa, że chcieliby natychmiastowych zmian, zamiast samemu działać na ich rzecz i osiągać je stopniowo. – Wszyscy biegamy sprinty zamiast maratonów – mówi.

Chociaż Karina nie uważa, by ostatnie lata zostały całkowicie zmarnowane, to nie pokłada już zbyt wielu nadziei w politykach. Nie chce nawet myśleć, jaki będzie nowy parlament. – Zasadniczą kwestią nie jest to, czy pojawią się nowe twarze, lecz co się za nimi będzie kryło – stwierdza 29-latka. Tylu niedoświadczonych polityków może doprowadzić przecież do chaosu i paraliżu parlamentu.

Karina Manżaj nie wyklucza jednak i takiej możliwości, że Ukraina zrezygnuje z krótkotrwałych sprintów – i nareszcie rozpocznie swój maraton.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Nowi Turcy

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

Zbawca, święty człowiek, nasz ojciec, jedyny w Europie: tak syryjscy uchodźcy, którzy w Turcji znaleźli dom i obywatelstwo, mówią o jej prezydencie. Ale gdy Erdoğan cieszy się z nowych wyborców, zwykli Turcy są już nimi zmęczeni.

Scena pierwsza: syryjski chłopiec pokazuje rysunek, który wykonał na zajęciach plastycznych w szkole w Izmirze. W tej trzymilionowej metropolii nad Morzem Śródziemnym mały Syryjczyk uczy się od kilku miesięcy. Na rysunku widzimy turecką flagę, postać męską i opis: „To szanowny prezydent Erdoğan, którego bardzo kocham. Moje marzenie to go spotkać".

Scena druga: rodzina syryjskich uchodźców w szpitalu w Mersin – milionowym mieście w południowej Turcji, także nad Morzem Śródziemnym. Ojciec trojaczków, które właśnie przyszły na świat, prezentuje akty urodzenia dzieci. Syn będzie nosić imiona Recep Tayyip Erdoğan, a córki Emine (to po pierwszej damie Turcji) oraz Sümeyye (po córce prezydenta). „Najbardziej podoba mi się imię syna" – podkreśla ojciec.

Scena trzecia: wysoki chłopak w granatowej wiatrówce obejmuje zakłopotanego prezydenta Turcji i składa na jego czole pocałunek. Nastolatek jest wzruszony, a mina Erdoğana wyraża to, o czym ten polityk wielokrotnie wspomina w przemówieniach: „Ja tylko robię swoje. Robię to, co trzeba, dla naszych syryjskich braci".

Jedyny sprawiedliwy

– A co w tym dziwnego, że Syryjczycy kochają Erdoğana? – odpowiada pytaniem na pytanie Hael Srour, syryjski dziennikarz, który w 2013 r. uciekł z Aleppo i trafił do Izmiru. – Tylko pomyśl! On nas przyjął! Uratował wiele ludzkich istnień, podczas gdy turecka opozycja i inne kraje nic dla nas nie robiły. Dzięki niemu możemy normalnie żyć. Właściwie dzięki niemu wielu z nas w ogóle żyje. To bohater!

Haela znam od ponad czterech lat. Zawsze był nieco patetyczny, ale podczas rozmów o polityce wykazywał się zdrowym rozsądkiem. Krytykował autokratów. Dlatego zdziwiłam się, gdy na Facebooku udostępnił filmik z prezydentem Turcji podczas świątecznej kolacji, jaką Erdoğan wydał dla ubogich na zakończenie ramadanu, islamskiego miesiąca postu i modlitwy. „Święty, wspaniały człowiek" – napisał. Komentarze jego syryjskich znajomych były w podobnym tonie.

Mówię, że znam Turków, dla których Erdoğan niewiele się różni od syryjskiego prezydenta Baszara al-Asada. – Jak w ogóle można porównywać kogoś, kto dba o ludzi, ze zdrajcą i mordercą?! – Hael prawie krzyczy.

– Asad zepchnął nas w przepaść, a Erdoğan zrobił wszystko, by jego państwo dołączyło do krajów rozwiniętych – tłumaczy już nieco spokojniej. – Jestem dziennikarzem, analizuję wszystko, co się dzieje. Widzę, że niektóre partie opozycyjne popierają Asada. No cóż, ci, których domy zbombardowano, a dzieci zabito, nie mogliby na nich głosować – ironizuje.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że Hael mówi o opozycji tureckiej, a nie syryjskiej. I o tutejszych wyborach.

Jak głosują nowi obywatele

Gdy na początku wojny w Syrii część dziennikarzy i politologów wieszczyła, że przybywający do Turcji syryjscy uchodźcy to przyszli tureccy obywatele i zarazem przyszli wyborcy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), rządzącej już od 17 lat, Erdoğan uspokajał rodaków, że tak się nie stanie.

W styczniu tego roku minister spraw wewnętrznych Süleyman Soylu poinformował, że niemal dwie trzecie z prawie 80 tys. Syryjczyków, którzy otrzymali dotąd tureckie obywatelstwo, będzie mogło głosować w marcowych wyborach lokalnych. Dziennikarze portalu Voice of America zapytali ich wtedy, jak zagłosują. Większość zadeklarowała poparcie dla kandydatów AKP.

To samo nowi tureccy obywatele mówili niedawno dziennikarzom Al-Monitor: że będą głosować na tych, którzy ich wspierają. Że jeśli nawet AKP nie jest idealna, to zasługuje na szansę od Syryjczyków, bo sama dała im szansę na nowe życie.

Waffa Jad pochodzi z Damaszku, w Izmirze mieszka już od dziewięciu lat. Przed rokiem poślubiła Turka. Kobieta nie jest zdziwiona takimi deklaracjami swoich rodaków. – Kiedy Syryjczycy umierali z głodu i od bomb, tylko Erdoğan otworzył granicę. Wdzięczność

CHRIS MCGRATH / GETTY IMAGES

Warsztaty sztuki cyrkowej dla dzieci uciekinierów z Syrii w mieście Mardin na pograniczu z Syrią; na horyzoncie widać już Syrię. Czerwiec 2018 r.

zostanie na zawsze – tłumaczy. Jednak ona sama, choć może brać w nich udział, zbojkotowała wybory prezydenckie i lokalne. – Nie mam na kogo głosować. AKP nas wykorzystuje, by zdobyć głosy, a turecka opozycja nas nienawidzi – tłumaczy Waffa.

Może mieć rację. Po niedawnym zwycięstwie opozycyjnego kandydata w powtórzonych wyborach na burmistrza Stambułu ci Turcy, którzy nie chcą u siebie Syryjczyków, poczuli się znacznie pewniej. Taki szczegół: w mediach społecznościowych kilkanaście tysięcy razy użyty został hasztag #SuryelilerDefoluyor (dosłownie: „Syryjczycy wypierdalajcie"). Niemało, zważywszy, że tureckie służby monitorują aktywność obywateli w sieci.

Wdzięczność i korzyści

Tymczasem społeczność, z której kiedyś mogą wyłonić się kolejni nowi obywatele – i nowi wyborcy AKP – jest ogromna: szacuje się, że w 80-milionowej Turcji żyje dziś około czterech milionów uciekinierów z Syrii. Znacząca ich część zapewne nigdy nie wróci do kraju, którego prezydent-dyktator jest dziś bliski wygrania wojny (trwająca od 2011 r., pochłonęła około pół miliona zabitych – z czego większość uśmierciła armia Asada).

Wkrótce może być ich zresztą jeszcze więcej. Jeśli Asad i jego rosyjscy oraz irańscy sojusznicy opanują prowincje Idlib i Hama – ostatnie regiony kraju, które są jeszcze pod kontrolą rebeliantów (część z nich otrzymuje polityczne i militarne wsparcie tureckich władz) – wówczas jest prawdopodobne, że do Turcji ucieknie kolejnych kilkaset tysięcy ludzi, obawiających się zemsty Asada.

– Może i nas wykorzystują, ale przynajmniej nie chcą stąd wyrzucić – mówi Sawsan, studentka, która do Izmiru uciekła z rodzinnej Latakii. Przed rokiem otrzymała stypendium, uczy się na Uniwersytecie Egejskim. Dziewczyna przypomina hasła, z którymi do ostatnich wyborów szli niektórzy przedstawiciele tureckiej opozycji: „Dość uchodźców!", „Syryjczycy do domu!".

Sawsan mówi, że dopiero będzie się starała o tureckie obywatelstwo. Ale już od dawna chodzi na wszystkie wiece poparcia dla Erdoğana. Na swoim profilu na Facebooku ma zdjęcie, które zrobiono kilka dni po nieudanym puczu przeciw prezydentowi w lipcu 2016 r. Dziewczyna trzyma na nim turecką flagę i transparent: „Syryjczycy są z Tobą, prezydencie Erdoğanie". Obok na fotografii widzimy kilkunastu innych uchodźców, z podobnymi hasłami na tekturowych kartkach.

– Tak, jesteśmy wdzięczni – mówi Hael Srour, który chodzi na te same wiece. – Ale faktem jest też, że Erdoğan i AKP skorzystali na naszej obecności w Turcji. Pomyśl choćby o pieniądzach, które płyną tutaj od organizacji charytatywnych oraz od Unii Europejskiej. Zyskują więc na tym wszyscy.

Męczący goście

– Nie, nie zyskują wszyscy. Zyskują oni. My tylko tracimy! Naszych żołnierzy, którzy giną w Syrii, nasze pieniądze, nasze miejsca pracy. Spokój straciliśmy już dawno! – wylicza gniewnie Derya, gospodyni domowa z turystycznej miejscowości Didyma (znanej ze słynnej wyroczni Apollina).

Przyszłość Turcji i relacji turecko-syryjskich Derya widzi raczej w ciemnych barwach. Na swoim profilu na Facebooku zamieściła ostatnio takie zestawienie zdjęć: brudny barak gdzieś na syryjsko-tureckim pograniczu. Między wojskowymi plecakami ciało zabitego żołnierza przykryte turecką flagą. Obok fotografia syryjskich nastolatków tańczących w kąpielówkach na tureckiej plaży. „Gdy nasze dzieci giną u nich, ich dzieci bawią się u nas" – napisała z goryczą.

Pytam, czy nie przesadza. – Ja? To oni przesadzają! – rzuca zdenerwowana ↦

↦ i sięga po smartfon. Po chwili zarzuca mnie informacjami z ostatnich kilku dni: w Şanliurfie od kuli zginął policjant, który próbował rozdzielić kłócące się grupy syryjskich uchodźców. W stambulskiej dzielnicy Beylikdüzü doszło do całonocnych walk między Romami i uzbrojonymi w noże Syryjczykami. W Sakaryi grupa Syryjczyków zaatakowała chłopaka, bo – jak donoszą media – miało zirytować ich to, że patrzył w ich stronę. I tak dalej...

– Oni nie mają dość odwagi, by walczyć za swój kraj. Ale żeby walczyć z nami, na to starcza im energii – złości się Derya.

Podaję jej przykład projektu aktywizacji zawodowej, który Turcja będzie realizować wspólnie z Unią Europejską i Bankiem Światowym. Skorzysta z niego prawie 15 tys. ludzi: siedem i pół tysiąca Syryjczyków i tyle samo Turków. – I z czego tu się cieszyć? Bezrobocie w kraju sięga 13 proc., Turcy nie mają co jeść, a oni aktywizują Syryjczyków! – słyszę w odpowiedzi.

Turkom rośnie ciśnienie

O ile politycy z AKP wciąż mówią o Syryjczykach „nasi goście" lub „nasi bracia", o tyle ludzie bywają coraz mniej wyrozumiali. Nawet ci, którzy kiedyś im pomagali, są już zwyczajnie zmęczeni.

– Skoro jest wojna, dlaczego na święta oni jadą do Syrii? – pyta Selmin, która organizuje bezpłatne lekcje muzyki dla małych uchodźców w Izmirze. – Widziałam zdjęcia spod granicy, tam były tłumy!

– To, co dotąd nazywaliśmy akceptacją, powinniśmy chyba byli nazywać tolerancją – mówił dziennikarzom prof. Murat Erdoğan, autor badań „Syryjski Barometr", pokazujących nastawienie Turków do Syryjczyków. Badacz (zbieżność nazwiska z prezydentem przypadkowa) podkreśla, że gotowość Turków do pomocy uchodźcom jest coraz bardziej „krucha". Pytani o to, gdzie powinni mieszkać uchodźcy, w 80 proc. badani Turcy odpowiedzieli, że w obozach, strefach buforowych lub specjalnych osiedlach. Tyle samo uznało, że Turcy kulturowo różnią się od Syryjczyków. W prowincjach przygranicznych – Şanlıurfa, Mardin, Hatay i Gaziantep – ten odsetek był jeszcze wyższy.

Ostatnio głośno było o włodarzach kilku tureckich miast, którzy zakazali Syryjczykom wstępu na plaże. Tak stało się w Gazipaşie, miejscowości sąsiadującej z turystyczną mekką, jaką jest Alanya. „Oczywiście szanujemy prawa człowieka" – odpierał zarzuty o rasizm Mehmet Ali Yılmaz, burmistrz miasta. Stwierdził jednak, że nie może być tak, że przybysze, nieważne czy z Syrii, czy jakiegokolwiek innego kraju, sprawiają, że miejscowi czują się niekomfortowo.

ZBIORY HAELA SROURA

Co w tym dziwnego, że kochamy prezydenta Erdoğana? On nas przyjął, dzięki niemu możemy tu normalnie żyć! – mówi **HAEL SROUR**, *poeta i dziennikarz rodem z Aleppo. Na zdjęciu ze 105-letnią Aishą Berakat, która także uciekła z Syrii do Turcji.*

Niekomfortowo, czyli jak? To pytanie zadaję Suphiemu, wujowi mojej przyjaciółki, który w Gazipaşie ma *yazlik*, czyli dom letni. – A tak, że strach było córkę puścić na plażę! – ucina mężczyzna.

Tureckie media donosiły o podobnym zakazie w miejscowości Mudanya (okolice Bursy). Tamtejszy burmistrz wyjaśnił jednak, że policja usunęła z plaży tylko tych Syryjczyków, którzy nielegalnie tam koczowali.

Coraz dłuższa „chwila"

– A ty nie chciałabyś wiedzieć, czy twój dom jeszcze stoi, a twoi bliscy jeszcze żyją? – pyta Abdulhak, pracownik jednej z fundacji pomagających Syryjczykom, w odpowiedzi na zarzuty, że uchodźcy jadą na święta do domu.

– Ci, którzy wracają do Syrii, to nie są prawdziwi uchodźcy – przekonuje z kolei Hael Srour. Twierdzi, że tylko zwolennicy reżimu Asada mają odwagę i powody, by święta spędzać w Syrii. I że robią oni pozostałym uchodźcom „zły PR".

– Tureccy żołnierze nie giną, walcząc o Syrię. Oni giną w obronie własnych granic. Tak zdecydował ich rząd – rzuca Abdulhak, gdy mówię o tym, co boli moich tureckich znajomych.

– Wiem, że mnie tu nie chcą – mówi Waffa Jad. – W pokoju nauczycielskim koleżanki zapytały mnie ostatnio, kiedy zamierzam wracać do Syrii.

Także jej 21-letni pasierb zapytał ją o to. – Gdybym mogła, natychmiast spakowałabym manatki i stąd wyjechała. Nie mogę już słuchać tych bzdur: że Syryjczycy się uczą za darmo, że dostają domy, że państwo im płaci – wylicza Waffa. Zgadza się tylko z jednym powtarzanym w tureckich mediach „zarzutem": – Tak, syryjskich dzieci rodzi się w Turcji bardzo dużo. Zupełnie tego nie rozumiem. Jakie one będą miały życie? Czy ich rodzice w ogóle nie myślą!?

– Myślą czy nie, jakoś musimy razem żyć – mówi Berk, wolontariusz w wydziale spraw społecznych izmirskiego magistratu. Ostatnio Berk czytał raport „Napięcia między Turkami i Syryjczykami: przyczyny, skutki i rozwiązania", przygotowany przez organizację INSAMER (Humanitarian and Social Reaserch Center). Wynika z niego, że „wina" za pogarszające się relacje leży po obu stronach. Berk: – My myśleliśmy, że oni są tu tylko na chwilę, oni myśleli, że my zawsze będziemy mili, grzeczni i cierpliwi, a życie u nas to bajka. I tak obie strony są teraz rozczarowane.

Zaglądam do raportu. Opisane tam problemy to wypisz wymaluj historie opowiedziane mi i przez Syryjczyków, i przez Turków: kryzys, bezrobocie, uprzedzenia rasowe, poczucie bycia niechcianym, poczucie, że nie jest tak różowo (to Syryjczycy), i że „oni coś nam zabierają" (to Turcy). Proponowane rozwiązania: odpowiednia polityka informacyjna, dostosowanie przepisów do realiów życia Turków i Syryjczyków, wspólne projekty. Wśród nich takie, które będą pokazywać dobre strony Syryjczyków, np. poprzez umieszczanie ich postaci w popularnych tureckich serialach.

Derya: – Proszę bardzo, niech pokazują. Ja wyłączę wtedy telewizor.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

ZUMA PRESS / FORUM

Uroczystość rozdania dyplomów na Western High School w mieście Anaheim w Kalifornii, 23 maja 2019 r.

Milenialsi toną w długach

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

Za dnia spalają się na etacie, wieczorem harują w dorywczych pracach. Wszystko po to, by spłacić kredyt za studia. Dla ich pokolenia American Dream to coraz częściej pusty slogan.

Życiem Badii rządzą liczby. Piegowata szatynka ma trzydziestkę na karku, 16-letni staż pracy i 120 tys. dolarów długu.

Badia, córka Amerykanki i pakistańskiego imigranta, który opuścił rodzinę i przepadł bez wieści, musi płacić rachunki już w dzieciństwie. Gdy matka idzie w pijackie tango, ona z trójką rodzeństwa robi bilans wydatków. Trzeba zapłacić ratę kredytu za dom, bo wydzwaniają z banku. Trzeba kupić jedzenie i podręczniki, bo zbliża się rok szkolny.

Najpierw do pracy idzie Saad, najstarszy z rodzeństwa. W wieku 14 lat zaczyna też zarabiać Badia. Po szkole, razem z siostrą bliźniaczką, sprzedają lody w cukierni. Z pracą ociąga się tylko najmłodszy brat. Dziś, jako jedyny z całej czwórki, mieszka w ich rodzinnym mieście, w przyczepie kempingowej. Nie ma prądu, często brakuje mu na jedzenie. W Antioch, ponad stutysięcznej miejscowości na biednych przedmieściach San Francisco, nietrudno o taki scenariusz.

Badia obiecuje sobie, że musi się stamtąd wyrwać. Przepustką do lepszego świata ma być pożyczka na studia licencjackie na Kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym we Fresno. Kwota do spłaty: 60 tys. dolarów. Drugie tyle Badia musi zwrócić za studia magisterskie z psychologii na uczelni Saint Mary's College of California.

Tylko bliźniaczka zrozumie

Ale na zdjęciu z rozdania dyplomów nie wygląda na przejętą tymi długami. Jeszcze nie. Ma na sobie czarną togę i fikuśny naszyjnik z fioletowych kwiatków. Promienieje ze szczęścia.

Na tym zdjęciu nie widać też worków pod oczami, które towarzyszą Badii od początku studiów. Aby się utrzymać, dorabia w sklepach odzieżowych. Z czasem udaje jej się znaleźć etat w korporacji. Dzień pracy zaczyna o 6 rano. Gdy wychodzi z biura o 15.30, czekają ją dwie godziny jazdy autobusem na uczelnię. Do domu wraca około północy. Często siada jeszcze wtedy do nauki. Gdy zamyka książki, na sen zostają dwie-trzy godziny.

Ale Badia zaciska zęby, bo po skończeniu studiów czeka ją przecież dobrze płatny etat. Nie wie jeszcze, że jako pedagog w podstawówce zarobi miesięcznie niecałe 3 tys. dolarów. Taka kwota wystarczy jej na opłacenie raty kredytu ↦

za studia (700 dolarów) i wynajem kawalerki, co w rejonie Zatoki San Francisco kosztuje ponad 2 tys. dolarów miesięcznie. Na jedzenie i inne wydatki Badia dorabia więc wieczorami jako kelnerka.

– Skończyłam 30 lat, a już czuję się wypalona – wyznaje. – Mam dość tego, że wciąż walczę o przetrwanie. Choć od lat haruję po kilkanaście godzin dziennie, prawie na nic mnie nie stać. Rzadko chodzę do kina, nie wyjeżdżam na wakacje. Znajomi dziwią się, że nie rozbijam się po drogich knajpach. Ale ja nie pracuję tak jak oni w jakiejś korporacji w Dolinie Krzemowej. Nie mogłam też liczyć na pomoc rodziców przy opłaceniu studiów.

– Tak naprawdę rozumie mnie tylko siostra – uważa Badia. – Podobnie jak ja musiała wziąć kredyt na studia. Choć jest analitykiem w agencji rządowej, nie byłoby jej stać na spłatę raty, która wynosi 900 dolarów miesięcznie. Wieczorami dorabia więc, wyprowadzając na spacer psy.

– Nasze rozmowy często kręcą się wokół pieniędzy. Ona opowiada, że oszczędza na nową parę butów. Ja mówię, że jest mi zimno i muszę sobie kupić cieplejszą kurtkę – dodaje.

Błędne koło

Wydawałoby się, że dziś Badia nie powinna mieć już takich zmartwień. Od zeszłego roku pracuje w szkole dla trudnej młodzieży. Zarabia 5 tys. dolarów miesięcznie i po raz pierwszy od lat nie musi harować po godzinach.

Jednak nie może się tą zmianą nacieszyć. Od życia w ciągłym stresie zapadła ostatnio na chorobę autoimmunologiczną. Do jej długiej listy wydatków doszły więc drogie leki i produkty bez glutenu. Odkąd dostała w pracy podwyżkę, o 300 dolarów wzrosła też jej rata studenckiego kredytu.

– Czuję się tak, jakbym zarabiała pieniądze, które do mnie nie należą – mówi. – Pożyczkę studencką będę spłacała jeszcze przez 20 lat. Chciałabym założyć kiedyś rodzinę, ale boję się, że wpadnę w jeszcze większą spiralę zadłużenia. Nawet jeśli poznam odpowiedniego mężczyznę, to pewnie on też będzie miał do spłacenia kredyt. Nie chcę, żeby moje dziecko wychowywało się w biedzie.

Najpierw kredyt, potem dyplom

W Stanach, gdzie nawet na uczelniach publicznych nauka kosztuje ok. 10 tys. dolarów rocznie, przeciętnego studenta na czesne po prostu nie stać. W efekcie w studenckich długach tonie już ponad 44 mln Amerykanów. Wielu z nich to tzw. milenialsi – ludzie urodzeni w latach 80. i 90. XX wieku.

ARCHIWUM PRYWATNE

BADIA*: Czuję się tak, jakbym zarabiała pieniądze, które do mnie nie należą.*

Pożyczki studenckie są dziś najszybciej rosnącym rodzajem zadłużenia w USA. W 2017 r. aż 70 proc. absolwentów zakończyło uczelnię z długiem, który wynosił średnio 28,6 tys. dolarów. Podczas gdy w 2004 r. łączna wartość tego rodzaju kredytów wynosiła 260 mld dolarów, dziś jest to już 1,5 bln dolarów. Po kredytach hipotecznych to drugi największy rodzaj zadłużenia Amerykanów.

Skala studenckich długów zapewne byłaby jeszcze wyższa, gdyby nie powszechne w Stanach stypendia. Dużą popularnością cieszą się np. federalne granty dla osób pochodzących z biednych rodzin. Z danych ośrodka analitycznego Brookings Institution wynika, że z kilku tysięcy dolarów dofinansowania korzysta ok. 8 mln studentów rocznie. Ci, których nadal nie stać na opłacenie czesnego, korzystają dodatkowo z pożyczek udzielanych m.in. przez rząd federalny. Ich spłata zaczyna się najczęściej pół roku po ukończeniu studiów.

Jeśli absolwentowi nie uda się do tego czasu znaleźć dobrze płatnej pracy, zaczyna się walka o uregulowanie miesięcznej raty.

Obecnie kredytów nie spłaca 11 proc. zadłużonych. Do pożyczkobiorców zalegających z ratami należą m.in. studenci uczelni nastawionych na zysk (*for-profit colleges*). Wyrastające jak grzyby po deszczu placówki oferują kursy zawodowe – krótsze niż tradycyjny program studiów. Ofiarami ich agresywnej kampanii reklamowej padają najczęściej pracujący za stawkę minimalną Amerykanie, dla których dyplom miałby być przepustką do lepszych zarobków. Z danych Brookings Institution wynika, że aż 48 proc. absolwentów tych uczelni nie reguluje terminowo zobowiązań.

W rankingu dłużników królują też Afroamerykanie. Wśród czarnoskórych studentów, którzy rozpoczęli studia licencjackie w 2004 r., terminu spłaty pożyczki nie dotrzymuje 21 proc. W przypadku białych Amerykanów z tego samego rocznika problem dotyczy 4 proc. zadłużonych. Z ratami zalega też ponad 8 proc. latynoskich absolwentów.

Najpierw udar, potem poród

Khallilah, 28-letnia Afroamerykanka z Chicago, chciałaby cofnąć czas.

Zamiast brać kredyt na drogie czesne, poszłaby do *community college*. Ta szkoła, która oferuje dwuletni program studiów po maturze, kojarzyła jej się jednak z zawodówką dla biednych. Khallilah wybrała więc Uniwersytet Missouri w Columbii i wzięła pożyczkę na studia licencjackie z dziennikarstwa. Miała też apetyt na studia magisterskie, ale po roku musiała z nich zrezygnować.

Od początku nauki na uczelni uzbierała 80 tys. dolarów długu. Na taką samą kwotę zadłużony był też jej chłopak Jacob. Khallilah śmiała się, że spłata studenckich kredytów to dla ich związku największa próba. Nie spodziewała się, że los przygotował dla nich znacznie więcej.

Jest czerwiec 2016 r. Khallilah traci pracę asystentki w firmie reklamowej w Waszyngtonie. Dostaje wypowiedzenie zaledwie kilka dni po tym, gdy dowiaduje się, że jest w ciąży. Przez całe lato chodzi na rozmowy kwalifikacyjne i liczy z Jacobem (już mężem) każdego dolara. W mieście, które należy do najdroższych w USA, muszą utrzymać się z jednej pensji. Jest tak źle, że Khallilah zwleka z pójściem do ginekologa. Wizyta kontrolna kosztuje 40 dolarów.

A potem nadchodzi wrześniowy poranek. Jacob upada na podłogę w łazience i dostaje ataku drgawek. W szpitalu wykluczają padaczkę, ale mimo serii dodatkowych badań nie potrafią stwierdzić, co mu dolega. Gdy wypisują go ze szpitala, Khallilah podejmuje decyzję o przeprowadzce do rodzinnego Chicago. Załatwia

też tymczasowe zawieszenie spłaty kredytów studenckich. Na szczęście, bo na trzy tygodnie przed narodzinami ich córki, 27-letni Jacob doznaje udaru mózgu.

Byle do czterdziestki

– To cud, że nie dostałam wtedy załamania nerwowego – wspomina Khallilah. – Wyobraź sobie, że jesteś w dziewiątym miesiącu ciąży, a twój mąż trafia na oddział intensywnej terapii. Nie wiesz, czy dożyje narodzin swojego dziecka. Nie tak wyobrażałam sobie początki macierzyństwa... Gdy Eden przyszła na świat, nie czułam euforii. Patrzyłam na nią ze złością i powtarzałam sobie, że urodziła się w nieodpowiednim momencie. Martwiłam się o męża. Głowiłam się, z czego będziemy żyć. Skąd miałam jeszcze czerpać siły, by zajmować się córką? – pyta.

W wyjściu z depresji poporodowej pomogła jej, jak mówi, także pusta lodówka i niezapłacone rachunki. Gdy córka miała dwa miesiące, Khallilah zaczęła szukać dorywczych zleceń dla agencji reklamowych.

– Pracowałam w nocy i przez kilka godzin w ciągu dnia, gdy przy opiece nad córką pomagała mi mama – opowiada. – Po kilku miesiącach udało mi się też znaleźć etat jako doradca edukacyjny dla młodzieży z biednych rodzin. Śmieję się, że to dla mnie praca idealna. Często opowiadam uczniom moją historię i powtarzam, by nie popełnili tego samego błędu co ja. Bo co im po świetnym dyplomie w kieszeni, jeśli będą musieli zrezygnować ze wszystkich swoich planów?

– Marzy nam się z Jacobem własny dom – mówi Khallilah. – Tylko że nie mamy szans na kredyt hipoteczny, skoro od prawie trzech lat nie spłacamy długów za studia. Nawet nie chcę myśleć o wrześniu, gdy minie nam okres karencji i znów będziemy musieli spłacać raty. Już teraz trudno jest uzbierać 800 dolarów miesięcznie na żłobek dla córki. Wisi też nad nami 10 tys. dolarów długu za rehabilitację Jacoba.

Khallilah marzy o tym, żeby spłacić wszystkie pożyczki przed czterdziestką. – Musimy jeszcze odłożyć pieniądze na studia naszej córki – dodaje.

Politycy debatują o długach

Kredyty studenckie niekiedy porównywane są do pożyczek hipotecznych, które zalały amerykański rynek na początku

ARCHIWUM PRYWATNE

KHALLILAH: *Marzę o tym, żeby spłacić wszystkie pożyczki przed czterdziestką.*

XXI w. Zanim w 2008 r. Stany pogrążyły się w kryzysie finansowym, pożyczkę na dom dostawali nawet Amerykanie nieposiadający zdolności kredytowej. „Bańka" na rynku nieruchomości musiała w końcu pęknąć.

Jak – w przypadku pożyczek studenckich – nie dopuścić do takiego scenariusza?

W propozycjach rozwiązań prześcigają się kandydaci Partii Demokratycznej, którzy ostrzą sobie zęby na odbicie Białego Domu z rąk Donalda Trumpa w listopadzie 2020 r. Z ambitnego pomysłu zasłynęła ostatnio senatorka z Massachusetts Elizabeth Warren: chce umorzyć pożyczki zaciągnięte przez ok. 95 proc. zadłużonych.

Kto sfinansowałby ten radykalny plan? Milionerzy, którzy ze swych fortun mieliby ściągnięty na ten cel dwuprocentowy podatek. Elizabeth Warren proponuje też wprowadzenie bezpłatnej edukacji wyższej. Darmowe miałyby być dwu- i czteroletnie studia na uczelniach publicznych. Postulaty, z których przez lata słynął sztandarowy amerykański socjalista Bernie Sanders, goszczą dziś na ustach wielu polityków.

Odpowiedź na studencki kryzys szykuje też administracja Trumpa, która planuje reformę ustawy o szkolnictwie wyższym. Z przedstawionych w marcu tego roku propozycji wynika, że po 15 latach spłacania pożyczki o umorzenie długów mogliby ubiegać się wszyscy absolwenci studiów licencjackich. Do tej pory z kredytowej amnestii mogli skorzystać jedynie pracownicy administracji publicznej. Biały Dom chce też zmniejszyć kwoty, na jakie rząd federalny udziela kredytów. Studenci studiów licencjackich mogą obecnie wziąć maksymalnie 57,5 tys. dolarów pożyczki.

Recepcjonistka w przyczepie

26-letnia Kiana mówi, że podjęła w życiu dwie odważne decyzje.

Pierwsza: przeprowadziła się z Hawajów do Lodi, miejscowości w środkowej Kalifornii. Druga: skończyła roczne studium przygotowujące do zawodu recepcjonistki medycznej. Przeprowadzki do Kalifornii nie żałuje, bo tutaj poznała przyszłego męża. Jednak kurs na recepcjonistkę, który kosztował 24 tys. dolarów, mogła sobie darować.

– Niepotrzebnie dałam się namówić koleżance – tłumaczy. – Ona powtarzała, że to szansa na wyrwanie się z pracy w McDonaldzie. Przy zarobkach za stawkę minimalną nie było mnie nawet stać na wynajem pokoju. A nie chciałam dłużej pomieszkiwać z moim dziadkiem. Wzięłam więc kredyt i po całym dniu w pracy chodziłam na wieczorne zajęcia.

– Po skończeniu kursu dostałam zaproszenie na cztery rozmowy kwalifikacyjne w firmach medycznych – wspomina. – Na żadnym spotkaniu nie wypadłam dobrze, bo jestem nieśmiała, a to w pracy recepcjonistki nie pomaga. Z całej tej nauki pozostało mi 300 dolarów miesięcznej raty kredytu – dodaje ze złością.

Dla Kiany i jej męża Toma taki wydatek to duże obciążenie dla domowego budżetu. Mają półroczną córkę i utrzymują się z jednej pensji. Tom pracuje w fabryce karmy dla zwierząt, gdzie zarabia 2,2 tys. dolarów miesięcznie. Dla oszczędności żyją w przyczepie kempingowej na strzeżonym parkingu. Każdy miesiąc to dla nich nerwówka. Po opłaceniu rachunków na jedzenie i pieluchy dla dziecka pozostaje niewiele.

Najtrudniej było tegorocznej zimy. Ze względu na córeczkę przez całą noc musieli dogrzewać przyczepę piecykiem elektrycznym. Rachunek za prąd wynosił 200 dolarów miesięcznie. Musieli mocno zacisnąć pasa, ale – jak podkreśla Kiana – nawet wtedy udało im się zapłacić ratę pożyczki.

Podobnie jak większość Amerykanów, boją się pogorszenia swojej tzw. historii kredytowej, która w Stanach liczy się nawet przy wynajęciu mieszkania.

Wychodzi na to, że za złe decyzje trzeba płacić do końca życia.

© MARTA ZDZIEBORSKA

weź, czytaj!

SLOT ART FESTIVAL

Specjalna oferta dla uczestników SLOT ART FESTIVAL
Kup prenumeratę kwartalną***
z dostawą do domu
za **99 zł**

Oferta ważna tylko do 31 lipca br.

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE 4 wydania*
z dostawą do domu
za **69 zł**

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl
*** żeby skorzystać z oferty promocyjnej SLOT, przy zamawianiu prenumeraty kwartalnej na stronie powszech.net/prenumerata w rubryce „Uwagi” wystarczy wpisać numer swojego identyfikatora z dowolnej edycji Slot Art Festival.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	
Slot (13 numerów)	99 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANDRZEJ

Stasiuk:
Ojczyzna

Nigdzie nie jadę. Żadnych wakacji. Żadnych pustyń ani stepów. Najwyżej będę tęsknił. Najwyżej będzie mi się śniła spalona słońcem ziemia i niebieskawe jak woda fatamorgany. Trudno. Zostaję, żeby patrzeć na mój kraj. Tak jak w czerwcu, który już minął. Aż się pienił żądzą życia. Od czwartej, od piątej rano. Rosa i ptasi skwir. I potem czarne, topniejące powoli cienie na srebrnej trawie. Ustępujący z wolna chłód. I słodki głos wilgi gdzieś wysoko w koronach drzew. I jej szybki lot, jakby wśród zieleni błyskał żółty płomyk. I nieruchome, zimne powietrze o czwartej, o piątej rano. Jak tafla świetlistego lodu. A potem wstające zza Mareszki słońce roztapia zimne, stężałe szkło. O czwartej, o piątej rano.

Piszę o tym, bo niczego podobnego nie mogę znaleźć w gazetach. Ani w necie, a pewnie i w tiwi. Tak jakbyśmy mieli gdzieś to, skąd się wzięliśmy i dokąd ostatecznie odejdziemy. Nic tylko głupia autoerotyczna ględźba. Nic tylko trupie *selfie*. Dlatego heroicznie piszę o minionym czerwcu. Burzył się i pienił od zieloności, od jej stu odcieni. O jego wyprężonym do słońca grzbiecie. Rozciągał się nad krajem jak wszeteczne bydlę. Brał kraj w posiadanie. Zagarniał go pod siebie i upalnie dyszał. Czerwiec nad moją biedną ogłupiałą, zapatrzoną w siebie ojczyzną. Mamlającą niewyraźne zdrowaśki na własny temat. Jakby w ogóle nie wiedziała, co się wokół dzieje. Wpatrzona w lustro i zabawiająca się sama ze sobą. Można zdechnąć z nudów w takim towarzystwie.

Jezusie Nazareński, poumieramy i nawet tego nie zauważymy. To będzie tak, jakby ktoś nam wyłączył prąd i tyle. Zejdziemy ze świata bez pojęcia, że w ogóle na nim byliśmy. Zrodzeni przecież przez świat, ale wegetujący jak smętne, wydziedziczone sieroty, za jedyną pociechę mające zmultiplikowane wizerunki innych sierot. Czasami śpię w hotelach i wieczorem włączam telewizor: nic, tylko ci człekokształtni w nieustannym rozhoworze zbawiającym świat. Nic, tylko monstrualna paplanina. W końcu trafiam na opowieść z życia żółwi albo jeży, jakiś kanał przyrodniczy, i doznaję ukojenia, ponieważ życie żółwi i jeży okazuje się bardziej ludzkie od całej reszty ludzkości. Bardziej rzeczywiste.

Siedzę i patrzę, jak się chmurzy. Patrzę w ślad za minionym czerwcem, za jego monstrualną obfitością, za jego wyuzdanym przepychem. O czwartej, o piątej rano zjawiały się dwie rude sarny. Podchodziły na dwadzieścia kroków i umykały dopiero wtedy, gdy dostrzegły, że się poruszyłem. Siedzę i wyobrażam sobie apokalipsę, ten czas, gdy ostatecznie wymkniemy się z objęć pór roku i pogód. Gdy świat stanie się zbędny. Patrzę, jak niebo się zaciąga, i wyczekuję słodkiego głosu wilgi, i wypatruję jej szybkiego lotu. Drżą liście osiki. Klon, dzika grusza, jesion, świerk, modrzew, wierzba, olcha, czarny bez – wyliczam w myślach. Rosną obok siebie splecione, splątane, trudne do przebycia. To wszystko było, zanim się zjawiliśmy. To jest moja ojczyzna, myślę naiwnie oraz arogancko. Kiedyś mnie pożre, pochłonie i zamieni w coś w rodzaju wieczności.

Od lat nie mogę się uwolnić od tego obrazu: buddyjscy mnisi w lateksowych rękawiczkach wykrawają skalpelami kawałki mięsa z ciała umarłego. Rzucają je w powietrze, a krążące tuż nad nimi sępy porywają ludzkie skrawki w locie. Potem, gdy zostanie już tylko szkielet, gruchoczą go, mielą i rozsypują kostny pył na wiatr. Amen. ©

POŻEGNANIE

„Gdzież się podział krzyż? Stał się nam bramą!"

Ś.† P.

Jacek Baluch

Profesor Uniwersytetów Jagiellońskiego i Opolskiego, ambasador III Rzeczypospolitej w Czechosłowacji i Czechach, internowany w stanie wojennym za działalność opozycyjną.

Nasz Kochany Mąż, Tata, Dziadek i Pradziadek.

Zmarł 3 lipca 2019 r. w Krakowie.
Nabożeństwo żałobne zostanie odprawione w poniedziałek 15 lipca 2019 r. o godz. 13.00 w kaplicy na cmentarzu Salwatorskim, o czym ze smutkiem zawiadamiają

Żona i Rodzina

Józef Piłsudski przed frontem polskich oddziałów po zajęciu Wilna, kwiecień 1919 r.

WOJNA NIEUNIKNIONA

Rosja była wtedy naszym wrogiem.
Każda Rosja, choć na polu bitwy starliśmy się tylko z tą czerwoną.
Jak sto lat temu zaczął się konflikt polsko-bolszewicki?

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Wczesnym latem 1919 r. wojska czerwonej Rosji, ścigające rozbitą armię Ukraińskiej Republiki Ludowej (UNR), zetknęły się na Wołyniu z Wojskiem Polskim. Do większych starć nie doszło: dla obu stron ten konflikt na razie był na dalszym planie. Na razie.

Zaraz potem siły ukraińskie – zepchnięte w rejon Kamieńca Podolskiego, ale wzmocnione przez armię Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (wypartą przez nas z Galicji Wschodniej) – podjęły uderzenie na Kijów. Do miasta dotarły niemal równocześnie z armią białej Rosji, nacierającą z południowego wschodu.

Konflikt: początek

Niepodległą Polskę oddzielał zrazu od Rosji – ogarniętej wojną domową – obszar buforowy: strefa okupowana przez wojska niemieckie. Te jednak szybko wracały do ojczyzny, odsłaniając wschodni front polskiej wojny o niepodległość.

W ślad za Niemcami postępowały bowiem jednostki Armii Czerwonej. Obie strony działały w porozumieniu: Niemcy przekazywali czerwonoarmistom część broni i innych zasobów, niekiedy też na swych tyłach rozbrajali polskie samoobrony. Armia niemiecka była w dużej mierze zbolszewizowana, rewolucja w Niemczech wciąż się nie wypaliła.

Na początku lutego 1919 r. Niemcy zaczynają jednak tolerować polskie samoobrony, których starcia z czołówkami bolszewickimi pod Szczuczynem i Berezą Kartuską w połowie lutego uchodzą za początek wojny polsko-bolszewickiej.

Do końca lutego Niemcy wycofują się z Białorusi (choć jeszcze przez prawie miesiąc na tyłach wojsk polskich jechać będą niemieckie transporty z Ukrainy). Armia Czerwona zajmuje wprawdzie większą część Białorusi, ale jej główne uderzenie kieruje się na północ – ku Bałtykowi i granicy Prus Wschodnich. Zajmuje całą Łotwę (Estonia obroniła się w styczniu, dzięki wsparciu marynarki brytyjskiej) i Wilno, ale Kowna już nie. Bolszewików powstrzymują wojska litewskie (sformowane w 1918 r. pod patronatem niemieckim) i ochotnicze formacje Niemców łotewskich.

W tym czasie Polska musi skupić się na przekształceniu improwizowanych formacji z jesieni 1918 r. w siły zbrojne z prawdziwego zdarzenia. Udaje się to zaskakująco szybko.

Od Wilna do Dyneburga

Zagrożenie bolszewickie pozostaje wciąż na dalszym planie. Kluczowe są Niemcy – do czerwca 1919 r. negocjujące pokój z Francją, Anglią i USA, niechętne ustępstwom terytorialnym na wschodzie i grożące atakiem na Wielkopolskę. Tu szczęśliwie do starcia nie dochodzi, ale to front zachodni wiąże większość polskich sił do końca czerwca, gdy podpisany zostaje traktat wersalski [patrz „TP" nr 25 – red.]. Drugą co do znaczenia jest dla Polski wojna z Zachodnioukraińską Republika Ludową, także rozstrzygnięta dopiero w połowie roku.

Mimo to Piłsudski decyduje się na uderzenie na Wilno już w kwietniu, na kilka tygodni przed ofensywą na froncie galicyjskim. Siły polskie – szczupłe, ale świetnie dowodzone i działające nieszablonowo – okazują się wystarczające. 21 kwietnia zajmują Wilno.

W kolejnych miesiącach, do września 1919 r., pod naciskiem sił polskich, litewskich i niemiecko-łotewskich (naciskiem równoległym, lecz nie koordynowanym) bolszewicy muszą oddać Litwę, Łotwę i większość Białorusi wraz z Mińskiem. Nie stawiają zdecydowanego oporu: pierwszeństwo mają dla nich fronty wojny domowej.

Ostatnim akcentem tego etapu konfliktu jest zajęcie w styczniu 1920 r. Dyneburga (ważnej twierdzy). Dzięki temu Polska uzyskuje bezpośredni kontakt z Łotwą.

Rysowanie mapy

Odradzająca się Rzeczpospolita stała na stanowisku, że w XVIII w. jej państwowość została zlikwidowana nielegalnie i w związku z tym służą jej szczególne prawa na całym terytorium państwa z 1772 r., sprzed pierwszego rozbioru. Nie było to, jak można przeczytać nawet dziś jeszcze w Rosji, roszczenie do odbudowania państwa w przedrozbiorowych granicach – tak szalony nikt chyba nad Wisłą nie był. Chodziło o prawo Polski, a nie Rosji, do uregulowania ładu państwowego na tym terytorium.

Jednak w 1918 r. takie legitymistyczne stanowisko było mocno przestarzałe: w świecie przeważała już zasada samostanowienia narodów i demokratyczny pogląd, że o ładzie państwowym decydować ma wola ludów zamieszkujących określone terytoria.

Jak się zdaje, lepiej rozumiał to Roman Dmowski. Przywódca Narodowej Demokracji uznał, że Polska powinna wykroić na wschodzie takie granice, które będą obejmować możliwie duży obszar ziem o znaczącej mniejszości polskiej, aby następnie asymilować pozostałą ich ludność (jej rosnącą świadomość narodową Dmowski lekceważył).

Natomiast Józef Piłsudski – rywal Dmowskiego, piastujący funkcję Naczelnika Państwa – był bardziej zapatrzony w przeszłość i nie wyobrażał sobie Polski bez ojczystej Wileńszczyzny. Za to lepiej rozumiał problematykę narodowościową Kresów i chciał stworzenia czegoś na kształt dawnej Rzeczypospolitej: sfederowanego z Polską państwa litewsko-białoruskiego (lub dwóch państw, litewskiego i białoruskiego) oraz stowarzyszonego lub sprzymierzonego z nią państwa ukraińskiego.

Zamysł szlachetny, idealistyczny, ale – jak się miało okazać – nierealny, spóźniony o jakieś pół wieku.

Rosyjski przeciwnik

Rosja odrzucała polskie roszczenie.

Ta biała, kontrrewolucyjna, uznawała traktaty rozbiorowe za legalne i była skłonna przystać tylko na niepodległość Finlandii i Królestwa Polskiego (Kongresowego), które w carskim imperium cieszyły się autonomią (pierwsza realną, druga w 1914 r. już tylko formalną). I to bez guberni chełmskiej, tj. wschodnich powiatów Lubelszczyzny, które wyodrębniono z Królestwa tuż przed I wojną światową. Do tego biali uznawali za integralną część Rosji także Galicję Wschodnią, którą wojska carskie okupowały w latach 1914-15.

Z kolei czerwona, bolszewicka Rosja oficjalnie uznała prawo Polski do niepodległości, unieważniła traktaty rozbiorowe i gotowa była zapewnić (czy raczej: obiecać) Polsce dowolne granice... Tyle tylko, że gdy w listopadzie 1918 r. Moskwa uznała pokój brzeski z lutego tego roku za nieważny – licząc, że rewolucja w Niemczech umożliwi odzyskanie tego, co stracono w Brześciu – stało się jasne, że jakiekolwiek obietnice, a nawet zobowiązania czerwonych nic nie są warte. Bolszewicka Rosja odrzuciła europejskie zasady prawa narodów (i prawa w ogóle), z zasadą *pacta sunt servanda* na czele.

W tej wojnie naszym przeciwnikiem była więc Rosja. Każda Rosja, choć na polu bitwy starliśmy się tylko z tą czerwoną. Bolszewicy dążyli nie tyle do podboju, ↦

NAC

co do bolszewizacji Polski, a także Niemiec, Czech i Węgier. Tych w pierwszej kolejności, bo w 1919 r. nastawiali się na rewolucję światową. Biali – w razie zwycięstwa – z błogosławieństwem Anglii i Francji sprowadziliby nas do czegoś w rodzaju Księstwa Warszawskiego.

Długi cień Niemiec

W tej grze był jeszcze jeden ważny jej uczestnik: Niemcy. Pokonane na froncie zachodnim, ale przecież nie na wschodnim. Niepogodzone z utratą Wielkopolski, Pomorza Gdańskiego i Górnego Śląska. Mające własne interesy na Łotwie i w Estonii. Wiosną 1919 r. ledwie powstrzymane przez Ententę od ataku na Poznań.

Jak długo utrzymalibyśmy Kresy Zachodnie, gdyby nad Bugiem stanęła biała Rosja, ten wciąż upragniony sojusznik Francji? Czym byłaby Polska bez Lwowa i Poznania, bez Wilna i Katowic?

To wszystko dobrze wówczas wiedziano w Warszawie – nawet jeśli nie mówiono o tym wprost. Ówczesne polskie elity były znacznie lepiej wykształcone niż obecne, a znajomość historii starożytnej była znakomitą szkołą realizmu politycznego. To, że Polska nie przetrwa, jeśli nie wymusi na Rosji – w taki czy inny sposób – korzystnych dla siebie granic, było oczywiste. Także dla przeciwników Piłsudskiego.

Czerwoni w (cieniutkim) pierścieniu ognia

Na początku 1919 r. kierownictwo bolszewickie nastawia się więc na szybkie przeniesienie rewolucji do Niemiec – gdzie w marcu znów wybucha powstanie w Berlinie, a miesiąc później powstaje Bawarska Republika Sowietów (zostanie zgnieciona w maju). Ale już wiosną muszą skupić się na utrzymaniu władzy w Rosji: ze wschodu naciera armia admirała Kołczaka, na południu konsoliduje się Armia Ochotnicza, w niepodległej Estonii (u bram Piotrogrodu, kolebki rewolucji) kolejna biała armia. Przetrwanie czerwonej Rosji jest zagrożone.

Jednak bolszewicy mają istotną przewagę nad swoim wrogami. Po pierwsze: centralne położenie, które pozwala (także dzięki dobrej sieci kolejowej) na szybki przerzut wojsk oraz – jak się okaże – walkę na kilku frontach. Po drugie: kontrolę nad ośrodkami przemysłu zbrojeniowego (tylko Ural wpada zrazu pod kontrolę białych, ale zostaje odbity przez czerwonych już latem 1919 r.).

Po trzecie: determinację i zmysł polityczny, których brakuje ich przeciwnikom. Generałowie walczący z bolszewikami nawet nie próbują bowiem wyobrazić sobie Rosji innej niż ta sprzed 1914 r. (no, najwyżej w wersji republikańskiej...). Nie umieją koordynować swych działań. Wiosną syberyjskie wojska Kołczaka usiłują dotrzeć do Wołgi. Bez powodzenia: Armia Ochotnicza gen. Denikina (później: Siły Zbrojne Południa Rosji) nie wychodzi im naprzeciw. Uderzy dopiero latem i to najpierw na Kijów, a na Moskwę – dopiero jesienią. Równolegle z rejonu Pskowa uderzy na Piotrogród armia gen. Judenicza.

Bolszewicy biją jednych i drugich. Resztki armii Judenicza chronią się w Estonii, denikinowcy przetrwają na Krymie jeszcze rok. Pod koniec 1919 r. wojna domowa jest dla bolszewików wygrana (choć jeszcze nie zakończona).

Pierwszoplanowym celem staje się rozprawa z Polską.

Czy wsparliśmy Lenina?

W polskiej publicystyce często pojawia się pogląd, że Piłsudski, nie nakazując ataku na bolszewików latem i jesienią 1919 r., umożliwił im zwycięstwo nad Denikinem – czyli decydujący sukces nad siłami kontrrewolucji (jako pierwszy tezę tę postawił zresztą sam Denikin, szukając usprawiedliwienia swej klęski).

Rzeczywiście, władze Rzeczypospolitej zignorowały naciski Paryża i Londynu, by Wojsko Polskie wsparło Denikina działaniami ofensywnymi. W interesie stolic Ententy była odbudowa starego Imperium Rosyjskiego (choć w republikańskim kształcie). Ale czy było to w naszym interesie? Czy z białą Rosją było nam po drodze?

Za odpowiedź niech posłuży to, jak Denikin potraktował Ukraińców i ich aspiracje niepodległościowe. Gdy ukraińska kontrofensywa z lipca 1919 r. dotarła do Kijowa, armia Denikina zaatakowała Ukraińców – przy okazji rozpraszając swoje siły, które miały iść na Moskwę. Wprawdzie denikinowcy rozbili ukraińskie wojska Symona Petlury, ale w efekcie przegrali na decydującym – bolszewickim – froncie.

Jak zachowaliby się, wchodząc na Ukrainie w kontakt z Wojskiem Polskim? Czy nie zostalibyśmy zaatakowani, bez względu na sugestie Ententy? Moim zdaniem denikinowcy uderzyliby na nas tak, jak uderzyli na Ukraińców. Z całą bezmyślnością – nie bójmy się tego słowa – trepów, niezdolnych do myślenia kategoriami politycznymi ani strategicznymi.

Latem 1919 r. rokowaliśmy nie tylko z czerwoną, ale też z białą Rosją. Lenin oferował nam cuda-wianki, byle zyskać na czasie. Biali byli skłonni uznać jedynie niepodległość Królestwa Kongresowego i żądali, by Wojsko Polskie na wschodzie (od Wilna poczynając!) wywieszało rosyjskie flagi. O współpracy na takich warunkach nie mogło być mowy.

Ponadto od września 1919 r. polscy kryptolodzy czytali nie tylko bolszewickie depesze radiowe. Szyfr armii Denikina także złamaliśmy – i mogliśmy ocenić jej szanse na zwycięstwo. Szanse od początku znikome.

Gdyby nawet pod koniec 1919 r. Denikin zdobył Moskwę, nie byłby jeszcze zwycięzcą. Aby obalić reżim bolszewicki, trzeba było zdobyć też Piotrogród, Niżny Nowogród i Kazań, opanować przemysłowe zagłębie Uralu... Na to biały generał nie miał dość sił (liczebność jego armii w krytycznym momencie nie przekroczyła 300 tys. żołnierzy, podczas gdy bolszewicy mieli pod bronią już prawie milion). Polskie wsparcie nie przeważyłoby szali.

Nieformalny rozejm

Rosyjscy przeciwnicy bolszewików mogli zwyciężyć chyba tylko pod jednym warunkiem: gdyby przestali być kontrrewolucjonistami, gdyby zaproponowali pozytywny program demokratycznej Republiki Rosyjskiej, gdyby powstrzymali się od masowych rozstrzeliwań robotników (bo to potencjalni bolszewicy) i chłopów (bo brali pańską ziemię i rabowali dwory), od gromienia żydowskich miasteczek...

Ale nie potrafili: zawodowi rosyjscy oficerowie, często czarnosecińcy, dzielni żołnierze, ale beznadziejnie osieroceni po upadku monarchii – myśleli kategoriami przywrócenia ancien régime'u sprzed 1914 r., a nieraz po prostu zemsty. Dopiero następca Denikina, gen. Piotr Wrangel, coś z tego zrozumiał. Jednak było za późno.

W krytycznym momencie Wojsko Polskie miało kontakt z Armią Czerwoną tylko na froncie północnym. Na Ukrainie bolszewicy – wyparci w lipcu na wschód – dotarli do polskich linii dopiero po tym, jak pobili Denikina. Prawda, mogliśmy

uderzyć na północy, wesprzeć Judenicza, ścigać bolszewików aż do Piotrogrodu... Ale czy zapobiegłoby to klęsce Denikina? Raczej nie. A my zużylibyśmy znaczną część zapasów mobilizacyjnych, zwłaszcza amunicji, której w ówczesnej Polsce nie produkowano. Zabrakłoby ich rok później, latem 1920 r.

Ktoś może powiedzieć, że to gdybanie. Ale tak właśnie muszą myśleć sztaby (przynajmniej te dobre): co może pójść źle, na jak długo starczy sił.

Tak czy owak, latem i jesienią 1919 r. na froncie polsko-bolszewickim panował nieformalny rozejm. Trudno powiedzieć, na ile wspomógł on działania Armii Czerwonej. Na pewno wspomogło je oświadczenie polskiego negocjatora w październiku, że nie zaatakujemy pod Mozyrzem. Pozwoliło to dowództwu czerwonych wyciągnąć z „polskiego" frontu elitarną jednostkę strzelców łotewskich, która odegrała znaczącą rolę w powstrzymaniu Denikina.

Czy to oświadczenie było potrzebne? A może chodziło trochę o to, by czerwoni Łotysze skrwawili się przed kampanią 1920 r.? Jeśli tak, nie chybiliśmy celu: strzelcy łotewscy nie wzięli udziału w tej kampanii.

Walna rozprawa

Powtórzymy: sto lat temu bolszewicy wciąż nie rezygnowali z wznieceniа rewolucji w Europie, najpierw w Niemczech. Rzeczpospolita stała im na drodze.

I tak, jak oczekiwano i planowano po obu stronach frontu, główne starcie nastąpiło na strategicznej osi Smoleńsk–Warszawa, na północ od bagnistego Polesia (wówczas bariery nie do przejścia dla wojsk, dzielącej teatr działań bojowych na dwie części). Ale front ukraiński, strategiczna oś Kijów–Kraków, też był istotny. Wiosną 1920 r. Armia Czerwona szykowała się do ofensywy również tam: Armia Konna Siemiona Budionnego została skierowana na „polski" front, zanim jeszcze w kwietniu 1920 r. ruszyła polska ofensywa na Ukrainie (właściwie: polsko-ukraińska, bo Petlura stał się naszym sojusznikiem).

Tzw. wyprawa kijowska Piłsudskiego była w istocie uderzeniem wyprzedzającym, mającym odepchnąć bolszewików na wschód. Nastąpiłaby także bez porozumienia z Petlurą i UNR. Wprawdzie nie udało się rozbić sił bolszewickich stacjonujących na prawym brzegu Dniepru, ale odepchnęliśmy je o paręset kilometrów. Zyskaliśmy przestrzeń i czas.

Rosyjscy generałowie walczący z bolszewikami nie mogli być naszym sojusznikiem.

Większość nie wyobrażała sobie Rosji innej niż ta sprzed 1914 r. Gdyby wygrali, sprowadziliby Polskę do czegoś w rodzaju Księstwa Warszawskiego.

Potem stanęliśmy na granicy klęski. Armia Czerwona dotarła do bram Torunia, Warszawy i Lwowa, a jej agentura w europejskich związkach zawodowych sparaliżowała dostawy broni dla Polski. Co najmniej nieprzyjazne było też stanowisko Czechosłowacji i Niemiec.

Zwycięstwo przyniósł splot kilku czynników – jak najwyższy wysiłek i ofiarność wojska, od Wodza Naczelnego po szeregowców (czasem walczących bez butów, bo tych dramatycznie brakowało), nieudolność i zadufanie nieprzyjaciela, wreszcie transporty węgierskiej amunicji, które dotarły pod Warszawę w ostatniej chwili. Zdołaliśmy nie tylko pokonać, ale rozgromić Armię Czerwoną – najpierw pod Warszawą, potem nad Niemnem (dzieje kampanii 1920 r. są warte osobnego opisu, w stosowniejszym czasie).

Jednak wygraliśmy tylko kampanię. Czerwona Rosja była wciąż silniejsza od nas i mogła wznowić wojnę w 1921 r. Koniecznie potrzebowaliśmy wytchnienia, pokoju. I ten pokój wynegocjowaliśmy, wciąż jako zwycięzcy – choć kosztem federacyjnych marzeń Piłsudskiego i kosztem zerwania sojuszu z Ukraińcami. Nowa granica odpowiadała w przybliżeniu wschodniej granicy Rzeczypospolitej z 1793 r., po drugim rozbiorze.

Wojna hybrydowa 1919

Bolszewicka Rosja akceptowała niepodległość Polski, ale tylko Polski bolszewickiej (podobnie jak bolszewickiej jedynie Ukrainy czy Gruzji). I to niepodległość polegającą na istnieniu autonomicznego kierownictwa partyjnego i prawie do używania lokalnego języka w urzędach, ale nie na posiadaniu odrębnej armii, o organach bezpieczeństwa nie wspominając.

Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, powołana w grudniu 1918 r., była nawet nie sojusznikiem, lecz narzędziem czerwonej Moskwy. Partia ta od początku głosiła konieczność powołania w Kongresówce i Galicji Zachodniej republiki sowieckiej (albo dwóch republik), które miały wejść w skład bolszewickiej Federacji Rosyjskiej (pomysł Związku Sowieckiego jest późniejszy). A więc znów: Polska bez Lwowa, Poznania i Katowic (dwa ostatnie miasta miały być domeną niemieckich towarzyszy).

Dodajmy, że już w styczniu 1919 r. za frontem powstała Rewolucyjna Rada Wojenna Polski (tzw. Riewwojensowiet) – przyszły (za)rząd sowieckiej Kongresówki. Polscy bolszewicy na tyłach sabotowali wysiłek wojenny kraju wszelkimi sposobami. Była to w istocie wojna hybrydowa – rozpoczęta na długo przed tym, zanim doszło do starcia wojsk (tyle tylko, że taki termin wówczas nie istniał).

Niezależnie od tego, co chcieli Piłsudski i Dmowski – ta wojna była nieunikniona.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 545/16/S, z wniosku Gminy Miejskiej Kraków, przy uczestnictwie Elżbiety Góry-Kasprzyk, o stwierdzenie nabycia spadku po Bogusławie Jacku Zaszczudłowiczu, s. Władysława i Ireny, ur. 17 sierpnia 1949 r. w Krakowie, zm. 5 lipca 2015 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałym w Krakowie przy ul. Józefa 18/9.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MYŚLEŃSKI: JĘZYK MÓZGU

Czy myślimy za pomocą słów, czy obrazów? Z czego składają się nasze myśli? I skąd moglibyśmy się dowiedzieć, jak to właściwie jest?

MARCIN MIŁKOWSKI

Spór o rolę obrazów i słów w myśleniu rozpalał głowy psychologów już pod koniec XIX w. Chcieli rozstrzygnąć sprawę w sposób, wydawałoby się, oczywisty: pytając ludzi o to, w jaki sposób myślą. Wkrótce się jednak okazało, że różne laboratoria psychologiczne dochodzą do rozbieżnych wniosków, a – co gorsza – wyników badań nie da się łatwo powtórzyć w innym laboratorium. Doprowadziło to do kryzysu metody introspekcyjnej (opartej na opisie własnych stanów mentalnych) w psychologii, a w USA – do powodzenia behawioryzmu, który skupiał się na badaniu zachowania. Jedynie nieznaczną jego cząstką były sprawozdania słowne badanych w eksperymentach.

Pytanie jednak pozostało. Podejmowali je też twórcy i teoretycy kognitywistyki, którzy starali się wyjaśnić różnego rodzaju zjawiska poznawcze, od rozumowania, podejmowania decyzji, przez rozwiązywanie problemów, po postrzeganie czy orientację w otoczeniu. Dopiero jednak w 1975 r. społeczność naukową zelektryzowała książka amerykańskiego filozofa, Jerry'ego Fodora, „The Language of Thought". Dowodził w niej, że wszyscy, i to bezwiednie, myślimy za pomocą języka myśli – czyli myśleńskiego (*Mentalese*), jak go nazywał. Tak jak pan Jourdain ze sztuki Moliera zadziwił się, że mówi prozą, tak też psychologowie zdumieli się, że ich teorie wymagają istnienia języka myśli. Rzecz w tym, że cechy tego języka prowadziły do koncepcji, którą Fodor sam uważał za praktycznie bliską nonsensu. Podkreślał jednak, że jest bezkonkurencyjna.

MARTIN BARRAUD / GETTY IMAGES

Stosunek do hipotezy istnienia języka myśli do dzisiaj dzieli kognitywistów na dwa wrogie obozy: tych, którzy z wahaniem uznają, że być może hipoteza daje się obronić, oraz tych, którzy prędzej dadzą się posiekać, niż przyznają rację Fodorowi. Bo wcale niełatwo tej hipotezy bronić, mimo że za jej odrzucenie trzeba też zapłacić słoną cenę.

Wrodzone gaźniki

Mając do wyboru niepewny los w zespole lingwisty Noama Chomsky'ego na MIT i pewne zatrudnienie na jednym z czołowych amerykańskich uniwersytetów, Fodor wybrał Chomsky'ego. To właśnie w jego zespole młody filozof pracował wraz z Jerroldem Katzem nad teoriami znaczenia językowego, będącymi rozwinięciem uniwersalnej gramatyki [o której pisaliśmy w „TP" 10/2019 – red.].

Fodor był także zwolennikiem argumentu za wrodzonością gramatyki, głoszącego, że dzieci nie mogą opanować języka na podstawie samego doświadczenia, gdyż nie dostają wystarczająco wiele bodźców językowych. Dane językowe są zbyt ubogie; gramatyka musi być więc wrodzona. Zdaniem Fodora podobnie można argumentować za wrodzonością języka myśli.

Najlepsze teorie uczenia języka, powiada Fodor, opisują je jako proces stawiania hipotez. Dziecko musi na przykład postawić hipotezę, że ciąg brzmień zapisywany przez nas w alfabecie łacińskim jako „kot" oznacza kota. Nie można jednak postawić hipotezy, nie formułując jej – a do jej sformułowania niezbędny jest język. A zatem musimy dysponować wrodzonym językiem myśli, aby opanować każdy język naturalny: polski, angielski, rosyjski czy chiński. A to znaczy, że wszyscy mamy wrodzony język myśli.

Ten argument jest trudny do odparcia, ale dopiero kolejny krok Fodora wzbudza zdumienie i grozę wśród jego krytyków. Fodor zauważa, że nie potrafimy zdefiniować prawie żadnego elementarnego pojęcia. Łatwo zdefiniować pojęcia złożone: pojęcie BIAŁA KSIĄŻKA (w notacji Fodora nazwy pojęć w umyśle, w odróżnieniu od nazw pojęć – czyli terminów – w języku, zapisujemy wersalikami): jest to coś, co jest białe i jest książką. Czasem oczywiście zasady łączenia nie wystarczają, bo KRZESŁO ELEKTRYCZNE to nie tylko coś, co jest krzesłem i jest elektryczne, ale ogromnie wiele pojęć złożonych można rozłożyć na składniki. Jak jednak rozłożyć na składniki pojęcie KRZESŁO? To pozornie łatwe zadanie jest sztandarowym przykładem na każdych zajęciach z elementarnej logiki poświęconych definiowaniu, bo okazuje się, że wcale nie wiadomo, co jest istotą krzesła: może mieć i jedną nogę, i cztery, a w ogóle może być na kółkach. Musi mieć oparcie, bo inaczej jest taboretem, ale jeśli ma kilometr wysokości, czy nadal jest krzesłem? A może wtedy to rzeźba? Fodor w badaniach prowadzonych później z Janet Dean, żoną i lingwistką, pokazał w dodatku, że ludzie łatwo rozpoznają przykłady prostych przedmiotów, nie potrafiąc kompletnie sformułować ich definicji. Wiemy, czym są krzesła, ale nie wiemy, jak je zdefiniować. Jak to możliwe? Jest tak dlatego, że te pojęcia są wrodzone.

Tyle że tych pojęć wrodzonych jest więcej, niż mogłoby się nam wydawać. Przykład Fodora z lat 70. wydaje się niedorzeczny: otóż powiada on, że nikt, kto jeździ samochodem, nie zdefiniuje pojęcia GAŹNIK, ale każdy rozpozna gaźnik. Dlatego pojęcie GAŹNIK, podobnie jak pojęcie KSIĄŻKA, DOBRO czy KRZESŁO, jest wrodzone. To znaczy, że mamy wrodzone pojęcia oznaczające wszystkie powszechnie znane wynalazki techniki. O zgrozo, argument prowadzi do wniosku, że Arystoteles miał wrodzone pojęcie GAŹNIK.

Pojęcie wrodzoności Chomsky i Fodor rozumieją w sposób dosyć swoisty. Wrodzone jest to, co nie jest wyuczone. Oczywiście, pojęcie GAŹNIK nabywamy: musimy opanować język polski, aby znać brzmienie tego słowa i wiedzieć, do czego się ono odnosi – ale w naszym wewnętrznym języku musi być symbol elementarny, który mu odpowiada. Inaczej byłaby to konstrukcja, którą można analizować jako złożoną z dwóch lub większej liczby symboli.

Innymi słowy, mimo że język myśli jest wrodzony, to okazuje się, iż nie oznacza to, że wrodzone są wszystkie związki słów ze światem. Czym więc jest ten wewnętrzny język?

Od nieskończoności do kodu myślenia

Jedną z kluczowych cech języka, na którą wskazuje Chomsky, jest produktywność: fakt, że możemy wytworzyć i zrozumieć potencjalnie nieskończoną liczbę wypowiedzi. Behawioryzm zakładał, że uczenie języka zachodzi drogą warunkowania. Warunkowanie dotyczy pojedynczych wypowiedzi, skoro jednak te się praktycznie nie powtarzają, to Chomsky stwierdza: nie ma mowy o zrozumieniu uczenia języka bez zrozumienia wewnętrznej struktury wypowiedzi.

Fodor podziela założenia Chomsky'ego, ale odnosi je do myśli. Możemy pomyśleć potencjalnie nieskończoną liczbę myśli – nie dlatego, że nasze umysły są nieskończone, ale dlatego, że tworzymy je wedle swoistej gramatyki wewnętrznego kodu ↦

↦ służącego do myślenia. Ten kod bowiem cechuje się dwiema kluczowymi własnościami. Zawiera elementarne symbole łączące się wedle odpowiednich reguł, a więc jest kompozycyjny, a w dodatku istnieją systematyczne związki między konstrukcjami w tym kodzie, które wymagają, że każdy, kto potrafi pomyśleć „Jaś kocha Małgosię", musi być w stanie myśleć też „Małgosia kocha Jasia" (choćby nawet go nie kochała, chodzi wyłącznie o możliwość stworzenia takiej myśli). Innymi słowy, gdybyśmy byli w stanie pomyśleć jedną myśl, ale nie drugą, to nasze myślenie byłoby dosyć osobliwe. Prawdziwe myślenie cechuje się jednak kompozycyjnością i systematycznością, dzięki czemu może być produktywne w sensie Chomsky'ego.

Te dwie cechy zaś myślenia, zdaniem Fodora, da się wyjaśnić tylko przy założeniu, że myśl sama odbywa się w wewnętrznym języku myśli. Ten wewnętrzny kod ma swoją własną gramatykę, która pozwala wyrażać dowolną myśl w języku naturalnym. Nie jest jednak językiem narodowym – przypomina raczej formalne języki logiki, służące do analizy poprawności rozumowań w języku potocznym, lecz mające własną strukturę gramatyczną oraz logiczną. Ta trzecia własność kodu myśli dla Fodora jest kluczowa.

Każdy, kto potrafi poprawnie wyciągać wnioski, czyni to zgodnie z regułami logiki. Co więcej, każda racjonalna osoba stara się przynajmniej zachować spójność logiczną i nie neguje przypadkowo tego, co twierdzi wcześniej. Jak to jest możliwe? Fodor powiada: nie mamy innego wyjaśnienia tego, że potrafimy wyciągać prawdziwe wnioski z prawdziwych przesłanek, niż to, że same te wnioski formułujemy w czymś, co przypomina język logiki, bo zawiera reguły wnioskowania.

Te reguły wnioskowania nie muszą być uświadamiane. Nawet sam język myśli nie jest uświadamiany i nikogo nie można spytać, jakie symbole ma jego język myśli. W tym sensie Fodor zupełnie nie wchodzi w stary spór introspekcjonistów o to, jak myślimy. Język myśli jest poniekąd przed nami ukryty: używamy go, ale nie wiemy jak.

Jeśli jednak to wszystko prawda, to znaczy, że psychologia powinna skoncentrować się na badaniu działania kodu myśli w wewnętrznej, obliczeniowej architekturze naszego umysłu. Tylko że pojawiają się trzy zasadnicze wątpliwości: czy na pewno myślenie odtwarza strukturę języka, skoro potrafimy tworzyć obrazy w myślach, czy to wzrokowe, czy to muzyczne lub słuchowe? Co więcej – skąd wiadomo, że myślenie w ogóle opiera się na symbolach? Trzecia wątpliwość dotyczy tego, czy na pewno można w sposób pewny wnioskować o mechanizmach myślenia na podstawie naszych wypowiedzi w języku.

Myśleński nie może występować jako podstawa wszelkiego myślenia. Upada główny argument Fodora, że nie ma dla jego teorii konkurencji. Otóż jest **– teoria oparta na sieciach neuronowych.**

Spór o wyobrażenia

Jednym z najgorętszych sporów w psychologii poznawczej w latach 70. był spór o wyobrażenia umysłowe, np. pojawiające się przy odpowiedzi na pytanie, czy rysunek na sąsiedniej stronie przedstawia rzut tej samej trójwymiarowej figury geometrycznej.

Roger Shepard i Jacqueline Meltzer wpadli w 1971 r. na pomysł, aby zbadać szybkość, z jaką badani odpowiadają na to pytanie. Okazało się, że tym wolniej, im większy jest kąt obrotu figury w myślach. Z tego wysnuto wniosek, że myślenie musi opierać się na obrazach.

Okazało się wkrótce, że zależność taka nie jest idealna – zależy to też od wielkości figury, jej skomplikowania oraz instrukcji. Przeciwnik idei myślenia obrazami i współpracownik Fodora, Zenon Pylyshyn, pokazywał niestrudzenie, że te same zadania można wyjaśniać także w kategoriach języka myśli. Praktycznie do końca lat 70. sądzono, że sporu tego nie da się rozstrzygnąć, a dopiero badania z użyciem neuroobrazowania zaczęły przechylać szalę na stronę obrazów: okazało się, że obszary mózgu odpowiedzialne za obroty w myśli w dwóch trzecich pokrywają się z obszarami odpowiedzialnymi za postrzeganie wzrokowe.

Fodor zaczął powoli przyznawać, że być może istnieją myśli o charakterze obrazowym, które nie mają własności języka, bo nie są kompozycyjne. W drugiej książce na temat myśleńskiego, „Język myśli: LOT 2" (wydanie polskie: PWN 2011) stara się nawet zrozumieć zasady, na mocy których obrazy umysłowe mogą opisywać rzeczywistość.

A więc myśleński to nie wszystko.

Symbole myśleńskiego

Trudniejsze jest powiedzenie, skąd wiemy, jakie symbole ma myśleński. Problem wydawałby się prosty, gdyby język myśli odzwierciedlał ten naturalny. Ale i w języku naturalnym nie zawsze wiadomo, gdzie kończy się jeden wyraz, a zaczyna następny. Spacja w druku niekiedy jest zupełnie arbitralna: piszemy „na opak", chociaż nigdy nie mówimy o samych opakach.

Niemniej gramatyka myśleńskiego to nie kopia gramatyki polszczyzny (nawet gdybyśmy ją umieli całkowicie sformułować w kategoriach matematycznych), gdyż jest on w teorii Fodora raczej rachunkiem logicznym stojącym u podłoża myślenia. Rachunki logiczne definiuje się, określając, jak wygląda składnia poprawnie zbudowanych wyrażeń w tych rachunkach. Znamy więc kształty symboli logicznych oznaczających na przykład zdania oraz operatory logiczne takie jak koniunkcja czy alternatywa. Definiujemy reguły ich łączenia i mamy przepis na budowę poprawnej formuły, bo ma ona postać graficzną. W dodatku wiemy, że takie rachunki mogą być przetwarzane przez komputery – co pozwala Fodorowi połączyć hipotezę istnienia języka myśli z obliczeniowym podejściem do umysłu.

Ale przecież Fodor nie uważa, że w neuronach w mózgu widać wyryte operatory logiczne i nazwy zmiennych w alfabecie łacińskim. Te operatory muszą zostać jakoś zakodowane dla mózgowego komputera. Problem w tym, że jeśli – jak uważa większość zwolenników istnienia myśleńskiego – jest on jakoś zakodowany w neuronach, to nie wiadomo, jak jego symbole odróżnia mózgowy komputer. Kłopot też w tym, że jeśli zdefiniujemy kod myśleńskiego w kategoriach neuronalnych, to nie ma pewności, czy, po pierwsze, każdy mózg ma taki sam kod (eksperymenty z dekodowaniem np. sygnałów z kory wzrokowej wskazują, że raczej nie), a po drugie, utrudniają Fodo-

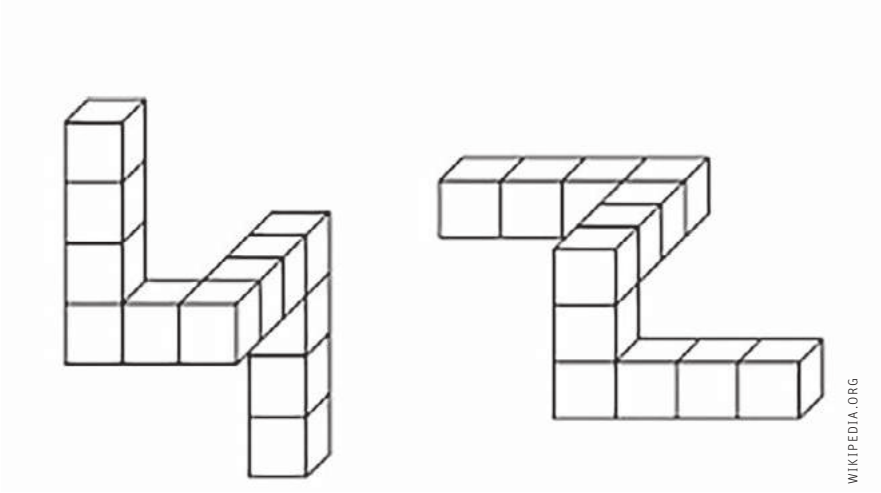

Czy rysunek przedstawia rzut tej samej figury geometrycznej? U badanych postawionych przed takim pytaniem aktywują się obszary kory wzrokowej, co sugeruje, że ich myśli mają charakter obrazowy.

rowi twierdzenie, że każda myśląca istota musi być wyposażona w myśleński.

Fodor broni funkcjonalizmu, czyli teorii, że umysł nie jest tożsamy z mózgiem, lecz powinien być rozumiany jako obliczeniowa funkcja realizowana przez mózg, ale równie dobrze przez inny wystarczająco mocny układ obliczeniowy, np. komercyjnie produkowany komputer czy narząd myślenia u Marsjan. Nie ma jednak gwarancji, że każda istota myśląca w ogóle będzie miała mózg – a więc kodu myśleńskiego nie da się definiować w kategoriach struktur neuronalnych.

Pozostaje definicja bardziej abstrakcyjna, np. jako rola symbolu we wnioskowaniach obsługiwanych przez komputer. Ta jednak prowadzi do innej skrajności – każdy, kto choć trochę inaczej myśli ode mnie, wykona inne wnioskowania, a więc będzie mieć zupełnie inne symbole.

Podobne tworzy podobne?

Fodor sądzi, że na podstawie wytworu mechanizmu psychicznego można wywnioskować jego strukturę, i to bez wahania. Zwolennicy sieci neuronowych, których Fodor krytykował, stwierdzając, że ich modele myśli nie są w stanie przejawiać kompozycyjności i systematyczności, pokazują jednak, że wypowiedzi mogą być tworzone przez coś, co nie przypomina tradycyjnego komputera. Na przykład Tłumacz Google oparty na sieciach neuronowych na pewno nie spełnia wymagań Fodora co do systematyczności i kompozycyjności, bo nie posługuje się logiką do tworzenia tłumaczeń. Wytwarza jednak całkiem dorzeczny tekst.

Co ciekawe, sieci neuronowe mogą jedynie w pewnym przybliżeniu cechować się kompozycyjnością, przez co pokazują, że bez kodu opartego na symbolach – a więc odzwierciedlającego coś w rodzaju klasycznej logiki lub gramatyki formalnej Chomsky'ego – można generować struktury informacyjne służące do realizacji zadań poznawczych.

Co z tych wszystkich trudności wynika? Przede wszystkim to, że myśleński nie może występować jako podstawa wszelkiego myślenia, a przy tym upada główny argument Fodora, że nie ma dla jego teorii konkurencji. Otóż jest – to teoria oparta na sieciach neuronowych, tzw. koneksjonizm. A przede wszystkim, nawet gdybyśmy potrafili jednoznacznie wyznaczyć granice symboli myśleńskiego, na tym trudności się nie kończą.

Jeśli język myśli to twór czysto składniowy – i tylko składnia jest wrodzona, co wielokrotnie podkreśla Fodor – to na czym polega stawianie hipotez dotyczących znaczenia wyrażeń w języku naturalnym? Przecież te hipotezy nic nie mogą znaczyć same z siebie. Są wyłącznie tworami składniowymi. Albo więc język myśli nic nie znaczy, ale wówczas nie może służyć do stawiania hipotez, bo nie można odróżnić hipotezy prawdziwej od fałszywej (poza ewentualnym znalezieniem sprzeczności na poziomie składniowym). Albo jego znaczenia są wrodzone, ale wówczas nie wiadomo, jakim cudem Arystoteles miałby wrodzone i sensowne pojęcie GAŹNIK, zanim powstały gaźniki. Zdaniem krytyków hipoteza wrodzonego języka myśli pozornie rozwiązuje problem znaczenia: wydaje się, że musi być ono wrodzone, ale nie ma prawa być wrodzone.

Wiele formatów myśli

Czy myślenie nie wymaga więc czegoś w rodzaju języka? Do przeprowadzania wnioskowań niezawodnych, które możemy opisywać w kategoriach logiki klasycznej, nie potrzebujemy kursu logiki. Po prostu to robimy. Pytanie brzmi, czy myślenie musi mieć językową składnię, aby to następowało.

Być może ta składnia pochodzi z języka naturalnego, który w pewnym momencie opanowujemy. Tak twierdzą zwolennicy i dzisiejsi kontynuatorzy psychologa rozwojowego Lwa Wygotskiego, który w pierwszej połowie XX w. pokazywał, że dzięki opanowaniu języka dzieci wytwarzają mowę wewnętrzną. Ona zaś pozwala im planować znacznie bardziej skomplikowane czynności czy zabawy.

Tylko że dzieci są w stanie wnioskować, zanim nauczą się mówić. Wnioskują też zwierzęta, które w ogóle nie mówią. Język myśli nie może być tylko kulturowy.

Współczesna psychologia porównawcza i poznawcza skłania się do ograniczenia zakresu teorii języka myśli. Nawet Fodor i Pylyshyn przyznali, że myślenie może przebiegać z wykorzystaniem innego rodzaju struktur informacyjnych w umyśle. Do dziś jednak mamy jedynie spekulacje, jak tego rodzaju struktury mogą być łączone w myśli z myśleniem mającym strukturę językową. Brak też bezpośrednich dowodów, że myśl ma strukturę językową – zwłaszcza u zwierząt czy niemowląt. Argumenty Fodora tylko uprawdopodabniają hipotezę języka myśli, ale produktywność myślenia nie wymaga języka jako takiego, a jedynie możliwości łączenia prostych składników myśli w myśli złożone.

Przeciwnicy koncepcji myśleńskiego uważają, że rozumowanie nie musi wymagać języka myśli. Kruki, które rozwiązują problemy, zaginając haczyki stosownie do sytuacji, niekoniecznie muszą kodować informacje o problemie w postaci zdań. Możliwe, że stawiają hipotezy w postaci obrazów.

Hipoteza języka myśli pozostaje negatywnym punktem odniesienia wszelkich nietradycyjnych podejść w kognitywistyce, które podkreślają rolę ciała, działania, środowiska – w tym kultury czy społeczeństwa – w poznaniu. Lecz nawet te podejścia muszą odpowiedzieć na pytanie, dzięki czemu możemy pomyśleć potencjalnie nieskończenie wiele myśli na dowolny temat. Odżegnać się od ekscesów z wrodzonością gaźników jest łatwo, ale trudniej powiedzieć, co istnieje w zamian.

© MARCIN MIŁKOWSKI

INWAZJA PORYWACZY POLSKI

Wilkołak powinien być szlachcicem, wampir hrabią, a upiór choćby i królem. Tymczasem zombie to plebs. W sztuce horroru dokonała się rewolucja proletariacka i dotarła również do nas.

ELIZA KĄCKA

Wpożyczonym z warszawskiej Biblioteki Uniwersyteckiej egzemplarzu książki Marii Janion „Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś", wśród gęsto poznaczonych ołówkiem przez pracowitą studenterię stron widnieje biała plama: szkic sprzed ćwierć wieku „Beethoven i Casino de Paris". Żaden ołówek nie podkreślił zdania: „Nikt już nigdy nie pozbędzie się kultury masowej". To się wie, a w przypadku wątków, o których tu będzie mowa, udział popkultury jest niepowątpiewalny.

Flirt literatury, by na niej poprzestać, z kiczem dawno już nie jest flirtem, tylko sakramentalnym małżeństwem z klauzulą nierozerwalności. A powieść Jacka Dehnela o zaczerpniętym od Janion tytule „Ale z naszymi umarłymi" bierze w rachubę te „małe niedole życia małżeńskiego", na jakie związek ów nieuchronnie wystawia.

Czas Rapczeru

„Nasi umarli" z tej powieści to – trzeba wyjawić – zombie. Pewność tego utożsamienia zapowiada już pierwsze słowo tytułu-cytatu: „ale". Cokolwiek byś czynił, co zamierzał, co zaświta ci, luby czytelniku, w głowie, zawsze zjawi się tłum umarlaków i upomni o swoje. „Ale" znaczy więc: „ale od nas się nie odczepisz". Kroiło się na to od dawna. Uzasadnienie – na wszelki wypadek – wpisałam w wyszukiwarkę, i wyszło: „»Ciężko wyznać: na taką miłość nas skazali taką przebodli nas ojczyzną«. Autor: Zbigniew Herbert. Ten wiersz przeczytano 19160 razy". Z czego wniosek, że projekt związku uczuć narodowych z kulturą masową nader często owocuje kiczem. Ów kicz właśnie pragnie Dehnel okiełznać, a co z tego wyszło, zobaczymy.

Powieść, mocno brawurowa, ma swoje zalety, o czym też potem, i wady. Pierwszą z nich jest umieszczenie akcji w Krakowie. Niby wiadomo, Kraków miasto strupieszałe: „Arcana", krypty wawelskie, witraże Wyspiańskiego, niepodważalne świadectwa Żeromskiego, Brzozowskiego, Wyspiańskiego, Boya i tak dalej – ale kudy mu do Warszawy. I całego Mazowsza, na którego to ziemiach trupy wstawały odwiecznie, czego dowodzi pieśń ludowa (I połowa XIX wieku):

Umarł Maciek, umarł, i leży na desce,
Gdyby mu zagrali, zatańczyłby jeszcze,

SANDRO KOPP / SONY PICTURES CLASSICS

Tilda Swinton w scenie z filmu „Tylko kochankowie przeżyją", 2013 r.

Bo w Mazurze taka dusza,
Że choć umarł, to się rusza,
Oj dana-dana-dana, dana daana!

Jako pierwszy podniósł to zjawisko nie byle kto, bo ordynat opinogórski Zygmunt hrabia Krasiński (powieść „Mściwy karzeł i Masław, książę mazowiecki", 1828). Jacek Dehnel jednak musiał ominąć Mazowsze, a zwłaszcza Warszawę, bo tam właśnie przed siedmiu laty usytuował swą współczesną zombistyczną powieść polską „Noc żywych Żydów" Igor Ostachowicz. Nie było to dzieło, oj, udane, choć narobiło szumu. Słowem, książkę o trupiej rewolcie trzeba było ulokować, niestety, gdzie indziej.

Drugie zastrzeżenie zgłaszam do biegu wydarzeń, który w niepowstrzymany sposób zdąża do końca świata.

Przeszedłszy w powieści Dehnela do akcji, zombiaki wsiech stran, już nieprzeliczone (uwaga, *spoiler*!), nie na żarty wygryzają żywych do cna – z bohaterami głównymi na ostatku. Skoro nawet Irzykowski radził wytrawnym pisarzom, i ja się ośmielę: otóż po wyżej zarysowanym finale, miast słowa „Koniec" winna się była zjawić klauzula: „Koniec tomu pierwszego". Kolejny zaś mogłoby rozpoczynać zdanie: „Choć zaraz nazajutrz, jak to w naszej Polsce, wszyscy zapomnieli o całym wydarzeniu i poszli sobie dalej, ↦

jest obowiązkiem kronikarza przypomnieć pewne fakty" (spisane z „Wielkiego dnia" Andrzeja Struga). Rzecz jasna, populacja byłaby już zazombiona, lecz nic by to nie zmieniło. Dopiero wtedy wymowa satyryczna książki zajaśniałaby pełnym blaskiem.

Jako powieść „Ale z naszymi umarłymi" usiłuje – ze zmiennym szczęściem – pożenić z sobą dwie ambicje, z których każda odwołuje się do innego z talentów Jacka Dehnela (a właściwie Dehnela i Piotra Tarczyńskiego, gdyż obaj, jak zdradza posłowie, planowali to dzieło od lat ośmiu). Pierwsza skupia się w łagodnie ironicznej wizji dni powszednich pary trzydziestoletnich gejów, ściśle w duchu niezapomnianych traktatów Grzegorza Musiała na łamach „Res Publiki". „Sączy się wódkę z colą, która oczom dodaje blasku, i słucha Grubych Niemek, które od półwiecza śpiewają, że w życiu chodzi wciąż o to samo. Być razem. Nienawidzić się i kochać. (...) Wśród mamucich bloków, których czarne, ślepe ściany błyskają do późna w noc okienkami samotnych, ludzkich oaz" („Wykład o gapiszonach", „Res Publica" 9/1988). Wszystko ponoć płynie, lecz ów styl trwa. Tyle że tu jesteśmy w częściowo odnowionej kamienicy na Rynku Podgórskim, nim jej mieszkańców porwie zabójczy wir zdarzeń.

Druga ambicja ma związek z rozpoznaniem, że spora część prozy służy obudowaniu właściwej ideowej pestki, pod którą podprowadza fabuła, punkt widzenia, charaktery i inne pisarskie sztuczki. U Dehnela ku temu centrum wiedzie fakt, że zagłada ludzkości z postrzępionych rąk i wygniłych paszcz żywych trupów wszczyna się i rozchodzi na cały świat właśnie z Polski.

I oto czytamy, że nim jeszcze zabiegany reporter krakowskiej telewizji Kuba i jego partner, leniwy doktorant Tomek, pojęli grozę sytuacji, a więc w chwili tak jakby obecnej, coś wielce im dolegało. To mianowicie – informuje narrator – że w życiu politycznym „im bardziej jedna strona dokręcała śrubę patosu, chorągwi, staropolszczyzny i wernyhorzenia, tym druga goręcej odbijała w kpiny. Ci, którzy kiedyś starali się powściągliwie komentować te »dziwne, szczególne wydarzenia«, teraz mieli dość i lecieli grubymi żartami, zupełnie jakby usiłowali złapać haust powietrza. Ta mieszanina trupiego odoru, narodowego kadzidła i zatęchłej wody święconej była nowym polskim smogiem. Jedni nauczyli się nim oddychać, ba, wręcz od niego rozkwitali, drudzy się dusili. Oni należeli do tych drugich". Tuż potem ilustruje to dialog:

„– Nie masz wrażenia, że to rośnie, że nabrzmiewa, że nie jest po prostu tak o, tylko do czegoś doprowadzi? – zapytał Tomek (...). Elżunia mi dziś mówiła, że szła normalnie Plantami i rzuciły się na nią dwie takie, że jest ladacznicą i że czas Rapczeru jest bliski.

– Ale czemu?

– Bo nie miała sukni do kostek, nie wiem. Po prostu czuję, jak to wszystko się zmienia, jak ludzie przechodzą na drugą stronę. Coś im przeszkadzało, jak nam, i nagle nie przeszkadza. Czegoś się wstydzili i już się nie wstydzą.

– Czasem nawet są dumni".

Na uwagę zasługuje myśl, że apokaliptyczne lęki miłych gejów i apokaliptyczne nastroje najszerszej zbiorowości, bez reszty sobie obce, oświetlają się i potęgują nawzajem. Nie mniej zręcznie przedstawia Dehnel proces narastania zbiorowej wiary, że inwazja „antenatów" stanowi zapowiedź rzeczy ostatnich. Że anonsuje to, co w powieści, w żargonie chicagowskich Polonusów, zyskało nazwę „Rapczer" (*rupture*).

Od pierwszych sporadycznych zmartwychwstań w zgęszczaniu tych klimatów główną rolę odgrywają u Dehnela media, zwłaszcza wyznaniowe: „To była żyła złota i nawróceń, czy, jak twierdził pewien wpływowy proboszcz, nasz skarbiec duchowy, a także wspaniały dar zmarłych naszych antenatów, którzy w tym trudnym czasie laicyzacji niosą nam nasiona nieskalanej wiary z czasów sarmackich, kiedy byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa. Proboszczowie, popularni jutuberzy w koloratkach, wzięci kaznodzieje mogli sobie na to pozwalać wprost; biskupi byli ostrożniejsi (...) Niezwykłość wydarzeń sprawiła, że znikąd zaczęli pojawiać się ludzie, jakich kiedyś za żadne skarby nie wpuszczono by do programu, a teraz sadzano w fotelach, przedstawiano i wsłuchiwano się w ich niestworzone koncepcje, które próbowały połączyć kwestię zombich z tym, czym dany specjalista zajmował się w ukryciu przez ostatnie lata: spiskiem iluminatów, jaszczurów, porywaniem przez UFO czy wpływem koniunkcji planet na organizmy żywe". Jednym słowem, inwazję pożeraczy ciał poprzedza inwazja pożeraczy rozumów.

Druga połowa powieści, gdy bomba wreszcie pęka i trupy skaczą do gardeł, Polaków nade wszystko, składa hołd przemysłowi filmów zombistycznych w rodzaju „Nocy żywych trupów" (1968), „Martwicy mózgu" (1992), „Martwego mięsa" (2004) czy „World War Z" (2013) – choć zombiaki skolonizowały nie tylko film i prozę.

Specyfikę lokalną rąbanki wyraża u Dehnela tylko koncept, by ostatnim przedstawicielom ludzkości za ostatnią redutę posłużył klasztor jasnogórski, na koniec wysadzony w powietrze. Co do w pełni internacjonalnej reszty, obawiać się można, że z grobów wstaną i ścigać Dehnela z partnerem zaczną wszyscy nieżyjący autorzy i scenarzyści horrorów klasy B i C. Stąd może lepiej przyjrzeć się utajonym w schemacie tych opowieści mitologicznym konstruktom. Albowiem skrywa się w nich veritas, a raczej cadaveritas.

Fabuły inwazyjne

Dziennikarz i mitoman William Seabrook, kiepski klon Hemingwaya, ani się domyślał, wydając w 1929 roku „The Magic Island", pseudoreportaż o zombich z Haiti, że wznosi kolejny filar popkultury. Ilościowo rzecz biorąc, jego zdechlacze potomstwo wywołało kryzys w branży upiorów, śmiertelnie zagroziło wampirom i zdetronizowało wilkołaki. A wszystko to z tej przyczyny, że w rękach macherów od horroru historie o agresywnych zwłokach wpisały się we wzór katastroficzny, a ściślej – w nurt straszenia inwazją.

Nieboszczycy Seabrooka nikogo jeszcze nie gryźli, by zmienić ofiary w swe podobieństwo, nie szturmowali domostw na odludziu, nie ganiali stadami za grupką piszczącej młodzieży. Te nowe zdolności zyskali na skutek krzyżówki z upiorami, wampirami i wilkołactwem. Utracili jednak właściwy klasykom grozy rys arystokratyczny. Godny swojej profesji wilkołak powinien być szlachcicem, wampir, wiadomo, hrabią, a upiór choćby i królem. Tymczasem zombie to plebs. W sztuce horroru dokonała się rewolucja proletariacka.

Odmiana horroru, którą zwę tu inwazyjną, podlega regułom tak ścisłym, że znać, iż właśnie nie treść, lecz sam schemat jest sednem mitologicznym fabuł.

Pokolenie moich rodziców mogło raz jeden zobaczyć w telewizji film angielski „Zemsta kosmosu" (1955) i poczuć dreszcz nad „Dniem tryfidów" Johna Wyndhama (1951, wydanie polskie 1975). W pierwszej historii kosmonauta wraca na Ziemię w postaci potwornego mutanta, której to zgrozy udziela innym przez dotyk. W drugiej – mięsożerne roślinki, zaopatrzone w jadowite bicze, dziesiątkują ludzkość, aktualnie zbiorowo oślepłą.

Początek stanowi więc zawsze nudnawa codzienność, skrojona wedle recepty Hitchcocka, mówiącej, że widz całkiem inaczej śledzi banalną rozmowę przy stole, jeśli wie, że pod stołem jest bomba. Na tej zasadzie sam mistrz suspensu oparł (aż do przesady) „Ptaki" (1963). Następnie fabuła mnoży niepokojące sygnały, przeoczane przez bohaterów, lekceważone przez ekspertów. Potem pada pierwsza ofiara i dochodzi do panicznej ucieczki, zakończonej obroną tego czy innego przypadkowego azylu. Finał winien być mroczny, lecz dopuszcza też ironicznie ocalenie za sprawą *deus ex machina*, jak w zakończeniu „Fatalnych jaj" Bułhakowa (1925), gdzie sierpniowe mrozy powstrzymały marsz gadów na Moskwę, lub w „Wojnie światów" Wellsa (1895), gdzie tryumfujący Marsjanie ulegli ziemskim zarazkom.

Wszystko to sprawy wiadome, póki nie spytać, skąd się wzięły. Bądź inaczej: kto ofiarował pisarzom schemat tak nieodparty. Z miejsca przychodzi do głowy wyżej wspomniany Wells: „Wojna światów", zrodzona na pozór *ex nihilo*, kreuje nowy rodzaj (i to od razu arcydzielnie). Niczego tu nie brak i wszystko w najlepszym gatunku, zwłaszcza panika i dywagacje o sztuce przetrwania; może tylko marsjańskie macki cokolwiek się nam przejadły.

Jednak istnieje tekst o lat dziewięć wcześniejszy, który Wells pewnie czytał: zachowana w trzech wersjach nowela Maupassanta „Horla" (1886). Przypomnę, że zjawia się tam na Ziemi prześladowca, może z kosmosu, niewidzialny, którego obecność, wyczuwana podświadomie, wtrąca ofiary w obłęd. To właśnie Horla, hors-là, Ktoś Spoza: spustoszył już Brazylię, a teraz na pokładzie brazylijskiego żaglowca dotarł do Francji, by zacząć swój marsz od domostwa narratora. Ten motyw statku podkradnie Maupassantowi niebawem w „Draculi" (1897) Bram Stoker. Jak pamiętamy, trumny z zawampirzoną ziemią z Transylwanii przybyły do portu Whitby na pokładzie szkunera „Demeter". Jest to jakby zalążek wszystkich późniejszych narracji inwazyjnych. Dorobek Maupassanta z przedśmiertnego okresu zawiera też zresztą bezsprzecznie zombistyczną nowelę „Ręka". Pewien lord przechowuje wśród trofeów w salonie wyschniętą rękę, którą obciął niegdyś szablą niewiadomemu wrogowi z Ameryki Południowej. Ręka ta jest przykuta solidnie do ściany, niemniej któregoś dnia znajdują lorda z rozszarpanym szponami gardłem i z palcem mumii w zębach.

> Nigdy teksty angażujące emocje czytelnika nie biorą się z samych chwytów literackich. Ale zastosowane skutecznie, chwyty te przywołują skrycie treści podświadome: **powszechnie żywione pasje, wstydy, euforie i zgrozy.**

Takimi oto kawałkami, pisywanymi pod koniec krótkiego życia, dawał Maupassant świadectwo nie tylko kunsztu prozatorskiego, lecz także walk z napadami lęku, halucynacji, pokus samobójczych i okresowej ślepoty na tle schizofrenii o podłożu, przepraszam za słowo, luetycznym. Założycielska z punktu widzenia rozwoju form literackich oraz inicjacyjna w sensie wtajemniczenia w demonizm nowela „Horla" jest dziełem człowieka, który balansował na krawędzi zdrowia psychicznego tuż przed upadkiem w głąb demencji – co też i nastąpiło. A stąd i odmiana horrorów wyrosła z trwogi przed inwazją wrogów rodu ludzkiego zainfekowana została schizofrenią. To przecież opowieści-pułapki, gdzie zdrowy rozsądek miotać się ma w panicznym poszukiwaniu wyjścia, którego brak.

Tak rzecz się przedstawia wewnątrz świata literatury. Jeśli jednak spojrzeć z zewnątrz, to przyznać trzeba, że nigdy bodaj teksty aż tak angażujące emocje czytelnika nie biorą się z samych chwytów literackich. Zastosowane skutecznie, chwyty te przywołują skrycie treści podświadome: powszechnie żywione pasje, wstydy, euforie i zgrozy. W tym przypadku kluczowe się zdaje słowo użyte akapit wyżej: „zainfekowanie". Gdyż cały ten schemat, z nieodpartym zaciskaniem obręczy – od marginalnych oznak po eksplozję okrutnych zgonów i od roztargnionego zaciekawienia po dławiącą grozę – odwzorowuje najściślej społeczną dynamikę epidemii, a zwłaszcza dżumy.

Ot, na nadbrzeże portowe wypełzły chwiejnie dwa szczury: jeden z nich się przewrócił, zamajtał śmiesznie łapkami, z pyszczka pociekła mu czarna posoka. Niby nic, lecz już wiemy: to któryś statek przywiózł czarną śmierć. Zasób lektur czytelników godnych swego miana podsuwa w tym punkcie „Dekameron" Boccaccia, „Dziennik roku zarazy" Daniela Defoe, „Narzeczonych" Manzoniego, „Dżumę w Neapolu" Herlinga-Grudzińskiego, „Grę w zabijanego" Ionesco, no i, rzecz jasna, „Dżumę" Camusa. Lecz to, co jest dziś pamięcią lektur, było przez tysiąc lat dziejów Europy pamięcią zgrozy, z żywymi i nieżywymi trupami na ulicach i całą resztą aż nazbyt realnych tańców śmierci: do nich to odwołują się tajnie fabuły o inwazji z powieścią Dehnela włącznie.

Trupi chwyt

„Ale z naszymi umarłymi" ma swoje kalkulacje, nie całkiem jasne, by opowieść skończyła się klęską totalną, bez nadziei i bez poczucia humoru, na którym jej długo nie zbywa. Robi się całkiem nieśmiesznie i odkładamy książkę z poczuciem, że już nas nie ma. Całkiem jakby wyobraźnia apokaliptyczna, tak w powieści wykpiona, zawładnęła na koniec autorem. Wzorem zdaje się tu być najświetniejsza bodaj z opowieści inwazyjnych, z tym właśnie słowem w polskim tytule: „Inwazja jaszczurów" (1936) Karela Čapka, w jednym ze swych wymiarów alegoria przewidywanej klęski w walce z ogarniającym świat faszyzmem.

Nieco wcześniej Antoni Słonimski postulował w jednej z „Kronik tygodniowych" (1934) półżartem, iż życzyć by sobie należało inwazji węży morskich, które zwalczałaby solidarnie zjednoczona w tym dziele ludzkość (na dno morza ↦

↦ rzucano by ołowiane ulotki dla zasiania defetyzmu wśród węży). Pisarz czeski wie jednak, że taki wspólny wróg ludzkości to lekarstwo gorsze od choroby. Dekonspiruje samobójczą logikę ludzi nauki, państw, mediów, koncernów i wyznań, aż czytelnik zachodzi w głowę, w jaki sposób sama kronika opisanych wypadków się uchowała. To samo pytanie zadać trzeba powieści Dehnela: skoro nie ma już głównych bohaterów i, jak ziemia szeroka, innych żywych ludzi, kim jest narrator i gdzie leży miejsce, z którego przemawia?

Jedyną realnością tej fikcji jest bowiem to, z czym pod wodzą Marii Janion zmagamy się od 30 lat niepodległości, a co zdaniem niektórych należy do fatalnych tradycji kultury polskiej. Przed 120 bez mała laty był autor, który w swoich powieściach próbował podobnej, co Dehnel, drogi: osaczyć to, co odczuwał jako koszmar, odepchnąć opowieścią zaciśnięty na gardłach współczesnych mu Polaków trupi chwyt. I też tracił w tej walce poczucie humoru.

Spójrzmy – oto, co pisał Stanisław Brzozowski w artykule „Padlina": „Ludzkość nowoczesna żyje pod władzą trupów i karmi się padliną: czy można dziwić się, że żyje źle i że oddycha atmosferą duszną. Przyjrzyjcie się życiu, jakie nas otacza, a przekonacie się, jak bujnie, jak tłusto rozwijają się w nim cielska przeszłości, pozostawione przez ducha historii, zabite przez rozum (...). Chcecie swobody pod panowaniem trupów. Trup jest naszym wychowawcą, trup naszym prawodawcą moralnym. Wszystko, co utraciło ideowe prawo istnienia, tym realniej, tym bezwstydniej daje nam uczuć ciężar i siłę swojej pięści". W dwanaście dekad później inny pisarz, właściwymi sobie środkami, powtarza to słowo w słowo.

Lecz walczyć u boku Brzozowskiego to zaszczyt – prawda, panie Jacku?

© ELIZA KĄCKA

Jacek Dehnel
ALE Z NASZYMI UMARŁYMI
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Pralki, komórki i GPS-y

WOJCIECH BĄKOWSKI, ARTYSTA WIZUALNY, POETA I MUZYK:

Jeżeli artysta robi prace, które składają się z wbitego w ścianę gwoździa, to ściana musi być idealnie czysta i wyszpachlowana, żeby gest miał siłę. Tak samo jest z muzyką.

JAN BŁASZCZAK: Przez kilka dni w bloku, w którym mieszkał Miron Białoszewski, można było oglądać Twoją instalację „Patyk, który nawija niebo". Niestety nie trwało to długo, bo praca została zniszczona. Co przedstawiała Twoja rzeźba? Masz podejrzenia, dlaczego spotkał ją taki los?

WOJCIECH BĄKOWSKI: Okazuje się, że nie wszyscy mieszkańcy Lizbońskiej 2 dobrze wspominają Białoszewskiego. Wolontariusze słyszeli przykre uwagi od jednego z mieszkańców. Opisywał Białoszewskiego jako wariata, zwymyślał go od „pedałów". Narzekał na chodzenie po korytarzu, palenie świeczek i kartki wtykane w drzwi. To były kartki z prośbami o ciszę. Ten ktoś, o ile jest winny, chyba chciał zamanifestować swój światopogląd. Białoszewski był od początku ważny dla mojej twórczości. Może też dlatego, że łączyły nas bloki. Moja rzeźba to była pół abstrakcyjna kompozycja, przełożenie na język plastyczny jednej z używanych przez Białoszewskiego metafor. Konkretnie: nawijania nieba na patyk. Trudno sobie wyobrazić, że taka forma sama z siebie mogła kogoś rozjuszyć.

W pierwszych komentarzach sugerowano, że aktu wandalizmu mogli dopuścić się nocujący w korytarzu bezdomni. Miał im przeszkadzać wzrost popularności wybranego na instalację korytarza.

Tak, była tam cała grupa koczująco-pijąca. Upodobali sobie ten korytarz, bo ze względu na instalację był stale wyciemniony. Bardzo szybko się z nimi dogadałem, byliśmy w komitywie. Nie podejrzewam ich też dlatego, że do zniszczenia rzeźby trzeba było dużej determinacji. Ktoś wymontował klamkę z innego okna i otworzył nią to, w którym była praca, za kratą, na tyle wysoko, że trzeba było długiego kija, żeby ją zniszczyć. Ten nakład pracy pokazuje, że chodziło o coś więcej.

Czy to był pierwszy raz, kiedy ktoś zniszczył Twoją pracę?

Drugi. Za pierwszym razem zrobił to jakiś młody artysta, który bardzo chciał zwrócić na siebie uwagę. Wymyślił taki *performance*, że lizał cudze prace. Najpierw lizał jakieś gipsowe rzeźby, więc mój czarny płócienny obiekt wybrudził na biało i nie dało się już tego naprawić.

Wracając do Białoszewskiego, pamiętam, że duże wrażenie zrobiły na mnie opublikowane przez wytwórnię Bôłt nagrania utworów czytanych przez poetę. Czy sam sposób prezentowania przez niego tekstu miał wpływ na Twoją twórczość?

Tak, był bardzo ważny. Pamiętam, że kiedy słuchałem jego taśm po raz pierwszy – a on ciągle nagrywał się na magnetofon – zacząłem rozumieć te teksty, z którymi wcześniej miałem problem na papierze. To, co zrobił Bôłt, nie do końca mi podeszło. Uważam wszystkie te muzyczne dodatki za niepotrzebne. Charyzma Białoszewskiego, jego styl czytania są zupełnie wystarczające do budowania nastroju. Ozdabianie tego współczesną muzyką jest bez sensu, sprawia, że teksty tracą uniwersalność. Wpadają w stylistykę, która niekoniecznie ma cokolwiek wspólnego z Białoszewskim. To jest taka moja ogólna uwaga na temat pośrednictwa w podawaniu ludziom źródeł.

Jeśli dobrze pamiętam, zmieściły się tam zarówno twórcze interpretacje, jak i surowe nagrania.

Wolę te surowe.

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

Wojciech Bąkowski na klatce schodowej bloku na ulicy Lizbońskiej 2 w Warszawie, w którym mieszkał Miron Białoszewski, lipiec 2019 r.

À propos surowości – na scenie występujesz tylko z mikrofonem i nagraną wcześniej muzyką. Dlatego zaskoczyło mnie to, jak długo trwała Twoja próba przed występem. Razem z akustykiem pieczołowicie szukaliście odpowiedniego tonu, proporcji dźwięku. Skąd potrzeba takiej precyzji?

Z prostymi rzeczami tak trzeba. Jeżeli artysta robi prace, które np. składają się z wbitego w ścianę gwoździa, to ściana musi być idealnie czysta i wyszpachlowana, żeby gest miał siłę. Tak samo jest z muzyką. Kiedy masz do dyspozycji mało środków, musisz zadbać o warunki. Jeśli na rockowym koncercie jeden z instrumentów będzie źle nagłośniony, to wszystko i tak się przegryzie, zbije w kulę i uderzy jak trzeba. W przypadku takich minimalistycznych kompozycji jest mniej swobody.

Ten minimalizm jest o tyle zaskakujący, że masz doświadczenia, które pozwalałyby Ci – jak mało komu – opracować złożony, multimedialny występ.

To przede wszystkim przekora. Moje występy są takie, bo naoglądałem się występów, które wyglądają inaczej. Na festiwalach muzycznych widzę mnóstwo świateł, wizualizacji, dymów, które ostatecznie dają bardzo podobny efekt. Wyrównują atmosfery wszystkich koncertów. Zawsze jest niebieskie światło, taka kontra – nie wiem, co to ma wyrażać? Podwodny świat? To działa często wbrew aurze danej muzyki. Dlatego działam oszczędnie. Każdy z elementów dobieram tak, aby dociskał sens moich słów albo budował konkretny nastrój. Chociaż wyobrażam sobie, że gdyby zapanowała moda na minimalizm sceniczny, to zadziałałaby przekora i poszedłbym w jakiś barok.

Festiwale odgrywają dziś kluczową rolę. Nie ma dużego miasta, które nie organizowałoby kilku takich wydarzeń. Dla wielu ludzi są one jedyną okazją do spotkania z kulturą. Co sądzisz o tym trendzie?

Uważam, że powinno się raczej tworzyć i rozwijać miejsca. Nawet takie jak Pardon, To Tu, gdzie rozmawiamy. Działa od lat, organizuje się tu koncerty i wokół niego uwija się środowisko. To jest ładne, to jest w porządku. We Wrocławiu czy Poznaniu brakuje takich miejsc, ↦

WOJCIECH BĄKOWSKI jest artystą wizualnym, poetą, twórcą muzyki i filmów animowanych. Laureat konkursu Spojrzenia oraz Paszportu „Polityki". W środowisku muzycznym rozgłos przyniosły mu nagrania Grupy Kot oraz duetu Niwea. Od blisko dekady nagrywa albumy solowe, ostatni z nich nosi tytuł „Jazz Duo". W 2017 r. ukazał się film Łukasza Rondudy „Serce miłości" – fabularyzowana biografia Bąkowskiego i jego partnerki, poetki Zuzanny Bartoszek.

↦ bo przyjęto inną taktykę – festiwale. Efemerydy. Opaski na rękach i przeganianie ludzi przez sto tysięcy estetyk dziennie między toi toiami. Z tego nic nie będzie. Z klubem jest inaczej. Całe miasto może zyskać na takim skojarzeniu: Berlin i Berghain albo, żeby nie szukać daleko, Bydgoszcz i Mózg.

W Warszawie też nie jest różowo – Pardon, To Tu długo nie mogło znaleźć sobie miejsca, kiedy do gry wkroczyli deweloperzy, którzy rozebrali poprzedni budynek. Ciekawe, że teraz klub odbudował się w takim właśnie wieżowcu ze szkła i stali.

Deweloperka, nowe budownictwo – to też jest pomysł, żeby się w tym zagnieździć. Mamy nadmiar centrów handlowych. One będą upadać i trzeba je będzie jakoś zagospodarować. Już byłem na takim koncercie w Warszawie w Koneserze, na parkingu z wylewką. Świetnie to wyglądało. Czuję, że to jest przyszłość: budownictwo z początku lat dwutysięcznych zacznie się sypać, inwestorzy będą się pomału wycofywać i powstaną takie nory. Kluby w multikinach.

W swoich utworach często zderzasz ze sobą dźwięki z różnych porządków: muzykę, głos, dźwięki reklam czy urządzeń elektronicznych. Czy ta audialna gęstwina to pokłosie lat spędzonych w bloku?

W znacznej mierze. Muzyka, której słuchałem, spotykała się z muzyką zza ściany. Miksuję swoje utwory, naśladując te efekty. Tyle że to zjawisko jest dziś obecne szerzej, bo też muzyka jest wszędzie. W naszym otoczeniu nastąpił wybuch formy. Urządzenia, których używamy, mają dżingle, całą oprawę muzyczną: od telefonów po GPS-y w taksówkach. Nawet moja pralka gra długą melodyjkę przed otwarciem blokady drzwiczek. Bardzo często słyszę takie pomieszania, które tworzą zaskakujące harmonie. Jechałem niedawno taksówką i GPS powtarzał srebrzystym głosem: „za chwilę osiągniesz cel", a do tego w radiu leciało The Cure. Dobrze to pasowało. Właśnie o taki efekt mi chodzi – by przy kontraście i pozornym bałaganie powstawała wzruszająca harmonia. To jest też portret wewnętrzny, życie wewnętrzne składa się z takich sprzecznych emocji, różnych stanów naraz. Harmonia między nimi daje poczucie odrębności własnej istoty, daje kolor duszy. Głębia tej metafory przyciągnęła mnie i zahaczyła na dłużej. Stąd brzmienie ostatnich moich dwóch płyt.

Poczucie humoru jest ważnym elementem każdej twórczości. Nie wyobrażam sobie inteligentnych tekstów, które jednocześnie trochę nie bawią.

Zdarza Ci się czerpać z ulicy nie tylko dźwięki, ale także frazy, zasłyszane zdania?

Tak, dużo kradnę. Nie jestem w tym pionierem, Białoszewski pisał np. „Donosy rzeczywistości". U zespołu Hewra słyszałem ostatnio refren: „potrzymaj mi piwo". Proste, i bardzo działa. Pozazdrościłem im tej frazy.

À propos Hewry, co sądzisz o kierunku, w którym podąża polski hip-hop?

Bardzo lubię nowy rap, który uważam za ciekawsze zjawisko niż ten oryginalny, klasyczny, który przez pewien czas uprawiałem. Teraz kawałki rapowe wydają się dużo bogatsze i bardziej zaskakujące, nawiązują do szerszej palety stylistyk. Lubię też vaporwave i artystów w stylu Jamesa Ferraro czy Daniela Lopatina. To ludzie, z którymi czuję powinowactwo, zwłaszcza w podejściu do układania brzmień. Nie wiem, czy oni przyznaliby się do mnie (*śmiech*).

Jak pracujesz nad podkładami muzycznymi do swoich utworów?

Korzystam ze stocków. Powiedzmy, że robię jakąś kompozycję i brakuje mi basu. Wchodzę na stronę looperman.com, w wyszukiwarce wpisuję: „fusion jazz bass loops" i wyświetla się kilkaset wyników. Później włączam moją ścieżkę razem z kolejnymi stockami. Słucham ich tak długo, aż coś się w końcu nawinie. Pracuję więc w taki sposób, jakbym siedział w tej taksówce i celowo wpuszczał obce dźwięki.

Czy na Twojej płycie „Jazz Duo" znalazły się ścieżki, które dograłeś sam?

Tak, na przykład bójka w utworze „1906" to jest mój głos. Historia jest taka, że na pewnym etapie prac nad filmem „Serce miłości" zostałem zaproszony przez dźwiękowców, żeby wypełnić ścieżkę zabiegami w moim stylu. Brakowało im m.in. dobrego nagrania polskiej bójki. Powiedziałem: „No to robimy!". Wziąłem koleżankę i kolegę, jakieś butelki i tak biegaliśmy po podwórku. Głównie sam się wydzierałem, więc na nagraniu słychać przede wszystkim moje bluzgi. Po zrobieniu filmu poprosiłem dźwiękowców, żeby wysłali mi to nagranie, i użyłem go na płycie.

To nieczęsta możliwość, by rozmawiać z bohaterem fabularnego, biograficznego filmu. Jak z perspektywy czasu oceniasz „Serce miłości"?

Czas realizacji był dla mnie koszmarem. Nie bez powodu filmy biograficzne powstają po śmierci artystów. Nie da się tego zrobić, kiedy bohater żyje. Nie mam dość dystansu do siebie, żeby ocenić to wszystko. Większość zdarzeń jest prawdziwa, ale sposób, w jaki są zinterpretowane i zagrane, jest zbyt odległy od moich wyobrażeń o sobie. Ale nigdy bym tego nie upilnował. Wtrącając się bardziej, unieruchomiłbym aktorów i sparaliżował robotę. Postanowiłem machnąć ręką. Efekty są, jakie są. Pewnie dopiero po latach zobaczę, jak to się ubije. Może film okaże się w porządku pod względem, którego teraz nie widzę. Teraz podobają mi się tylko niektóre sceny.

Czy sam film wpłynął jakoś na postrzeganie Twojej twórczości?

Chyba nie. Moi fani raczej go nie lubią, moi bliscy też. Natomiast osoby, które w umiarkowany sposób podchodzą do mojej postaci i postaci Zuzanny, reagują bardzo pozytywnie.

Jako muzyk i artysta wizualny masz inny status. Płyty wydajesz w niszowej wytwórni, podczas gdy w świecie sztuk wizualnych możesz pochwalić się najważniejszymi nagrodami i dużą rozpoznawalnością. Czy w tym widzisz największą różnicę w Twoim funkcjonowaniu w obu tych światach?

Przede wszystkim jako artysta wizualny radzę sobie jakoś za granicą, a jako muzyk – nie. Pocieszam się, że tak naprawdę poza Chopinem i Behemothem nie udało się to żadnemu Polakowi. Poza tym trudny jest ten świat muzyczny, zbyt przywiązany do konwencji. Trzeba poruszać się w określonych ramach, bo jeśli się poza nie wyjdzie, to zaraz nazywają to performance'em. Przez to, że pochodzę ze świata sztuki, zawsze będę podejrzany.

Był jednak moment, gdy za sprawą duetu Niwea przekonałeś do siebie ten „polski świat muzyczny".

Stało się to, gdy z Dawidem Szczęsnym nagrałem kawałek „Miły młody człowiek". Poszedłem wtedy o krok za daleko. To było zbyt pod publikę. Już wtedy to poczułem i jak oparzony szybko się wycofałem. Wróciłem do swoich spraw, które ciągnę do dzisiaj. Zapewniają mi one bardzo mały rozgłos, ale z wiekiem przywiązuję do tego mniejszą wagę.

Co niekoniecznie oznacza, że Twoje utwory są nieprzystępne w odbiorze. Kiedy wykonujesz „Sprawy" czy „Wojtusia", publiczności zdarza się reagować śmiechem.

Całe szczęście. Poczucie humoru jest bardzo ważnym elementem każdej twórczości. Nie wyobrażam sobie inteligentnych tekstów, które jednocześnie trochę nie bawią. To jest w ogóle trudno rozsupłać: czy coś jest mądre, czy śmieszne.

A jak rozsupłać okładkę Twojej ostatniej płyty? Dlaczego okładkę „Jazz Duo" zdobi wnętrze tramwaju?

Ma to związek z tym wybuchem formy w otoczeniu. W mediach, w projektowaniu, w tym, jak wyglądają nowoczesne budynki i pojazdy. Ten tramwaj z okładki, który jeździ dziś po Warszawie, jest bardzo futurystyczny i naprawdę nazywa się Jazz Duo. Jeżeli przez globalne ocieplenie nie zaleje nas woda i nie poginiemy, to za kilkaset lat jego wygląd będzie robił duże wrażenie.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

Teatra naiwne

DARIUSZ KOSIŃSKI

W finale sezonu teatralnego na polskie sceny wyszli Hamlet i Jezus. Tak się to ułożyło, zapewne przypadkiem. Ale ten przypadek nosi wszelkie znamiona konieczności.

Hamleta wprowadziła Maja Kleczewska do Starej Rzeźni w Poznaniu (o czym niedawno w „Tygodniku" pisałem – tekst dostępny na powszech.net/hamlet), by zdetronizować go jako królewicza polskiego. Jezus pojawia się w tytule przedstawienia zrealizowanego przez Jędrzeja Piaskowskiego i Huberta Sulimę w Nowym Teatrze w Warszawie. Na scenie sama postać nie występuje, nie pada nawet jej imię. Ale całe przedstawienie jest przywoływaniem i wskazywaniem na pewną tęsknotę, marzenie, radykalną odmienność uosabianą przez Jezusa nie jako osobę boską i nie jako syna człowieczego, ale tego, któremu przynależy przyszłość. Który przyjdzie i którego królestwo nie będzie z tego świata.

O ile poznański „Hamlet" wydaje się przepojony chęcią wyjścia poza dylematy, konflikty i zobowiązania, które budują paradygmatyczny dramat zachodniego teatru, o tyle warszawski „Jezus" jest odpowiedzią na to pragnienie. I Jezus unieważnia Hamleta.

Dwa teatry

Postacie Hamleta i Jezusa wyznaczają dwa bieguny, pomiędzy którymi rodzimy teatr istnieje od prawie dwustu lat. Hamlet i jego tragedia stanowią najwyższy wzór dramaturgii europejskiej, która wraz z ekspansją cywilizacji zachodniej objęła swym zasięgiem niemal cały świat. Mimo wszystkich rewolucji scenicznych, za „właściwy" teatr nadal uważa się pełną napięcia grę między wyrazistymi postaciami, których konflikt uruchamia intrygę obfitującą w kolejne zdarzenia przykuwające uwagę widzów, projektujących na bohaterów swoje doświadczenia i pytania.

Ta wciągająca rozgrywka stanowi – że użyję określenia Doroty Buchwald – największy wynalazek ludzkości. Jest niezwykłym narzędziem autorefleksji i samopoznania tak na poziomie indywidualnym, jak zbiorowym. Pozwala istotom ograniczonym, którymi wszak jesteśmy, spojrzeć na własny świat z perspektywy dla nas właściwie nieosiągalnej, a tradycyjnie przypisywanej bogom jako superwidzom i superreżyserom.

Od dawna wiadomo, że nie wszystkie znane gatunki przedstawień na żywo, które dla uproszczenia (choć fałszywie) określamy tym samym słowem – teatr – wykorzystują model Hamletowy. Zmęczony swoimi własnymi intrygami i zbrodniami Zachód już pod koniec XIX w. zaczął z fascynacją odkrywać inne wzory, które znajdował przede wszystkim w Azji. Także w Europie zaczęto odsłaniać „inne sceny", zakryte przez model dominujący i jego instytucje.

Sytuacja Polski o tyle była (i jest) szczególna, że teatr dramatyczny został do nas wprowadzony jako instytucja nowoczesnej cywilizacji zachodniej, do której w okresie oświecenia aspirowali reformatorzy dostrzegający anachroniczność kultury sarmackiej. Zanim jeszcze instytucja owa zdołała się w pełni zadomowić, stała się narzędziem narzuconej siłą pedagogiki kulturowej wymierzonej przeciwko specyfice form rodzimych (tak ludowych, jak sarmackich, po równo uznanych za „barbarzyńskie"). ↦

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Sprzeciwiający się tej pedagogice romantycy zaproponowali rozwiązania łączące dramaturgię Hamleta z tradycjami rodzimymi, odwołując się przy tym do wzoru znanego na Zachodzie i uznawanego za własny w Polsce.

Tym wzorem była (i jest) dramaturgia liturgii katolickiej, polegająca nie na dynamicznej przemianie idącej za pytaniem „co dalej?", ale na odsłanianiu stałej obecności innego wymiaru rzeczywistości. To też teatr, ale jakby antydramatyczny. Posługuje się intrygą, niekiedy mistrzowsko wciągającą, ale czyni to tylko po to, by w końcu ją zanegować, unieważnić, wskazując na radykalnie inny porządek i inne źródło sensu. Mistrzem tej odmiennej formuły jest Juliusz Słowacki, choć oczywiście zasadniczy zwrot dokonany został przez jego starszego rywala, Adama Mickiewicza. Wraz z nimi polski teatr wypracował formę własną, pozostającą w szczególnym napięciu metafizycznym, często wręcz nazywaną „misteryjną". To właśnie jej bohaterem jest Jezus, choć niemal nigdy nie pojawia się pod własnym imieniem.

Post-teatr

Wchodzimy tu na szlak historii, którą opowiadałem już wielokrotnie, przede wszystkim w „Polskim teatrze przemiany" i „Teatrach polskich. Historiach". Ta specyficznie polska (nadal ją za taką uważam) tradycja teatralna istniała zarówno jako niemal sakralne i ortodoksyjne neomisteria chrześcijańskie (taki charakter i cel miały prace Juliusza Osterwy), jak i „pełen bluźnierstwa obrzęd świętokradzki", powoływany przez Jerzego Grotowskiego. To właśnie Grotowski stał się najbardziej wyrazistym spadkobiercą i realizatorem tradycji, o której mowa. Doprowadził ją do teatralnego ekstremum i wyprowadził poza kontekst lokalny, czyniąc zjawiskiem rozpoznawalnym na świecie, a potem porzucił i zarazem na długo zablokował jakikolwiek jej rozwój.

Postacie Hamleta i Jezusa wyznaczają dwa bieguny, pomiędzy którymi rodzimy teatr istnieje od prawie dwustu lat.

Jeśli dziś od tradycji, do której odwoływali się i którą współtworzyli najwięksi polscy artyści teatru (dodajmy do już wymienionych Wyspiańskiego, Schillera i – mimo wszystko – Kantora i Swinarskiego), odżegnują się przedstawiciele niemal wszystkich frakcji rodzimej sceny, w dużej mierze jest to pogłos eksplozji, jaką były przedstawienia Teatru Laboratorium z „Księciem niezłomnym" i „Apocalypsis cum figuris" na czele. Odrzucone przez Kościół i teatr jako zamach na podstawy obu tych instytucji, przez jakiś czas fascynowały poszukiwaczy alternatywnej duchowości. Dość szybko jednak droga, jaką wyznaczały, została porzucona, najpierw przez samego Grotowskiego, następnie przez ludzi nim zainspirowanych, a potem przez kolejne pokolenie twórców, dla których – w sposób jawny bądź ukryty – Grotowski stał się głównym przeciwnikiem. Był dla nich bowiem najbardziej klarownym przykładem przemocowej władzy i nieuprawnionej manipulacji, a jednocześnie superkatolickiej pedagogiki winy i oczyszczenia przez cierpienie.

Grotowski wydawał się kończyć dzieje teatru, który – przy świadomości ryzyka – ośmieliłbym się nazwać „teatrem Jezusa". W jego miejsce, jako alternatywa dla „teatru Hamleta", pojawiły się liczne konkurencyjne „inne sceny" i „nowe teatry". Przez ostatnie trzy dekady te często eksperymentalne nurty, nazywane nieprecyzyjnie „postdramatycznymi", królowały na polskich scenach. Odrzucając lub dekonstruując tradycyjne wzorce teatru dramatycznego, negowały zarazem polską tradycję romantyczną i postromantyczną, unieważniając kluczowe dla niej problemy, w tym zwłaszcza wszystko to, co w uproszczeniu nazwać można „metafizyką".

Ostatnie sezony zdają się wyraźnie wskazywać na wyczerpanie mocy „nowego teatru", który od końca lat 90. ubie-

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Zakopanem, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 604/18 toczy się postępowanie z wniosku Małgorzaty Krystyny Fałek o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Teresie Copińskiej z d. Tuszyńskiej, c. Mieczysława i Eugenii z d. Szymańskiej, ur. 2 stycznia 1931 r. w Kielcach, zm. 25 grudnia 2017 r. w Zakopanem, ostatnio zamieszkałej w Zakopanem przy ul. Piaseckiego.

W skład spadku po Irenie Teresie Copińskiej wchodzi mieszkanie położone przy ul. Piaseckiego w Zakopanem.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Ireny Teresy Copińskiej, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Zakopanem i udowodnili swoje prawa do spadku po ww., gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w toczącym się postępowaniu.

MONIKA STOLARSKA / NOWY TEATR

Próba generalna spektaklu „Jezus", Nowy Teatr w Warszawie

głego wieku był najważniejszym zjawiskiem na polskiej scenie. Jego czołowi przedstawiciele wydają się zszokowani reakcyjnymi zmianami, jakie zaszły w Polsce, Europie i na świecie. Bezradność wobec nich rozgrywają niekiedy mistrzowsko, a z niej samej trudno im czynić zarzut, skoro jest stanem wspólnym także ich publiczności. Jednak nie sposób nie zapytać o sens kontynuacji działań artystycznych, których powtarzalność wydaje się coraz bardziej jałowa. Jednocześnie nie widać zapowiadanego i oczekiwanego przez teatralnych konserwatystów powrotu „wielkich" przedstawień dramatycznych.

W tym samym czasie pojawiły się jednak sygnały wyjścia z klinczu. Jak to bywa, pojawiły się na marginesach: w małych projektach realizowanych zarówno na scenach offowych, jak i oficjalnych, śmiało łączących różne gatunki i tradycje sztuk performatywnych. Tomasz Plata, jeden z promotorów, a zarazem badaczy tego ruchu, zaproponował na jego określenie nazwę „post-teatr". Jako jego cechę szczególną wskazał fakt, że reprezentujący ten nurt artyści „eksperymentują z formułą teatru bardzo oszczędnego, pozbawionego tradycyjnych widowiskowych atutów, można powiedzieć, że odzierają teatr ze zwyczajowo rozumianej teatralności, zarazem jednak wciąż świadomie umieszczają swoje wysiłki w instytucjonalnej ramie teatru, a fenomen teatralności nierzadko czynią głównym przedmiotem własnego zainteresowania. Pozostają więc częścią teatru, choć jednocześnie na różne sposoby próbują się z niego wydostać".

Do reprezentantów post-teatru zaliczył m.in. Wojtka Ziemilskiego, Annę Karasińską, Martę Górnicką, Martę Ziółek i Grzegorza Laszuka. Listę można by wydłużać, a ostatnie sezony pokazały, że definicję Platy spełniają kolejne przedstawienia najmłodszego pokolenia artystów. Zdają się do nich należeć także Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima, dzięki którym „teatr Jezusa" w zaskakującej formie powrócił do Warszawy.

Tuż po wyjściu z przedstawienia usłyszałem, jak jeden ze współwidzów mówi do partnerki: „To jest chyba jakiś nowy typ teatru". W jego głosie brzmiała konfuzja i brak aprobaty (zapewne oczekiwał czegoś innego), ale diagnoza wydaje się trafna. To jest jakiś nowy typ teatru, do którego przedrostek „post" pasuje o tyle, że przy całej odmienności zdaje się mieć pełną świadomość wcześniejszych dokonań i sporów. Traktuje je jednak jako zamknięte, w tym sensie, że nie podejmuje polemiki czy walki z nimi. Robi swoje tak, jakby zaczynał na nowo na pobojowisku po bitwach, które nie zakończyły się niczyim zwycięstwem, ale doprowadziły do wyczerpania wszystkich stron.

Stąd może pozorna prostota, nawet naiwność jego przedstawień, w których często pojawia się ton niemal dziecięcy. Można by powiedzieć, że to jakieś teatralne „poema naiwne", zwłaszcza że jest w nich obecne takie samo jak u Miłosza przeczucie nadciągającej (lub już się dokonującej) apokalipsy. I tak samo pozorna jest ich prostota. Gdy ogląda się przedstawienia Karasińskiej czy Ziemilskiego, można ulec złudzeniu, że to wszystko jest bardzo prościutkie i jednowymiarowe. Że działa tu przede wszystkim naiwna właśnie, nieuzbrojona wyobraźnia swobodnie igrająca ze scenicznymi mechanizmami i tradycjami. Wystarczy jednak uważniejsze spojrzenie, by zauważyć, jak złożona to gra.

Dobre słowa

W przedstawieniu Piaskowskiego i Sulimy ta pozorna naiwność rozgrywana jest z całym rozmysłem w ściszonych i quasi-dziecięcych kreacjach aktorów, w prostodusznych zabiegach metateatralnych, w znakomitych kostiumach Hanki Podrazy i dekoracjach Przemysława Branasa, które sprawiają wrażenie, jakby zostały wypożyczone ze szkolnych scen amatorskich. Atmosfera dziecięcej zabawy i swobodnej gry wyobraźni tworzy glebę wzmacniającą kluczowe dla przedstawienia groteskowo-poetyckie „fantazje", inscenizujące marzenie o tym, czego nie potrafię określić inaczej niż wybawienie.

To na tej glebie rozkwitnąć mogą tak ryzykowne, a wzruszające swym pięknem sceny, jak taniec krowy jednoczącej się z gwiazdą (porywający popis ↦

↦ Małgorzaty Bieli), niemożliwa miłość Metafory (Biela) i mężczyzny z przyszłości (Piotr Polak), przytulanie nowotworu (Polak) przez Kaśkę (Bartosz Gellner) czy finałowe „dobre słowa", z których jednym jest dziecięcy właśnie wiersz Danuty Wawiłow mówiony z poruszającą prostotą przez Sarę Celler-Jezierską (ta sama aktorka tworzy w spektaklu wspaniałą postać starej prostytutki Marii Magdaleny).

Trzeba jednak uważać, by nie dać się tej dziecięcości zwieść, bo wówczas można nie zauważyć toczonych cały czas przez twórców gier z figurą Fausta i jego towarzysza, najbardziej wprost ujawniających się w monologu o ostatniej sonacie Beethovena, zaczerpniętym z „Doktora Faustusa" Tomasza Manna, a mówionym ze ściszonym gardłem przez Głuchoniewidomego (Bartosz Bielenia). Sulima i Piaskowski balansują na cienkiej linie między erudycyjnymi odwołaniami a wzruszającą prostotą dziecięcej zabawy i marzeń. Umiejętnie spajają pozornie oderwane sekwencje w spójny wywód o poetyckiej i filozoficznej logice. Dzięki temu, a także dzięki oryginalności ich wyobraźni oraz odwadze i mistrzostwu młodych aktorów, nie wpadają w groteskowy infantylizm, ale udaje im się – bez negowania przeczuć grożącej nam wszystkim zagłady – przeprowadzić nas przez proces odzyskiwania nadziei i miłości, dla której wybierają imię Jezus.

Jego powrót jest zaskakujący, bo dokonuje się w samym centrum batalii o kształt polskiego katolicyzmu, który stał się jednym z okopów polsko-polskiej bitwy nad Marną i na marne. Zaskakujący, bo choć dochodzi do niego w hipermodnym (i uznawanym za „lewicowy") teatrze warszawskim, to następuje na jego małej, skromnej scenie, pod sam koniec sezonu. Dla mnie ten cichy dziecięcy powrót, jakże inny od opisywanego przez Konstantego Puzynę w słynnej recenzji z „Apocalypsis cum figuris", jest najważniejszym wydarzeniem końca sezonu 2018/2019. Chcę też wierzyć, że jest początkiem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

JEZUS – *reż. Jędrzej Piaskowski, dram. Hubert Sulima, Nowy Teatr w Warszawie, premiera 22 czerwca 2019 r.*

Rozkoszna amnezja

ANITA PIOTROWSKA

W najnowszym filmie Danny'ego Boyle'a pewien nieudacznik z gitarą odkrywa tajemnicze zniknięcie Beatlesów i postanawia odzyskać dla świata ich dorobek.

Czy można wyobrazić sobie świat, w którym nie byłoby Beatlesów? Zabrakłoby na nim nie tylko kilkudziesięciu szlagierów, legionu naśladowców czy zjawiska beatlemanii, która na zawsze odmieniła kulturę popularną. Ucierpiałyby na tym również nasze emocje, bo już kilka pokoleń zdążyło przeżyć swoje małe prywatne uniesienia, słuchając i bawiąc się przy „czwórce z Liverpoolu". Nie powstałoby też parę dobrych filmów, w tym polski „Yesterday" (1984) Radosława Piwowarskiego, ani słynne wideoklipy, jak „Imagine" (1987) Zbigniewa Rybczyńskiego. Jeśli ktoś by na tej nieobecności zyskał, to chyba tylko postać Jezusa, który to, zdaniem Johna Lennona, musiał w połowie lat 60. oddać muzykom palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o rozpoznawalność.

Bez fenomenu Beatlesów nie byłoby także brytyjskiego „Yesterday", czyli najnowszego filmu Danny'ego Boyle'a – ale to akurat byłaby najmniejsza strata. Twórca „Trainspotting" (1996) i „Slumdoga. Milionera z ulicy" (2008) zastanawia się, co by było, gdyby wykasować twórczość Johna, Paula, George'a i Ringo ze zbiorowej pamięci. Staje się to punktem wyjścia dla poczciwej fantazji, w której pewien nieudacznik z gitarą, odkrywszy owo tajemnicze zniknięcie, postanawia odzyskać dla świata dorobek Beatlesów.

Himesh Patel, telewizyjny aktor o indyjskich korzeniach, wciela się w postać brodatego safanduły Jacka Malika – młodego nauczyciela z Suffolk, który porzucił pracę w szkole, by zająć się muzyką i dorabiać w lokalnej hurtowni. Po kolejnym występie wszystko wskazuje na to, że będzie musiał zrezygnować ze swych ambicji, choć jego oddana przyjaciółka, a zarazem kiepska menedżerka o imieniu Ellie (w tej roli Lily James) nadal sekunduje mu w karierze. Kiedy pewnego wieczoru naszą planetą wstrząsa kilkunastosekundowy *blackout*, Jack zostaje potrącony przez autobus. Liżąc rany i licząc wybite zęby uświadamia sobie, że nastąpiło tajemnicze tąpnięcie w globalnym systemie, w wyniku

MATERIAŁY DYSTRYBUTORA

Kadr z filmu „Yesterday”

czego kilka powszechnie znanych marek współczesnej kultury, „The Beatles”, zostało wymazanych – nie tylko z komputerów i płytowych kolekcji, ale również z ludzkiej świadomości. Jako jedyny, który nie uległ beatlesowskiej amnezji, Jack zaczyna gorączkowo spisywać zapamiętane niegdyś utwory i sprzedawać je pod własnym nazwiskiem. Zyskuje coraz większy poklask, a niejaki Ed Sheeran – ceniony brytyjski muzyk, grający w tym filmie samego siebie i znany ze swej fascynacji Beatlesami, bierze go pod swoje skrzydła i obwołuje współczesnym Mozartem. Sam zaś, po przegranym pojedynku na utwór o ZSRR, zadowala się dużo skromniejszą rolą Antonia Salieriego.

W tej chwilami zwariowanej, choć jednak mocno ugrzecznionej fabule coraz to uchylają się inspirujące szczeliny. Przez chwilę wyświetla nam się film o wielkiej mistyfikacji jako paliwie dzisiejszego show-biznesu. Pojawiają się nieuchronne pytania, czy dziś chłopcy z Liverpoolu mieliby szansę stać się kimś więcej niż wymyślonym przez marketingowców produktem. Czy ballada „Hey Jude” byłaby tym samym, gdyby zamienić ją na chwytliwe „Hey Dude” („Hej koleś”), a tym samym odebrać jej cały dramatyczny ładunek i interpretacyjną wieloznaczność? Na początku wątek związany z jednoosobowym kultem Beatlesów rysuje się w „Yesterday” wręcz brawurowo. Absurdalność sytuacji, w jakiej znalazł się bohater filmu, polega bowiem na tym, że stał się on równocześnie jedynym i samozwańczym kustoszem, jak nieprawnym beneficjentem ich spuścizny. Pielgrzymując na Abbey Road czy na grób legendarnej Eleanor Rigby, jest jednocześnie fanem i rekonstruującym oryginał plagiatorem. A pieprzu dodaje również fakt, że kiedy słychać w filmie anarchistyczny postulat „uwolnienia” muzyki Beatlesów, można w tym odnaleźć jedno z cichych marzeń twórców filmu, którego budżet stanowiły w znacznym stopniu koszty praw autorskich do wykorzystanych utworów.

Niestety, potencjał zarówno szalonego konceptu o zniknięciu i zmartwychwstaniu Beatlesów, jak i przewrotnej analizy muzycznego Babilonu, stopniowo się w filmie wytraca. Zgodnie z „All You Need Is Love” najbardziej interesują twórców miłosne perypetie Jacka i Ellie, czyli wiecznego chłopca w pułapce sławy i wyrzutów sumienia oraz dziarskiej młodej kobiety, która od początku do końca nie daje się oślepić blaskiem reflektorów. Nic dziwnego: za scenariusz „Yesterday” odpowiada sam Richard Curtis, specjalista od brytyjskiej komedii romantycznej, mający na koncie takie przeboje jak „Cztery wesela i pogrzeb”, „Dziennik Bridget Jones” czy „To właśnie miłość”. W filmie o unicestwieniu Beatlesów odcisnął swoje piętno mocniej nawet niż jego reżyser. Znajdziemy tu więc znany nam skądinąd szorstki wdzięk, kontrolowaną pikanterię i konserwatywny przekaz, lecz także typową dla gatunku rom-comu typizację postaci, tudzież umowność i przewidywalność fabuły. A zwłaszcza jej arcypobłażliwy stosunek do życiowego nieprawdopodobieństwa.

Typowo brytyjskim humorem iskrzy się scena, w której Jack próbuje zagrać rodzicom swój nowy kawałek zatytułowany „Let It Be”, ale za nic nie może się rozkręcić, bo ciągle ktoś lub coś mu przeszkadza. Podobnie jest z filmem Boyle’a, który ma w ręku skarb: wiekopomne utwory i naszą dozgonną do nich miłość, jednakże rozmienia go na rozkoszną dykteryjkę, nie próbując choć trochę poważniej bądź odważniej odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego świat bez Beatlesów byłby o wiele gorszym miejscem do życia.

©

YESTERDAY – *reż. Danny Boyle. Prod. Wielka Brytania 2019. Dystryb. UIP. W kinach od 12 lipca.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [12 – 19 VII]

1. 60 kilo niczego

Krótkometrażowy, reż. Piotr Domalewski, Polska 2017, Canal+ Seriale, 13 VII, 18.40, 14 VII, 9.00, Canal+ Film, 15 VII, 8.10

W odkrywkowej kopalni kruszców ginie w wypadku pracujący na czarno ukraiński robotnik. Jak w tej sytuacji zachowa się kierownik placówki? Reżyser filmu „Cicha noc” w krótkiej formie filmowej nawiązuje do kina moralnego niepokoju – tyle że w realiach bardzo współczesnej Polski.

2. Nauczyciel

Dokumentalny, reż. Magdalena Łazarkiewicz, Antoni Ferency, Polska 2014, Planete+, 16 VII, 00.05

Polonistka, pedagog, współtwórczyni zespołu szkół „Bednarska”, laureatka Medalu św. Jerzego – to tylko niektóre z zasług Krystyny Starczewskiej. Film przypomina także o działalności dysydenckiej bohaterki w czasach PRL-u, która miała znaczący wpływ na jej wizję demokratycznej szkoły.

3. Na cały głos

Miniserial, reż. Stephen Frears, USA 2019, HBO GO

W kolejnych siedmiu odcinkach poznajmy sylwetkę Rogera Ailesa, jednego z najbardziej wpływowych ludzi amerykańskich mediów, założyciela stacji Fox News, doradcy republikańskich polityków. W główną rolę wciela się Russell Crowe, a scenariusz jest dziełem Toma McCarthy’ego, twórcy „Spotlight”.

4. Gdyby ulica Beale umiała mówić

Melodramat, reż. Barry Jenkins, USA 2018, CHILI

Twórca „Moonlight” przenosi na ekran książkę Jamesa Baldwina. Z właściwym sobie zmysłowym dotknięciem opowiada o młodej afroamerykańskiej parze z Harlemu początku lat 70., która musi się zmierzyć z niesłusznym oskarżeniem. Oscar dla Reginy King za najlepszą rolę drugoplanową.

JAN

Klata:
Spustoszenie

Pogoda zrobiła się znakomita, pochmurne dwadzieścia stopni, więc czas oddać się wakacyjnym przyjemnościom chodzenia po pustym mieście. Mieszczuchy wyjechane na wywczasy, rozpaczliwie łapią cień opalenizny w okolicach cieków wodnych, na obszarach otwarcie piaszczystych, w pobliżu mniej lub bardziej akustycznych akwenów – a miasto leży odłogiem u mych stóp. Czyli spacery w plenerze „metropolitalnym", wszak centrum centralnej Polski, serce serca Europy, miasto Warsa, Sawy i dwóch mniej więcej milionów innych warszawiaków. Z góry przepraszam wszystkich czytelników za wielce niszowy koloryt, nie chcę nikogo urazić w lokalną dumę, przepraszam, że po Hożej i Rozdrożu, a nie po delcie Dietla czy starorzeczu Starowiślnej, że nie gram w palanta na Plantach – tak się złożyło, że mój Heimat warszawski, miasto moje, a w nim... pustka.

Pustka pozytywna, o której już napomknąłem, fantastyczna pustka na Rozbrat i na Bagateli, śródmiejska zaduma kanikuły, bo moja ulica jest w sercu miasta – jak śpiewał swego czasu o innym mieście inny Paweł Kukiz... ale także i pustka negatywna, czyli ziejący, niestety chyba nieodwołalnie brak: dziury po antykwariatach i księgarniach. Chodzę właściwie po trasie cmentarnej, od grobu księgarni do grobu antykwariatu, w myślach odmawiając litanię tytułów kupowanych kiedyś książek. Od stacji do stacji smuteczek. Nawet nie ma co wyliczać: mało co się ostało. Kilka dni temu zniknął antykwariat na Hożej – latarnia morska moich spacerów ostatnich 33 lat. Źle znoszę ten cios, jestem z lekka pozbawiony błędnika. W życia wędrówce, na połowie czasu, straciłem z oczu szlak niemylnej drogi. Zrobią kolejny bank, jak wszędzie, konsumenci dostaną dedykowany pakiet finansowych instrumentów tudzież korzystnie denominowany kredyt na życie. Niewidzialna ręka rynku pogładzi po główkach i pokaże trzeci palec. Oczywiście, racjonalnie rzecz biorąc, wiem, dlaczego tak się dzieje. Wszyscy wiemy. Internet zabija życie, i tyle.

Ale nie wolno się pogodzić z nieubłaganym, trzeba błagać. Litery dają miastom sens, nadają im wyraz. Bez liter miasto sczeźnie. Władze miast powinny to wiedzieć i coś zrobić, żeby ocalić sens tego wszystkiego. Inaczej spustoszenie. ©

Lektor:
Świat okrutnego Boga

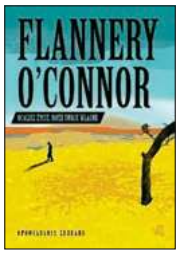

▪ *Flannery O'Connor*
OCALISZ ŻYCIE, MOŻE SWOJE WŁASNE. OPOWIADANIA ZEBRANE
Przełożyli Maria Skibniewska i Michał Kłobukowski. Przedmowa Robert Giroux. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2019, ss. 608.

Gdybym układał listę swoich lektur inicjacyjnych, opowiadania Flannery O'Connor znalazłyby się na niej na pewno. „Poczciwi wieśniacy" (tak w tłumaczeniu Tadeusza Jana Dehnela, u Marii Skibniewskiej „Poczciwi wiejscy ludzie"), zamykający antologię „26 współczesnych opowiadań amerykańskich" (rok 1963), potem tom „Trudno o dobrego człowieka" (rok 1970), czytany przez piętnastolatka. Nie tylko arcydzielne opowiadanie tytułowe, ale też „Spotkanie" czy „Ostatnia potyczka z nieprzyjacielem" z ich okrucieństwem wzmocnionym nutą czarnego humoru wryły mi się w pamięć na zawsze: niewczesna satysfakcja syna, że ktoś wreszcie dał nauczkę jego nieznośnej, niemądrej i pełnej rasowych uprzedzeń matce (nauczka była radykalna, matka umiera na udar), czy scena śmierci stuletniego generała zawleczonego przez sześćdziesięcioletnią wnuczkę na uroczystość nadania jej tytułu naukowego...

Flannery O'Connor (1925–1964) to genialna pisarka i jej nadzwyczaj oszczędna proza nic a nic się nie zestarzała. Żyła krótko, a jej latom dojrzałym towarzyszyła nieuleczalna, obezwładniająca choroba. Czym jest lupus, czyli toczeń rumieniowaty układowy, wiemy z książki Małgorzaty Baranowskiej „To jest wasze życie". U O'Connor pierwszy rzut lupusa wystąpił w 1950 roku i po kilku miesiącach leczenia szpitalnego zamieszkała z matką na farmie pod Atlantą – tam powstały jej najlepsze opowiadania, osadzone w realiach Południa, pełne postaci starców i dzieci, lokalnych dziwaków, a także fanatycznych kaznodziejów („Rzeka"!). Sama pisarka, katoliczka, swoją wiarę traktowała bardzo serio, a problem grzechu i łaski był dla niej kluczowy. Z tym że postacie z jej opowiadań są z reguły mistrzami samookłamywania się, a łaski prawdy doświadczają w chwili, kiedy niczego już nie mogą naprawić. „Prawdziwie i kunsztownie pokazała człowieka jako istotę upadłą i nieszczytną" – napisał po śmierci O'Connor admirator jej prozy, Thomas Merton. Jej bohaterowie mimo wszystko jednak budzą współczucie, chyba że są – jak pan Niezgoda z „Trudno o dobrego człowieka" – złem wcielonym. Ale też tej Amerykance ze stanu Georgia bliskie byłoby, jak podejrzewam, wzięte z Pisma przekonanie największego naszego chrześcijańskiego pesymisty, Mariana Zdziechowskiego, że „świat w złem leży". ©℗

PAWEŁ

Bravo: *W sprawie marnowania jedzenia posłowie marnują czas*

2431. Zapamiętajcie tę liczbę, może wam się przydać po wakacjach, kiedy swoje stragany porozkładają sprzedawcy obietnic i dilerzy nadziei, żądni waszego głosu w wyborach. Zapytacie wtedy jednego z drugim rycerza dobrej zmiany czy obrońcę demokracji, co zrobił sam albo czy naciskał na bezpośrednio zaangażowanych w sprawę „2431" kolegów. Ta liczba to numer druku sejmowego związanego z ustawą o „przeciwdziałaniu marnowaniu żywności", która grzęźnie w legislacyjnych trybach od marca 2018 r., kiedy to jej projekt wydał z siebie Senat, głosujący z rzadką ponadpartyjną zgodą. Sejmowa Komisja Gospodarki i Rozwoju powołała potem specjalną podkomisję, która spotkała się aż trzy razy, pogmerała nieco w treści i zarekomendowała dalsze procedowanie. Jeśli komisja w ciągu tygodnia nie zbierze się, by prace podkomisji przyklepać, to nie ma szans, żeby projekt był przyjęty przez izbę w tej kadencji.

Ten Sejm potrafi w parę tygodni przerobić do spodu kodeks karny albo ustrój sądów tak, że potem komisarze w Brukseli spać po nocach nie mogą. Opozycja jest równie mocna, tyle że w gębie, budując ze strzelistych słów filary w kościele pod wezwaniem świętego Oburza. Jak trafia się czasami okazja, żeby wdrożyć wolne od ideologii i praktycznie wykonalne zmiany, to się nagle okazuje, że coś się musi zaciąć – jednym nagle opada sprawność w przepychaniu ustaw, drugim siada retoryczne dynamo. Wychodzi wtedy na jaw przykra prawda, że Polską nie rządzi tak naprawdę ani Nowogrodzka, ani tak zwany duopol, tylko specjaliści od komunikacji strategicznej, zwani kiedyś lobbystami. Cisi i skromni panowie potrafią ukręcić łeb każdej inicjatywie – większa ochrona zwierząt przed naszym okrucieństwem przeszkadzała np. oprawcom z branży futerkowej i myśliwym. A projekt obowiązkowego oddawania niesprzedanej żywności byłby niejakim kłopotem dla sieci sklepów.

Jedyne rzetelne dane dotyczące marnowania jedzenia w Polsce pochodzą sprzed dekady i mówią o 9 milionach ton rocznie (wychodzi ok. 230 kg na osobę). Nie ma powodów sądzić, żeby z biegiem czasu nasza cywilizacja coraz większej obfitości stała się bardziej oszczędna. Przez polskie banki żywności, zajmujące się jej przekazywaniem do organizacji bezpośrednio dożywiających ludzi zagrożonych głodem, przechodziło kilka lat temu zaledwie 65 tysięcy ton rocznie. Jest zatem sporo do zrobienia, żeby tę dysproporcję zniwelować chociaż o jeden rząd wielkości.

Ustawa „2431" miała wprowadzić prosty, ćwiczony z powodzeniem we Francji od trzech lat mechanizm – każdy większy sklep miałby obowiązek zawrzeć umowę z organizacją wyspecjalizowaną w dystrybucji i pomocy żywnościowej, która regularnie odbierałaby zapasy produktów o bliskim terminie ważności, które normalnie obecnie trafiają do tzw. utylizacji – co oznacza w pewnej części przerobienie na paszę dla zwierząt, a częściowo po prostu śmietnik.

Czy taki przymus dobroczynności ma sens? Po pierwsze, ujęcie tego w ramy prawne oznacza też uregulowanie różnych kwestii podatkowych (oddany towar dla sklepu to wszak pozycja w bilansie), sanitarnych i logistycznych, które powstają, gdy prosty odruch współczucia sprzedawcy owoców, który oddaje staruszce z sąsiedztwa siatkę przejrzałych jabłek, zamienia się w operację na wielką skalę, gdzie prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak i ktoś się zatruje, rośnie w postępie geometrycznym. Po drugie, w obliczu liczb obrazujących skalę naszego marnotrawstwa bledną wszelkie obiekcje, że państwo nie powinno się zanadto wtrącać. Może i nie powinno, ale skorośmy sami doszli na takie moralne dno, to zasługujemy, żeby nas etatystyczną pałką po głowie zdzielono. Przecież spora część tych dziewięciu czy więcej milionów ton to jedzenie, które gnije dla naszej przyjemności – sklepy świadomie zaopatrują się w znacznie więcej, niż realnie przewidują sprzedać, bo klienci lubią efekt obfitości. Tym bardziej w kraju, gdzie połowa mieszkańców pamięta wcale nie przysłowiowe, lecz dosłowne puste półki PRL-u.

Wracam do tego tematu uporczywie, bo prawo zajmowania się wszelkimi radościami jedzenia ma tylko ten, kto choć czasem kiwnie palcem, żeby bliźni z sąsiedztwa chodzili mniej głodni. Trudno mi sobie wyobrazić, że w październiku zagłosuję na posła, zanim się nie dowiem, co zrobił dla przyjęcia tej ustawy – albo co obiecuje zrobić, jeśli w końcu nie uda się jej przyjąć. ©℗

Na koniec sezonu truskawki stały się, dzięki ostremu słońcu, ściślejsze, suche, ale za to bardzo aromatyczne. Pożegnałem je robiąc risotto truskawkowe, które wyszło przepysznie, ale tak często opowiadam o risottach, że tym razem się powstrzymam. No i czereśnie wreszcie staniały do znośnego poziomu i są całkiem dobre, na ich przywitanie upiekłem zabawne w formie ciasto. Drylujemy 20 czereśni (nacinamy delikatnie nożykiem i wyciągamy pestkę), odkładamy do miseczki, dodajemy dwie łyżki cukru i skórkę z połówki cytryny. W misce mieszamy 250 g mąki, 100 g cukru pudru, 4 g proszku do pieczenia, skórkę z połowy cytryny, rozcieramy ze 125 g chłodnego masła, potem dodajemy 1 rozkłócone jajko, szybko wyrabiamy, aż się utworzy gładka masa, schładzamy w lodówce przez godzinę. Wałkujemy ciasto na placek 4 mm grubości. Wycinamy z niego kółka o średnicy ok. 7 cm. Na każde kółko kładziemy 1 czereśnię, zawijamy je tak, by utworzyć kulkę. Kulki układamy ściśle obok siebie w foremce ok. 20 cm średnicy wyłożonej papierem do pieczenia, polewamy sokiem, który został po macerowaniu czereśni (można dodać łyżkę słodkiego wina), posypujemy płatkami migdałów, pieczemy 30-40 min. w 180 stopniach.

PAWEŁ BRAVO

MISTRZOSTWA NIERÓWNOŚCI

Nigdy dotąd nie oglądaliśmy tak chętnie kobiecej piłki jak podczas mundialu we Francji. A przecież wiele zawodniczek gra za darmo, zmagając się nie tylko z rywalkami, ale też z dyskryminacją i lekceważeniem.

MONIKA OCHĘDOWSKA

BRAD SMITH / ISI PHOTOS

Od lewej: Samantha Mewis, Alex Morgan i Megan Rapinoe (zdobywczyni gola) podczas meczu finałowego Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej Kobiet USA – Holandia. Lyon, 7 lipca 2019 r.

Tak spektakularnego wyniku pierwszego meczu reprezentantek USA na kobiecym mundialu nie spodziewał się nawet właściciel pewnego baru w Miami, który dla podtrzymania atmosfery obiecał klientom bezpłatne drinki po każdym golu Amerykanek. Goście – o ile dotrwali do końca transmisji – wznosili toast trzynaście razy. A barman, zupełnie jak filigranowa bramkarka Tajlandii, miał pełne ręce roboty – w drugiej połowie spotkania piłka wpadała do siatki zdezorientowanych Tajek mniej więcej co trzy minuty.

Co wolno demonstrować

Następnego dnia okazało się, że reprezentantki USA winne są nie tylko niedyspozycji kilkudziesięciu mieszkańców Florydy (skądinąd to właśnie tam, w Orlando Pride, gra wiele gwiazd kobiecego futbolu, w tym napastniczka Stanów Zjednoczonych Alex Morgan). Rekordowy w historii mistrzostw wynik – a właściwie fakt, że Amerykanki w ogóle doprowadziły do takiego rozstrzygnięcia meczu z dużo słabszą drużyną – stał się przedmiotem ostrej krytyki ze strony dziennikarzy i piłkarek innych reprezentacji. Zganiono je za nieskromną liczbę „zbyt łatwo" zdobytych goli oraz brak powściągliwości w okazywaniu radości z gry.

Po raz kolejny zawrzało po golu Morgan strzelonym Angielkom i decydującym o awansie do finału. Celebrująca bramkę napastniczka wykonała charakterystyczny gest naśladujący picie z filiżanki, a kilka godzin później wygraną skomentowała ironicznie na Twitterze: „*That's the tea!*" („O tym się mówi", „Gadajcie o tym!"). Z propozycji skorzystały skwapliwie tabloidy z Wysp, w „cieszynce" Morgan doszukując się nawiązań do tzw. herbatki bostońskiej – antybrytyjskiej manifestacji poprzedzającej amerykańską rewolucję. Skądinąd: przy wielu męskich choreografiach radości związanej z golem ta naprawdę nie robiła wrażenia przesadnej.

Po niedzielnej wygranej w finale z Holenderkami zamiast herbatki były jednak kaskady szampana, kilogramy konfetti i szalony taniec w goglach narciarskich. Tylko trenerka drużyny USA, Jill Ellis, jeszcze długo po dekoracji siedziała w milczeniu na boisku, jakby oswajając się z tym, czego wspólnie z zawodniczkami dokonały.

Ale podczas tego mundialu demonstrowano także na trybunach. Np. w obronie Iranek, które na początku czerwca nie zostały wpuszczone na towarzyski mecz reprezentacji swojego kraju – przez kilka godzin przetrzymywała je służba bezpieczeństwa. Grupa widzów oglądających spotkanie Kanady z Nową Zelandią założyła koszulki przypominające o prawach Iranek, domagając się jednocześnie od prezydenta Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA) Gianniego Infantino, by wezwał władze w Teheranie do umożliwienia kobietom oglądania na stadionach meczów eliminacji mistrzostw świata 2022.

Warto też pamiętać, że ledwie trzy miesiące przed meczem z Tajkami po raz ósmy grająca w finałach kobiecego mundialu drużyna USA złożyła w Sądzie Okręgowym w Los Angeles pozew przeciwko U.S. Soccer, amerykańskiej federacji piłki nożnej, o dyskryminację ze względu na płeć.

Miliard kibiców

Wynikiem 13:0 Amerykanki ustanowiły rekord nie po raz pierwszy. To najsilniejsza kobieca reprezentacja piłkarska: na osiem rozegranych od 1991 r. mundiali wygrała aż cztery, tyle samo razy zajmowała drugie bądź trzecie miejsce; zdobyła również kilka medali olimpijskich. Jej rozgrywany podczas poprzednich mistrzostw finałowy mecz z Japonią był najchętniej oglądanym meczem piłki nożnej w historii USA. Biorąc pod uwagę fakt, że tegoroczne spotkanie Amerykanek z reprezentacją Anglii o wejście do finału było najpopularniejszym w 2019 r. programem BBC Sport (11,7 mln widzów i ponad 51-procentowy udział w rynku), rozegrany w ostatnią niedzielę finał z Holenderkami zgromadził z pewnością ↦

nadzwyczajną liczbę widzów nie tylko w tych krajach. Koszulki z nazwiskami zawodniczek drużyny Alex Morgan są obecnie najlepiej sprzedającymi się trykotami piłkarskimi w historii firmy Nike.

Ale te mistrzostwa biły rekordy nie tylko z powodu skuteczności i popularności Amerykanek. Mecz otwarcia zainteresował ponad 10 mln Francuzów i Francuzek. Zaskoczona rosnącymi słupkami oglądalności telewizja FT1 z meczu na mecz podnosiła o połowę stawki za reklamy. Po wygranej z Koreankami „Trójkolorowe" znalazły się na pierwszych stronach najważniejszych dzienników. Podobnie było w Hiszpanii, we Włoszech, a nawet – uwaga – w Polsce. Transmitowane przez TVP Sport, także w internecie, mecze fazy grupowej oglądało nawet 300 tys. Polek i Polaków, półfinały – pół miliona. FIFA jeszcze przed rozpoczęciem imprezy spodziewała się, że na całym świecie oglądać je będzie łącznie miliard widzów. Wszystko wskazuje na to, że Europę ogarnia amerykańska rewolucja futbolowa.

O dynamice rozwoju kobiecej piłki najlepiej świadczy droga Holenderek po wicemistrzostwo świata. „Pomarańczowe Lwice" – wiele lat nieobecne na międzynarodowych zawodach – na poprzednim mundialu w Kanadzie doszły do jednej ósmej finału, w zeszłym roku wygrały mistrzostwa Europy, a w niedzielę zostały wicemistrzyniami świata, grając z Amerykankami bardzo pewnie. I przy ogromnym wsparciu kibiców, bo Holendrzy chętnie oglądają mecze, zarówno w telewizji (nawet 80 proc. udziału w rynku), jak i na żywo (do Francji przyjechało ponad 50 tys. fanów „Oranje").

A przecież tak często słyszymy, że kobieca piłka nikogo nie interesuje. Dlaczego? Bo to, w odróżnieniu od piłki męskiej, sport amatorski.

Amatorki

Kilka dni temu Organizacja Narodów Zjednoczonych zaalarmowała na Twitterze, że słynny Argentyńczyk Lionel Messi zarabia dwa razy więcej niż prawie 1700 piłkarek z siedmiu najlepszych lig świata łącznie. Z kolei z opublikowanego dwa lata temu raportu organizacji FIFPro, która badała zarobki i warunki pracy ponad 3 tys. zawodniczek, wynika, że przeciętna pensja „profesjonalnej" piłkarki wynosi 600 dolarów. Te, które zarabiają, i tak są uprzywilejowane – połowa zawodniczek nie jest w ogóle wynagradzana, w związku z czym 30 proc. piłkarek grających w klubach godzi swoją „amatorską pasję" z innym zajęciem. W przypadku gwiazd – takich jak jedna ze stu najbardziej wpływowych postaci magazynu „Time" Alex Morgan – ratunkiem dla budżetu są kontrakty reklamowe, zdjęcia na okładkach gier czy gadżety promocyjne.

To jeden z powodów, dla którego ponad 80 proc. piłkarek rezygnuje z kariery bardzo wcześnie, często zaraz po skończeniu szkoły bądź gdy podejmie decyzję o założeniu rodziny (zabezpieczenie na czas urlopu macierzyńskiego oferuje zaledwie 3 proc. klubów). I przyczyna, dla której aż 90 proc. trenujących kobiet deklaruje, że towarzyszy im nieustanna myśl o porzuceniu sportu.

Krytykując grę Tajek czy Argentynek należy pamiętać, że wynagrodzenie 40 proc. reprezentantek krajów nie starcza na pokrycie podstawowych wydatków związanych z grą w drużynie narodowej, takich jak koszty przelotów czy zakwaterowania. Jedna trzecia zawodniczek, które oglądaliśmy podczas tegorocznego mundialu, grała za darmo. „Bierzemy wolne w pracy, by rozegrać mecz dla reprezentacji, nikt nie zwraca nam nawet kosztów podróży" – napisała w ankiecie FIFPro zawodniczka z Irlandii. „Trenuję cztery, pięć razy w tygodniu, nie otrzymując żadnego wynagrodzenia. Klub nie pokrywa kosztów podróży. Pracuję dorywczo, by związać koniec z końcem" – to z kolei cytat z ankiety jednej z Angielek. Chilijki przygotowywały się do mundialu na klubowym parkingu, bo tamtejszy związek nie udostępnił im murawy.

FIFA za profesjonalistki uważa te zawodniczki, które mają podpisane kontrakty i są regularnie wynagradzane przez kluby. Tyle że kontraktów nie oferuje się wszystkim – posiada je niewiele ponad 50 proc. piłkarek. Te, które grają w najlepszych klubach w Polsce, np. w Górniku Łęczna, mogą liczyć na pensje na poziomie 4-5 tys. zł miesięcznie. Pozostałe pracują w innych zawodach – przyznał w rozmowie z portalem Bussines Insider Miłosz Stępiński, selekcjoner polskiej reprezentacji kobiet.

Argentyna jest kobietą

Ta sytuacja powoli się zmienia, często w wyniku pozwów lub strajków. Jako pierwsza w świecie płace piłkarzom i piłkarkom wyrównała w 2017 r. Norwegia. Zasady wynagradzania zmieniono też w Irlandii – po tym, jak zawodniczki skarżyły się, że spędzają 40 bezpłatnych dni na zgrupowaniach. W tym samym roku protestowały, wsparte przez byłą prezydent kraju Cristinę Kirchner, Argentynki. Przyzwyczajone do wyciągania piłki z własnej siatki (to do nich należał dotychczasowy rekord wysokości porażki – 0:11 w meczu z Niemkami w Kanadzie), we Francji – dzięki kapitalnej grze bramkarki Vaniny Correi – zremisowały z dotychczasowymi wicemistrzyniami świata, Japonkami. Z kolei podczas spotkania z debiutującymi na mistrzostwach Szkotkami w ciągu 20 minut odrobiły stratę trzech bramek, wykorzystując podyktowany w 90. minucie rzut karny. „To dzień, w którym Argentyną okazały się kobiety" – pisał dziennik „Clarín", jeden z największych w kraju.

Argentynki to przeciętny, grający bardzo defensywnie zespół – oceniają komentatorzy. Podczas mundialu nigdy nie wyszły z grupy, daleko im do statusu amerykańskich gwiazd. Ale jeszcze 10 lat temu nie miały trenera, a podczas meczów wyjazdowych zmuszone były spać w autokarze. Świetna Vanina Correa pięć lat temu rzuciła już piłkę, by zająć się wychowaniem bliźniaków, Luny i Romeo. Pracowała jako kasjerka. W jednym z wywiadów, spytana o wysokość wynagrodzenia (koleżanki Messiego zarabiają mniej więcej 300 dolarów miesięcznie), dumnie odpowiedziała, że nie ma z tym problemu: gra dla przyjemności i nie chce, by jej dzieci kiedykolwiek postrzegały piłkę jako pracę albo poświęcenie.

Z taką postawą nie zgodziłaby się klubowa koleżanka Alex Morgan w Orlando Pride, reprezentantka Brazylii Marta

RDC POLSKIE RADIO **MONIKA OCHĘDOWSKA** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 10 lipca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

NAOMI BAKER – FIFA / GETTY IMAGES

Marta Vieira da Silva przybija „piątki" przed meczem Brazylia––Jamajka podczas mistrzostw świata. Grenoble, 9 czerwca 2019 r.

Vieira da Silva, która wyjeżdżając z Francji wyznała, że jej dotychczasowa walka na boisku i poza nim toczona była z myślą nie o sobie, ale o tych dziewczynkach, które niebawem zajmą jej miejsce – oby na lepszych, uczciwszych zasadach. Także jeśli będą chciały otwarcie mówić o swojej orientacji seksualnej. Mimo że piłkarki w raporcie FIFPro przyznały, iż stykają się na co dzień z homofobią, również ze strony własnych trenerów, większość nie ukrywa przed kibicami ani swoich partnerów, ani partnerek – w tegorocznym mundialu uczestniczyło kilkadziesiąt lesbijek, mówiącą publicznie o swojej orientacji homoseksualistką jest trenerka reprezentacji USA.

Problem homofobii w męskiej piłce oficjalnie nie istnieje – żaden piłkarz nie zdecyduje się na *coming out* choćby ze względu na podpisane kontrakty reklamowe. Wydaje się, że kobiety mają wciąż niewiele do stracenia.

60 stopni

Tegoroczne mistrzynie świata są w USA nie tylko oglądane chętniej niż ich koledzy. Zarobiły dla tamtejszego związku piłkarskiego pięć milionów dolarów, podczas gdy futboliści – którzy nie mają na koncie międzynarodowych sukcesów i nie zakwalifikowali się do zeszłorocznego mundialu w Rosji – przynieśli około miliona dolarów straty.

W statutach narodowych związków piłki nożnej nie sposób znaleźć zapisu, że skala sukcesów odnoszonych przez drużynę jest wyznacznikiem tego, ile pieniędzy dostaje się za reprezentowanie kraju. Celem związków jest rozwój i promowanie gry zarówno mężczyzn, jak i kobiet, a jakakolwiek dyskryminacja ze względu na płeć jest zabroniona. Mimo to właśnie argument popularności i poziomu gry pojawia się najczęściej w głosach kwestionujących żądania kobiet o wyrównanie płac i warunków pracy. A przecież lepszy, popularniejszy i przynoszący więcej pieniędzy zarówno sponsorom, jak i związkowi zespół kobiecy w USA zarabia – jak przedstawiono w złożonym przez piłkarki pozwie – ledwie 38 proc. tego, co mężczyźni.

Dyskryminacja piłkarek dotyczy zresztą nie tylko tego, ile zarabiają, ale także tego, gdzie, a nawet na jakiej nawierzchni grają. Cztery lata temu, przed mistrzostwami w Kanadzie, zawodniczki wniosły skargę do Trybunału Praw Człowieka Prowincji Ontario w Toronto. Próbowały udowodnić, że sztuczna nawierzchnia sprzyja kontuzjom, a w przypadku upałów – gdy murawa nagrzewa się do ponad 60 stopni – poparzeniom. Szef FIFA Sepp Blatter ripostował wówczas, że sztuczne murawy są przyszłością futbolu. Z jakiegoś powodu postanowiono jednak przetestować je podczas rozgrywek kobiet.

Tymczasem w Łęcznej

Amerykański przykład pokazuje, że kobieca piłka jest coraz popularniejsza w miastach i regionach, które nie mają silnej męskiej drużyny. Takie miejsca są także w Polsce. Ligowy mecz kobiet w Łęcznej oglądało w czerwcu ok. 1,5 tys. kibiców – porównywalną liczbę fanów tamtejszy stadion widział ostatni raz w marcu, kiedy piłkarze Górnika grali z Widzewem w ramach rozgrywek II ligi. – Nie pamiętam, kiedy w ekstralidze grałam przy tak licznej publiczności – mówiła prasie szczęśliwa Emilia Zdunek, pomocniczka Górnika.

PZPN w ciągu najbliższych pięciu lat wyda na reformę kobiecej piłki 30 mln zł; kobiece sekcje uruchomiły już Cracovia i Lechia Gdańsk. Suma przestaje robić wrażenie na wieść, że tylko w tym roku Ekstraklasa SA wypłaci aktualnemu mistrzowi Polski mężczyzn, Piastowi Gliwice, ponad 15 mln zł, a ratusz obiecał dorzucić z miejskiej kasy kolejne 12 mln. Podopieczni Waldemara Fornalika otrzymają także co najmniej 1,2 mln zł za udział w pierwszej rundzie eliminacji Ligi Mistrzów. Zarząd śląskiej drużyny przyznał, że co najmniej 4 mln zł z tej puli zostanie rozdzielone na premie dla zawodników. Tymczasem mistrzynie Polski otrzymają 200 tys. zł, a zdobywca Pucharu Polski dwa razy tyle – obiecuje Zbigniew Boniek, który jeszcze dwa lata temu na Twitterze pisał, że mu do rozmowy o piłce „baba niepotrzebna". Dziś tłumaczy, że to żart.

Prezes PZPN zastrzega także, że miał niewielki wpływ na to, w jaki sposób podróżowały nasze piłkarki na mecze eliminacyjne do zakończonych w niedzielę mistrzostw: reprezentantki Polski siedem godzin czekały na lotnisku w Bydgoszczy na samolot tanich linii, którym miały lecieć na zaplanowany następnego dnia mecz ze Szkotkami. „Nie płaczemy, walczymy" – dodawał im otuchy Boniek. Z kolei przed spotkaniem z Albanią okazało się, że zatrudniony przez PZPN administrator kadry zapomniał dosłać zgłoszenia sześciu piłkarek, w tym kluczowej dla obrony naszej reprezentacji Pauliny Dudek, na co dzień zawodniczki Paris Saint-Germain. Szybko zatelefonowano po Emilię Zdunek, która w dniu meczu jechała kilkaset kilometrów do Włocławka, by wejść na murawę w 65. minucie – strzeliła bramkę, wyrównując wynik na 1:1. Nikt nie przeprosił, sprawy publicznie nie skomentowano. W prasie pojawiły się za to krytyczne komentarze na temat gry naszej reprezentacji.

Poza Pauliną Dudek czy Emilią Zdunek możemy się pochwalić jeszcze co najmniej kilkoma dobrymi zawodniczkami. Bramkarka Paris Saint-Germain Katarzyna Kiedrzynek (kapitan reprezentacji Polski) i napastniczka Wolfsburga Ewa Pajor to ambasadorki kobiecej piłki w Polsce. Do Bundesligi przeszła niedawno grająca dotąd w Łęcznej Patrycja Balcerzak. W pierwszoligowym SC Sand zagra także Agnieszka Winczo. Czy na coś się skarżą? Boniek przyznaje, że pół roku temu otrzymał listę postulatów od reprezentacji. Piłkarki chciały między innymi... swoich nazwisk na koszulkach. Prośbę rozpatrzono pozytywnie. ©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:
W bajce

Polskie rozumienie i widzenie zwycięstwa – zwłaszcza w polityce międzynarodowej, ale nie tylko – oddaje skalę problemu, z jakim przychodzi się dziś nam zmierzyć. Ilekroć ktoś mówi, że wygraliśmy, winniśmy zachować czujność i – choć to może być trudne – spokój. Słowo „zwycięstwo" jest jednym z najważniejszych w języku, jeżeli nie absolutnie najważniejszym. Spróbujmy zatem wypowiedzieć je na głos, by zorientować się z bólem, że owe sylaby sklejone w osobliwą całość sprawiają niejaką trudność oralną, nie tylko po pijaku. Jakkolwiek nadużywane w prozie, publicystyce i na wiecach, jest mało użyteczne w poezji, z racji jakby bezkształtu i jakby braku rytmicznego potencjału. Zważywszy, że kraj nasz jest globalnym liderem w produkcji poezji zabezpieczającej przed upadkiem ducha, ów brak krągłości musi dziwić. Słowo to nijak nie przylega do nastroju tak bardzo, że aż wydaje się dziwnym, że nie wymyślono czegoś stosowniejszego, bardziej hukowego i żarliwszego, mniej świszczącego i jękliwego. Oczywiście trening w używaniu czyni mistrza i poza poezją nie możemy narzekać na brak zwycięstw.

Zwycięstwa odnosimy rzeczywiście wszędzie, dlatego słowo to należy takoż uznać za najczęściej używane. Ciekawe, że w jakże dziś rzadko używanych słownikach monotonnie podawanymi przykładami zwycięstw – dla lepszego zrozumienia, o co chodzi – są jedynie wiktoria nad Krzyżakami, zgnębienie Saracenów pod Wiedniem, a w słownikach nowszych dodawane jest jeszcze gonienie bolszewika w roku 1920. I to wszystko jeśli idzie o wskazówki profesjonalnych leksykografów w tej materii. Nic, co się zdarzyło później, nie zostało zakwalifikowane jako jednoznaczne dla wszystkich zwycięstwo, ani dobre jako przykład.

Wejdźmy teraz na grząski grunt psychologii. Ogłaszane co rusz zwycięstwa, których zwycięskość można bez trudu podważyć, tworzą aurę bajkową – szkodliwą, dodajmy – dla zdrowia psychicznego ogółu. Nic nie jest łatwiejsze w praniu niż materia pozorów, ale takoż nie ma nic trudniejszego ani bardziej obarczonego ryzykiem niźli wylewanie kubłów zimnej wody na głowy tkwiące w bezpiecznym świecie przypowieści, bajań, legend i marzeń, a wylewanie wody na własny łeb zdarza się bardzo rzadko. Człowieka podważającego zwycięstwo najlepiej udusić, a na pewno dobrze jest donieść nań prokuratorowi. I to się – popatrzmy – zdarza. Ponieważ stan złudzenia wydaje się powszechny, to znaczy dotyczy wszystkich, bez wyjątków i bez różnicy poglądów, można rzec, że całość ludu tutejszego tkwi w mniemaniach oderwanych. Że nie sposób prowadzić tu rozmowy zimnej, że zaiste rozmawianie w garnku pełnym wrzątku to jedyne miejsce debaty. Nie trzeba chyba dodawać, że wrzątek skutecznie wyjaławia, i tę jałowość widać, jak okiem sięgnąć.

W tej sytuacji, która wydaje się bez wyjścia, należy zasięgnąć oczywiście pomocy profesjonalistów, w których istnienie wciąż wierzymy. Zastanawialiśmy się dość długo, na której półce znajdziemy poradnik, który dałby nam oręż w jakże lokalnym i trudnym zjawisku nieodróżniania zwycięstwa od porażki, ciężkim reagowaniu na prawdę, polecającym jakieś metody sensownego rozmawiania na inne tematy niźli o zdrowym jedzeniu, o chorobach i tym podobnych kwestiach tonizujących dialogi przy kolacji. Ze wzgardą odepchnęliśmy w całości lokalną literaturę piękną, w tym poezję jako zbiór szarzyzn do interpretacji, do przemyśleń i tym podobnych mętnych mozołów. Za kuriozalne uznaliśmy podręczniki do matematyki, branży, dla której prawda jest rudymentem, ale nie do użycia w kraju ludzi otwarcie i bezwstydnie chełpiących się jej nieznajomością. Co zatem? Znakomitą pomocą mogą być poradniki delikatnego postępowania z dzieckiem, któremu trzeba roztropnie przekazać, gdzie zwyciężyło, a gdzie przegrało. Słowem, są one do użycia tam, gdzie wskazana jest daleko posunięta delikatność, współczucie i równowaga, gdy trzeba dziecko oderwać od świata baśni i z sukcesem wprowadzić do rzeczywistości. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wydanie jubileuszowe od 10 lipca w sprzedaży.

Więcej na powszech.net/boniecki85

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

REKLAMA

CENTRUM NAUKI
KOPERNIK

Wakacje na Księżycu? Latamy tam codziennie.

Planetarium – pokazy, filmy, koncerty

Organizatorzy CNK

zakochaj się w Warszawie

MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ

Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

www.kopernik.org.pl